

**Tadeusz Wróbel**

**PO POŻEGNANIU  
Z BRONIĄ**

**Warszawa 2001**

ZBIÓR  
CZNY

0202

378.6:62:929-051-052

**Tadeusz Wróbel**

# **PO POŻEGNANIU Z BRONIĄ**

*Mojej uczelni – Wojskowej Akademii Technicznej  
z okazji 50 – lecia Jej powstania - poświęcam*

**Warszawa 2001**

© Copyright by Tadeusz Wróbel

Redakcja, korekta i skład własny autora

Zdjęcia z prywatnych zbiorów autora

Nakładem autora



XX

123844

ISBN 83-916440-0-6

Druk i oprawa:

SOWA Sp. z o.o. 01-231 Warszawa,  
ul. Płocka 5a, tel. 535-88-41, fax 535-82-08  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)

129/09

## 1. Wstęp

Kiedy napisałem drugą część mojej książki wspomnieniowej pt. „40 lat 8 miesięcy i 10 dni”, kończącej się przejściem w stan spoczynku, czyli zakończeniem służby wojskowej sądziłem, że na tym poprzestaną i odłożę pisanie moich wspomnień. Wydawało mi się, że dalsze lata będą tak nieciekawe, że nie będzie o czym pisać. Spróbuję jednak. Może mimo wszystko da się jeszcze coś „wyluskać”.

To co w wojsku nazywa się „przejściem w stan spoczynku” to jest po prostu przejście na emeryturę. Lecz wojsko ma swoją specyfikę, również w nazewnictwie. Oficer, który przeszedł w tzw. stan spoczynku nie ma już prawa podpisywać się (przykładowo) płk Jan Kowalski, lecz musi napisać płk w st. spocz. Jan Kowalski. Jedynie na nagrobkach cmentarnych pomija się to „w st. spocz.” Jak by się wydawało, umarli mają większe prawa niż żywi. Ale chyba nie jest tak do końca. Niedawno opowiadano mi, że ostatnio w jednym z miast wprowadzono opłatę za zachowanie miejsca na cmentarzu w wysokości 100 zł co 10 lat, zamiast dotychczasowej 20 zł co 25 lat. Ale władze cmentarne nie mogą zawiadomić o tej zmianie rodzin pochowanych, gdyż w księgach cmentarnych nie ma ich adresów. A więc co? Czy nieboszczykowi grozi „eksmisja na bruk”, tak jak żywemu, którego nie stać na czynsze? Wobec tego treść napisu na grobie ma drugorzędne znaczenie. Najbardziej odpowiada mi przeczytany niedawno napis nagrobny:

*Byłem – kim jesteś  
Będziesz – kim jestem.*

Wybacz mi drogi Czytelniku ten smutny akcent na początku moich wynurzeń, lecz tak się złożyło, że zaczynam pisać ten tomik w pierwszych dniach listopada 2000 roku, kiedy tylko co powróciliśmy z cmentarzy.

Skąd wziął się tytuł „Po pożegnaniu z bronią”? To proste. Oficer przez cały czasokres służby wojskowej posługuje się bronią. Jest ona jego wierną towarzyszką. U oficerów jest to broń osobista, którą

pozostawia się już na zawsze w magazynie, w którym i tak jest stale przechowywana i wydawana jej dysponentowi jedynie na służby lub strzelania. Tak przynajmniej było kiedy ja odchodziłem w stan spoczynku. Przed tym różnie bywało. W latach pięćdziesiątych nosiło się na pasie głównym pistolet służbowy w kaburze nawet w czasie wykładu lub egzaminu. Później wycofano pasy z umundurowania wyjściowego i pistolet oficer przechowywał u siebie w mieszkaniu. Było tak aż do czasu, kiedy dziecko jednego z oficerów postrzeliło dla zabawy gosposię. Wtedy zgromadzono broń w magazynach.

Ja z moją bronią żegnałem się bez żalu. No bo cóż to była za broń? Pistolet Tokariew wzór 1933 r., o lufie ruchomej, krótkim odrzucie lufy i zamku zaryglowanym, ośmiostrzałowy, znany powszechnie jako TT kal. 7,62 mm. Już pod koniec służby otrzymałem zamiast niego pistolet nowego wzoru, produkcji krajowej, mniejszy i poręczniejszy, lecz już nie zdolałem sobie z niego postrzelać.

Ale dość tych żartów i to już we wstępie. Oczywiście termin „Pożegnanie z bronią” jest przenośnią. Chodzi o pożegnanie ze służbą wojskową, pożegnanie z mundurem, z wojskowym środowiskiem. Tak jak o zmarłym żołnierzu zawodowym mówi się: „odszedł na wieczną wartę”. To piękna przenośnia. A w rzeczywistości – jaka tam warta?

Jest mi bardzo miło na zakończenie tego wstępu złożyć serdeczne podziękowanie mojej żonie Aleksandrze i panu majorowi dr. inż. Zbigniewowi Watralowi za staranne przejrzanie tego tekstu i cenne uwagi.

## 2. W nowej sytuacji

Zaproponowano mi pozostanie nadal w instytucie w charakterze cywilnego pracownika naukowo-dydaktycznego. Oczywiście propozycja padła znacznie wcześniej, zanim rozliczyłem obiegówkę. Wszystko zostało załatwione dość szybko. Z dniem 7 sierpnia 1991 przeszedłem na emeryturę. Ponieważ był to okres wakacyjny, więc uroczystość pożegnalna odbyła się w dniu 13 września 1991, zaś od 1 października byłem już zatrudniony w Zakładzie Elektromaszynowych Elementów Automatyki, którego byłem dotychczas kierownikiem, teraz na stanowisku profesora nadzwyczajnego w wymiarze ½ etatu.

Pracowałem nadal w tym samym pokoju służbowym, siedziałem przy tym samym biurku i na tym samym krześle. Swoje książki przechowywałem w tych samych regałach. Prawda, miałem także szafę ubraniową, w której wisiały jeszcze moje mundury i płaszcze wojskowe. Trzeba było coś z nimi zrobić. Początkowo miałem zamiar pozostawić sobie jeden mundur, gdyż regulaminy zezwalają żołnierzowi zawodowemu w stanie spoczynku na występowanie w mundurze

z okazji ważnych świąt państwowych lub uroczystości rodzinnych. Lecz gdy patrzyłem na tak często odbywające się uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie nie było bardzo przyjemnie widzieć tych zreumatyzowanych starców, opierających się na laskach, odzianych w galowe mundury wojskowe. Na ogół nie zapewnia się im miejsc siedzących, więc stoją godzinami w spiekocie i starają się wytrwać. Nie odpowiadało mi to. Oddałem swoje umundurowanie (po usunięciu dystynkcji wojskowych) na PCK. Jeżeli ciepły, nowy płaszcz oficerski otrzymał na przykład jakiś drwal w Bieszczadach to na pewno bardzo mu się przydał.

Naprzeciwko mnie pracował tak jak dotychczas płk Józef Ryznar, który przeszedł na emeryturę w tym samym czasie co ja. Do moich zadań należała z grubsza rzecz biorąc - kontynuacja prac naukowo - badawczych, którymi dotychczas kierowałem, promowanie doktorów, kierowanie pracami dyplomowymi studentów, udział w radach naukowych, prowadzenie zajęć dydaktycznych. Ponadto publikowanie wyników prac naukowo - badawczych w czasopismach naukowo - technicznych oraz udział w sympozjach i konferencjach naukowych. W dalszym ciągu opracowywałem programy z prowadzonych przez siebie przedmiotów. Z reguły przekraczałem pensum dydaktyczne dla zatrudnionego na 1/2 etatu. Prowadziłem bowiem tak jak od lat dwusemestralny przedmiot „Specjalizowane maszyny elektryczne” dla przyszłych specjalistów eksploatacji osprzętu elektrycznego samolotów. Był to najobszerniejszy przedmiot z prowadzonych przez zakład.

Ten zakres prac, który z grubsza wymienilem to było znacznie mniej niż wymagało się od kierownika zakładu, którego obowiązki zestawilem w [1]. Z razu nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Lecz wkrótce zapelnilem próżnię i zabrałem się intensywnie do pracy nad książką „Silniki skokowe”. Ponieważ w związku z wykonywanymi pracami naukowymi zgromadziłem obszerny zbiór różnorodnych publikacji na ten temat, więc szkoda mi było tego nie wykorzystać. Tak jak to robiłem dotychczas, wysłałem pocztą ofertę wydawniczą, do której dołączyłem plan - konspekt książki. Tym razem adresatem były Wydawnictwa Naukowo - Techniczne. Po kilku miesiącach otrzymałem wiadomość, że moja oferta została przyjęta. Później dowiedziałem się, że recenzentami mojej oferty wydawniczej byli: prof. dr hab. inż. Janusz Turowski z Łodzi i prof. dr inż. Ryszard Sochocki z Warszawy. Tytuł został dotowany przez Ministra Edukacji Narodowej. W 1993 r. książka została wydana. W tych czasach nie dawano już tak dużo egzemplarzy autorskich jak ongiś, kiedy to otrzymywałem ich 25. Teraz dostawałem zaledwie kilka. Wyruszyłem więc w obchód po księgarniach, by zakupić pewną liczbę egzemplarzy, potrzebnych na prezenty dla przyjaciół, lecz miałem pewne trudności, gdyż nakład został szybko wyprzedany.

Recenzentem książki przed jej wydrukowaniem był również prof. Ryszard Sochocki. Nic dziwnego. Był on niekwestionowanym specjalistą nr 1 w dziedzinie silników skokowych w Polsce. Po jego przedwczesnej śmierci wybił się w tej dziedzinie jego uczeń, dr hab. inż. Zbigniew Goryca, profesor Politechniki Radomskiej. Prof. Sochocki nie skorzystał z przysługującego mu prawa utajnienia swojej recenzji. I chociaż ja otrzymałem z wydawnictwa jej egzemplarz z odciętym nazwiskiem recenzenta, sam mi powiedział, że to on recenzował i wyraził gotowość przedyskutowania poczynionych przez niego uwag. W czasie jednej z rozmów powiedział mniej więcej w ten sposób:

- Kiedy dowiedziałem się, że pan napisał tę książkę, omal serce mi nie pękło. Ja zawsze marzyłem o napisaniu takiej książki, lecz mam tyle obowiązków, że nie mogłem się na to zdobyć. To prawda, profesor Sochocki był już wtedy chyba dyrektorem Instytutu Maszyn Elektrycznych na Politechnice Warszawskiej. Był to człowiek, którego naprawdę można było poznać lepiej dopiero gdy się miało z nim jakieś kontakty. Wysokiego wzrostu, wyprostowany, o zawsze poważnej twarzy, robił wrażenie nieprzystępnego i surowego człowieka. W rzeczywistości był to człowiek o gołębim sercu, zawsze życzliwie nastawiony do ludzi.

To prawda, człowiek, który pożegnał się z mundurem odczuwa rodzaj frustracji. Jest mu żal. Ale są też i tego dobre strony. Kiedy przechodząc przez hol gmachu głównego WAT, mijalem biurko za barierką, przy którym siedział oficer dyżurny – „portier”, doznawalem uczucia zadowolenia, że już nigdy nie spotka mnie wątpliwa przyjemność zasiadania za tym biurkiem i związane z tym często przykrości. Że już nigdy w postawie na baczność nie będę wołał:

- Obywatelu generale, oficer dyżurny WAT płk Wróbel melduje: w czasie pełnienia mej służby nic ważnego nie zaszło. Oficerowie liniowi żądali by mówić „że w czasie pełnienia mej służby”. Nie mogłem tego w duchu zaakceptować, gdyż mówiąc w ten sposób wyrażałbym myśl, że to nie ja melduję, lecz jakiś płk Wróbel mówi o mojej służbie zaś ja jestem kimś innym. Nie byli w stanie tego zrozumieć.

Albo meldunek mógłby mieć inne brzmienie:

- Obywatelu generale, oficer dyżurny WAT płk Wróbel melduje: w czasie pełnienia mej służby w pobliskim lasku powiesił się żołnierz z kompanii obsługi.



### 3. Rocznicza

40 lecie istnienia Wojskowej Akademii Technicznej obchodziliśmy w naszym instytucie bardzo uroczyście. Jako dzień obchodów przyjęto datę 18 grudnia, czyli w rocznicę uroczystego otwarcia akademii z udziałem prezydenta RP Bolesława Bieruta i marszałka Konstantego Rokossowskiego. Ponieważ nauka rozpoczęła się już 1 października 1951 r., więc w 1996 roku ustalono, że święto naszej uczelni przypada na dzień 1 października. Wówczas, w 1951 r. tłumaczono tak dużą rozbieżność pomiędzy rzeczywistym rozpoczęciem funkcjonowania akademii a jej uroczystym otwarciem tym, że harmonogram zajęć Bieruta był bardzo napięty i nie mógł on wcześniej przybyć. Dopiero niedawno usłyszałem inną wersję, tłumaczącą tę zwłokę. Podobno Bierut czekał na przeprowadzenie zaplanowanego już wcześniej aresztowania komendanta WAT, gen. bryg. Floriana Grabczyńskiego, który był polskim oficerem przedwojennym i chociaż stopień generała uzyskał już od władz powojennych, miał być usunięty ze stanowiska i na podstawie sfabrykowanych dowodów dołączony do procesu generałów lub jakiegoś innego procesu, które historiografia nazywa nie wiadomo czemu, tak jakoś nieładnie „odpryskowymi”. Akademię otwierano uroczyście już z udziałem nowego komendanta, radzieckiego generała Eugeniusza Leoszenji.

Dyrektor naszego instytutu prof. Jerzy Barzykowski nakreślił następujący plan przebiegu uroczystości: Najpierw uroczysta sesja naukowa w auli E, nazwanej aulą płk dr inż. Tadeusza Kątckiego, na cześć przedwcześnie zmarłego wybitnego pracownika naukowo – dydaktycznego Wydziału Elektroniki, następnie zwiedzanie wystawy dorobku publikacyjnego pracowników instytutu, zgromadzonego w sali konferencyjno – wykładowej o numerze 66, a na zakończenie uroczysty obiad w sali lustrzanej klubu oficerskiego WAT.

W auli E zgromadziło się liczne grono obecnych i byłych pracowników instytutu oraz katedr, z których powstał, a także przedstawicieli Komendy Wydziału. Widzimy ich na zdjęciu. Siedzą w rzędach liczonych od dołu i od prawej strony:

rząd 1: T. Dąbrowski; rząd 2: T. Wróbel, Z. Domosławski i K. Russel; rząd 3: R. Suski, J. Walkiewicz, dwie osoby nie rozpoznane, G. Sundman, M. Żurawski oraz I. Persakowa; rząd 4: W. Dulewicz, J. Zadrozny (gość honorowy), K. Kozieł, J. Sienkiewicz, J. Jabłoński i C. Kępski; rząd 5: Z. Milewski, J. Michalik, K. Osicki, K. Serafin, NN i W. Ostaniewicz; rz.6: P. Preibisch, M. Senatorski, Z. Bedynek, K. Fokow, W. Olchowik i J. Rutkowski.

Na sesję naukową składało się 7 referatów opublikowanych w [2]. Wygłosili je: Jerzy Barzykowski, Piotr Baszun, Lesław Będkowski (współautorami byli Tadeusz Dąbrowski i Józef Florek), Tadeusz Dąbrowski, Zygmunt Prabucki, Józef Ryznar i Tadeusz Wróbel.

Referat wstępny dyrektora instytutu prof. dr hab. inż. Jerzego Barzykowskiego nosił tytuł: „Historia i dzień dzisiejszy Instytutu Systemów Pomiarowych i Automatyki”. Zawierał on syntezę 40 – lecia działalności tego zespołu, który powstał w 1951 roku jako Katedra Elektrotechniki, pod kierunkiem prof. Antoniego Kilińskiego. Dorobek ten był imponujący. Dyrektor zademonstrował strukturę instytutu w jego wieloletnim rozwoju. Wymienił nazwiska osób, których trud złożył się na wymienione osiągnięcia. A oto one w kolejności w jakiej zostały przedstawione: A. Kiliński, W. Dulewicz, M. Kędziński, A. Szulce, A. Masalski, W. Moroz, D. Zatoński, J. Szwacki, Z. Bajbor, Z. Domosławski, K. Russel, W. Wendel, J. Walkiewicz, J. Ignatiew, W. Ostaniewicz, J. Gierałt, W. Kruczek, J. Barzykowski, B. Daczko, T. Wróbel, Z. Włodarczyk, I. Kosuciński, J. Reszel, Z. Cozel, R. Murawski, K. Wójcik, B. Włodarczyk, L. Jaworski, Z. Denys, T. Woźniak, L. Będkowski, T. Dąbrowski, W. Karbowska, J. Zaniewski, E. Świrkowski, J. Walaszek, R. Suski, B. Cudny, A. Kędziński, J. Kopeć, W. Hudyka, M. Fidos, M. Hering, T. Missala, J. Missalowa, K. Kwiatkowski, W. Marciniak, M. Rusek, Cz. Moroz, H. Morozowa, C. Kępski, J. Miller, J. Sławiński, R. Jabłoński, Z. Dmochowski, I. Persakowa, J. Pszenicki, K. Sobisiak, A. Sosnowski, J. Rabiński, J. Ryznar, W. Kotowicz, K. Koziel. Dyrektor przeprosił te osoby, których nazwiska zostały przypadkowo pominięte w wystąpieniu. Po omówieniu dotychczasowych osiągnięć, prof. Barzykowski przedstawił prognozy dalszej działalności.

Mój referat był zatytułowany: „Prace Zakładu Elektromaszynowych Elementów Automatyki ISPA WAT w dziedzinie silników skokowych, w latach 1982 – 1990”. Choć od przeszło trzech miesięcy kierownikiem zakładu był już mój następcą ppłk dr inż. Jan Sienkiewicz, „rozliczyć się” za miniony okres powinienem był ja. Nie przypadkowo referowałem prace prowadzone od 1982 roku, gdyż był to rok odejścia na emeryturę płk Dulewicza i od tego czasu kierunek działalności zakładu nadawałem już ja sam, bez odgórnych korekt. Ponadto, mieliśmy zalecenie szefa, by przy referowaniu dorobku nie cofać się zbyt wstecz, lecz referować głównie sprawy najnowsze.

W moim referacie, zgodnie z tytułem skupiłem się na pracach w dziedzinie silników skokowych i ich układów sterowania, gdyż ta tematyka dominowała w naszej działalności naukowej.

Już w 1982 r. opracowano i wdrożono w Przedsiębiorstwie Specjalnych Maszyn Elektrycznych Małej Mocy MIKROMA we Wrześni, układy sterowania przeznaczone do kontroli parametrów i zdejmowania rodziny charakterystyk, produkowanych seryjnie silników skokowych FB-20-4.

W 1984 r. przystąpiono do prac nad napędami elektrycznymi skanerów termalnych. Opracowano napędy wahliwe [3] i wirujące [4]. W celu zrealizowania przez silnik skokowy obu rozpatrywanych wariantów pracy urządzenia termalnego, opracowano nowy, specjalny, odpowiednio zaprogramowany układ sterowania.

W latach 1988 – 1990 na zlecenie zakładu POLTIC w Łodzi opracowano i wdrożono silnik skokowy do napędu mechanizmu piszącego PTMPN 3109 A mini drukarki graficznej, w którym występują 3 takie silniki: do przesuwu karetki, do obrotu wałka a także do podnoszenia i opuszczania oraz zmiany koloru pisaka. Celem opracowania było wyeliminowanie kosztownego importu dewizowego japońskich silników o magnesach trwałych. Opracowane przez nas rozwiązanie odpowiadało najnowszym tendencjom światowym w tej dziedzinie techniki [5]. W ramach tej pracy opracowano również i zrealizowano uniwersalne urządzenie do impulsowego magnesowania magnesów trwałych oraz magneśnicę do magnesowania wirników opracowanych silników skokowych. Wykonano również stanowisko do kontroli stanu magnesowania wirników, umożliwiające badanie rozkładu pola magnetycznego w szczelinie powietrznej silnika. Opracowano instrukcję obsługi stanowiska i przedstawiono koncepcję uniwersalnego stanowiska do badania silników skokowych.

Jedną z zaobserwowanych w trakcie naszych prac światowych tendencji było dążenie do uzyskiwania bardzo małych wartości kąta skoku, aż do kąta  $0,0072^\circ$  (50 000 skoków na obrót), co można uzyskiwać przez pracę miniskokową, polegającą na elektronicznym podziale skoku bazowego na znaczną liczbę miniskoków. W roku 1988 została obroniona, wykonana w zakładzie rozprawa doktorska, poświęcona badaniu wpływu sterowania miniskokowego silnika na charakterystyki napędu dyskretnego. O tej pracy i jej autorze napisałem w książce wspomnieniowej [6]. W ramach tej pracy zbudowano model napędu dyskretnego przy sterowaniu miniskokowym. Opracowano program symulacyjny, który umożliwi badanie napędów skokowych (szczególnie w trakcie ich projektowania), bez dużych nakładów sił i środków. Skonstruowano kilka wersji przetworników miniskokowych przystosowanych do współpracy z silnikami hybrydowymi małej mocy. Układ sterowania miniskokowego opracowany przez autora tej rozprawy doktorskiej Jerzego K. Kowalskiego uzyskał I miejsce (złoty medal) w Ogólnopolskim Konkursie Młodych Mistrzów Techniki w 1989 roku. W naszych pracach zwróciliśmy również

uwagę na jeden z istotniejszych problemów poznawczych w dziedzinie silników skokowych, który wiąże się z powstawaniem oscylacji i drgań rezonansowych w tych silnikach, oraz ich ograniczaniem.

Takie były główne elementy mojego, znacznie szerszego wystąpienia na sesji jubileuszowej.

Po oficjalnych wystąpieniach umieszczonych w programie sesji, poprosił jeszcze o głos płk Dulewicz. W ciepłych, przyjaznych słowach wypowiedział się na temat osiągnięć instytutu w minionym okresie. Pozytywnie ocenił działalność wszystkich zakładów i życzył zespołowi instytutu dalszych sukcesów. Zapanowała niemal rodzinna atmosfera.

Po zakończeniu sesji zebrani udali się do sali 66, gdzie wyłożono fragmenty dorobku publikacyjnego pracowników instytutu. Były tam więc książki, skrypty uczelniane, poważniejsze publikacje z czasopism naukowych. Było tego bardzo dużo. Rozstawione dość gęsto stoliki były zapelnione. Zwiedzający z zainteresowaniem brali do ręki poszczególne pozycje. Po przerwie udaliśmy się do sali lustrzanej w Klubie Oficerskim WAT na uroczysty obiad, który również upłynął w serdecznej atmosferze.

Na bankiecie w sali lustrzanej miejsce obok mnie zajął mgr inż. Zdzisław Domosławski. Spośród uczestników spotkania ja byłem najlepiej mu znaną osobą, pracującą jeszcze w WAT (nie licząc płk Dulewicza, obok którego wolał nie siadać, prawdopodobnie dlatego, że obaj panowie nie przepadali za sobą). Może wiecie coś o tym czytelnik pierwszej części moich wspomnień „40 lat 8 miesięcy i 10 dni” [ 1 ].

Mgr inż. Zdzisław Domosławski był postacią nietuzinkową. Mówiono (nie sprawdzałem tego), że był synem lekarza z Pułtusza. Niezwykle uzdolniony, marnował się w wojsku, szczególnie po „zesłaniu” do katedry płk. Gannusa. Miał odwagę głośno wypowiadać swoją dezaprobatę z powodu tej przymusowej służby wojskowej i ze wszystkich sił dążył do zwolnienia się z wojska, co mu się wreszcie udało po 1956 roku. Był on człowiekiem o nienagannych manierach i bardzo ciekawie się z nim rozmawiało. Opowiedział mi o swoich dalszych losach po odejściu z wojska. Najpierw pracował przez długi czas w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku, gdzie w 1958 r. uruchomiono pierwszy polski reaktor jądrowy. W okresie największej dla tych spraw koniunktury zajął się działalnością consultingową. Wyjechał na przeszkolenie do Francji (miał uzdolnienia w dziedzinie języków obcych). Po powrocie do kraju objął odpowiedzialne stanowiska kierownicze w firmach consultingowych. Wręczył mi kilka wizytówek. Na jednej z nich wydrukowano:

**INVESTEXPORT**  
Biurow Consultingu Inwestycji Proeksportowych

**Mgr Inż. Zdzisław Domosławski**  
Dyrektor Naczelny

Adresów i numerów telefonów nie podaję z uwagi na ustawę o ochronie danych osobowych. Druga wizytówka zawierała te same treści, lecz w języku angielskim. Stanowisko wymienione poniżej nazwiska brzmiało: Chief Executive.

Druga wizytówka była już z całkiem innej firmy, która nazywała się FINRYAN International LTD; Financial & Management Consultants.

Przy biesiadnym stole prowadziliśmy bardzo ciekawą, lekką rozmowę towarzyską. Oczywiście były też serdeczne rozmowy z innymi przyjaciółmi z dawnych lat. Po imprezie Domosławski zaprosił Jurka Barzykowskiego i mnie do odwiedzenia go w jego firmie, gdzie dyrektorował. Ponieważ święta były tuż tuż ustaliliśmy termin wizyty już po świętach. Tymczasem, przed świętami otrzymałem pocztą piękne życzenia od Domosławskiego, wykonane na specjalnie w tym celu wyprodukowanych drukach firmowych. Zrewanżowałem się. Umówiliśmy się z Jurkiem Barzykowskim w holu gmachu, gdzie mieściła się firma i o ustalonej porze wkroczyliśmy do gabinetu dyrektora. Był to duży, piękny, nowoczesny i ze smakiem umeblowany gabinet, lśniący czystością.

Oprócz dyrektora Domosławskiego w gabinecie poruszała się dyskretnie i bezszelestnie – sekretarka. Była to bardzo przystojna, młoda kobieta o nienagannie szczupłej figurze, elegancko odziana i zdaje mi się, że będzie to właściwe określenie – mająca styl. Na znak dany przez szefa przyniosła kawę, której zapach zmieszał się z zapachem jej dobrych (francuskich ?) perfum.

Po wymianie kilku grzecznościowych zdań i wspominków z naszej wspólnej przeszłości, gospodarz przystąpił do rzeczy. Trochę byłem zaskoczony, gdyż sądziłem (w swojej naiwności), że wizyta ma wyłącznie charakter kurtuazyjny. Otóż firma naszego kolegi zamierzała podjąć się poważnego zadania – opracowania planów restrukturyzacji przemysłu lotniczego. Proponował nam obu udział w tym przedsięwzięciu, na czym zarobiliśmyby duże pieniądze. To będą naprawdę duże pieniądze, podkreślił.

- Ależ ja się nie znam na przemyśle lotniczym, powiedziałem.
- Nie szkodzi, my się znamy, ale trzeba nam w zespole kilku samodzielnych pracowników naukowych z WAT-u.

Ciasteczka przestały mi smakować, nie czułem już zapachu perfum. Od dziecka wpajano mi (myślę, że skutecznie), że dużych pieniędzy nie

zdobywa się lekko, lecz ciężką pracą. I wtedy „zepsułem powietrze” w tym pięknym gabinecie.

- Ja w to nie wchodzę – powiedziałem. Szkoda mi potracić z emerytury. Były jeszcze nalegania, ale nie odniosły skutku. Lepszym dyplomatą okazał się Jurek.

- Namyślę się i dam odpowiedź – powiedział. Wkrótce dał odpowiedź odmowną. Ale wtedy nie było to jeszcze wiadomym. Nasz gospodarz, choć miał skwaszona minę, zachował fason.

- Odwiozę was samochodem na Bemowo – zaproponował. Jurek odmówił, bo miał coś do załatwienia w centrum, ja zaś po krótkim oporze pozwoliłem się odwieźć polonezem do WAT-u. Przez całą drogę milczeliśmy. Życzenia świąteczne już nigdy więcej nie przyszły.

#### 4. W Belwederze

Pod koniec marca 1992 r. otrzymałem list, datowany w dniu 23 marca 1992 pochodzący z „Biura Kadr i odznaczeń” KANCELARII PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, który zawiadamiał mnie, że Prezydent, na wniosek „Centralnej Komisji do Spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych” nadał mi tytuł naukowy profesora i że uroczyste wręczenie aktów nastąpi w Belwederze w dniu 7 kwietnia 1992 r. o godz. 10<sup>30</sup>.

Dowiedziałem się, że wraz ze mną ma odbierać akt nominacyjny komendant Wydziału Elektroniki płk doc. dr hab. inż. Bogusław Smólski, który zaproponował mi wspólny przejazd do Belwederu samochodem służbowym wydziału, którym on dysponował. Z tym młodym jak na profesora w Polsce, bo 45 letnim człowiekiem znałem się dobrze, gdyż w swoim czasie jako podchorąży wysłuchiwał moich wykładów i zaliczał u mnie przedmiot.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem nominowani mogli przybyć na uroczystość z rodzinami. Z nami jechały nasze żony. Byłem bardzo zadowolony, że pułkownik Smólski wybrał czas wyjazdu z pewnym wyprzedzeniem, gdyż bardzo nie lubię zjawiać się gdziekolwiek w ostatniej chwili a co dopiero w Belwederze. Z pewnymi trudnościami udało się zaparkować poloneza na jednym z parkingów obok Urzędu Rady Ministrów. Ponieważ okazało się, że przybyliśmy trochę za wcześnie, więc postanowiliśmy pospacerować po Parku Łazienkowskim, który o każdej porze roku jest uroczy. Wchodząc do parku spotkaliśmy podążającego z powrotem z lekka pochylonego staruszka. Rozpoznałem go. Był to były przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński, który wracał ze spaceru. Szedł do znajdującego się w pobliżu swojego mieszkania, z którego, jak podawała prasa, po przemianach ustrojowych usiłowano go wypędzić. Uświadomiłem sobie, że jeszcze kilka lat temu, on wręczał

nominaacje profesorskie. Teraz zreczenie przebil sie przez tlum oczekujacych na wejscie profesorow.

Kiedy zostalismy juz wpuszczeni do wnetrza palacu, pozostawilismy okrycia na specjalnych wieszakach, ktore zapealnialy obszerny hol i skierowano nas do ladnie urzadzonych w starym stylu pomieszczen (patrz zdjecia), gdzie oczekiwalismy na przybycie prezydenta. Kiedy zjawil sie wraz ze swoja swiata, wprowadzono nas do duzej sali, gdzie odbyla sie uroczystosc. Prezydent Lech Walęsa odczytal krótkie przemowienie, po czym nastapilo wręczenie aktow nominacyjnych. W otoczeniu prezydenta znajdowali sie miedzy innymi: prof. Ziolkowski, Andrzej Drzycimski, Mieczyslaw Wachowski, ksiadz Cybula i grupa urzadzonych z Biura Kadr i Odnaczen Kancelarii Prezydenta.

Technika operacji byla nastepujaca. Przy mikrofonie stal Mieczyslaw Wachowski (na zdjeciu), ktory odczytywal nazwiska profesorow w porzadku alfabetycznym. Ci podchodzili do prezydenta, ktory wręczal im stosowny dokument, po czym nastepowal uścisk dloni. Z aktem nominacyjnym w reku, obdarzony tytulom przemieszczal sie kilka krokow i wtedy specjalny pracownik kancelarii wręczal mu upominek: ksiazke Lecha Walęsy „Drogi nadziei”. Zaobserwowalem, ze nowo mianowani profesorowie po odebraniu dyplomu, przewaznie nie odzywali sie do prezydenta ani jednym slowem. To mnie zbulwersowalo. O co chodzilo? Czyzby w ten sposob chcieli dac do zrozumienia, ze otrzymywali swój tytul od czlowieka bez wyzszeo wyksztalcenia, ktory nie zaliczal sie do ich elit? Postapilem odmiennie. Po wymianie uściskow dloni z prezydentem, powiedzialem glosno i wyraźnie:

- Dziękuję panie prezydencie. Wtedy usmiechnęła się jakoś tak melancholijnie. Ten człowiek miał wybitnie rozwinięty zmysł intuicyjny i znakomicie rozumiał sytuację. Lecz płk Smólski miał już okazję do wymiany zdań z prezydentem, który ujrawszy człowieka w mundurze (oczywiście galowym) zapytał:

- To co, wy już tam w wojsku mnie nie uznajecie jako zwierzchnika sił zbrojnych? Zaskoczony płk Smólski udzielił mi jedynie możliwej w tej sytuacji odpowiedzi:

- Ależ oczywiście, że uznajemy. Jakże moglibyśmy nie uznawać? Wtedy nie było zrozumiałym o co chodzi, lecz wkrótce, przez zestawienie dat można było się domyślić, że wtedy właśnie usuwano ze stanowiska aktualnego ministra Obrony Narodowej Jana Parysa. Ten ostatni zdołał jeszcze wystosować do mnie list z gratulacjami, który zaczynał się od słów: „W związku z otrzymaniem zaszczytnej i powszechnie cenionej nominacji profesorskiej proszę przyjąć moje serdeczne gratulacje.” Po kilku jeszcze pochlebnych zdaniach stosowanych przy takich okazjach, znajdował się podpis: dr Jan Parys.

Sposób doręczenia tego listu był niecodzienny, odbiegający od stosowanego dotychczas w naszym środowisku wojskowym, kiedy to list

gratulacyjny od ministra obrony wręczał na dywanie jakiś wyższy przełożony. Kiedy nazajutrz po powrocie z Belwederu otworzyłem drzwi do swojego gabinetu, noga moja omalże nie nadepnęła na dużą, białą kopertę z nadrukiem „Minister Obrony Narodowej”. Był to list gratulacyjny od ministra Jana Parysa. Tutaj szanownemu Czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśnienia. Otóż miałem umowę z paniami z sekretariatu instytutu, które na moją prośbę wkładały mi wszelaką korespondencję nadchodzącą do mnie przez szczelinę drzwiową, jeżeli pokój był zamknięty. Było to korzystne zarówno dla pań jak też i dla adresata, który mógł przebywać na wykładach lub gdzie indziej ale do swojego gabinetu powracał pod koniec dnia pracy. Lecz wybiegliśmy nieco do przodu. Wróćmy do Belwederu gdzie odbywa się uroczystość.

Moja żona miała ze sobą aparat fotograficzny i wykonała mnóstwo zdjęć. Szczególnie zależało jej na uchwyceniu samego momentu wręczenia. Starła się więc podejść możliwie najbliżej, gdyż lampa błyskowa w aparacie amatorskim jest na dużą odległość mało skuteczna. Wtedy zagroził jej drogę kapelan Lecha Wałęsy ksiądz Cybula, informując, że nie wolno się tak bardzo zbliżać do prezydenta. Czyżby ksiądz Cybula był ochroniarzem prezydenta dla kamuflażu występującym w szatach duchownych ? To był oczywiście tylko żart, na pewno był kapelanem. Oleńka zajęła dogodną dla siebie pozycję tak, jakby nie słyszała słów duchownego. Ksiądz jej odpuścił ten grzech. Kiedy już wszyscy otrzymali to, po co przybyli z różnych stron Polski, głos w imieniu utytułowanych zabrała pewna pani profesor z Wrocławia. Wrocław to kontynuacja starej lwowskiej kultury i ostatnio coraz częściej się o tym przekonuję poprzez kontakty korespondencyjne z Głównym Zarządem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej w osobie przewodniczącego komisji historycznej pana Jerzego Pileckiego. Wystąpienie było na bardzo wysokim poziomie, zarówno co do formy jak i co do treści. Nie było w nim najmniejszej aluzji politycznej ani w tę ani w tamtą stronę i dlatego w moim odbiorze było ono głęboko patriotyczne. Ta pani (szkoda, że nie znam jej nazwiska) pokazała jak się przemawia. Rzuciła na kolana najbardziej osławionych mówców sejmowych.

Po zakończeniu wręczenia nie było, ku mojemu zadowoleniu tradycyjnego kieliszka szampana (a jednak coś się zmieniło na lepsze). Nie musiałem więc jak na tego rodzaju uroczystościach, brać w rękę napelnionego kielicha i później w takim samym stanie, kiedy już inni zaczną to czynić, odstawiać go na tacę ku ogólnemu zgorszeniu,. Raz tylko, już nie pamiętam przy jakiej okazji to było, kelner miał na tacy do wyboru: szampana lub sok owocowy. Innym zaś razem obok mnie stał uczynny kolega, który widząc moje zakłopotanie wręczył mi swój opróżniony kieliszek a zawartość mojego wypił sam.



U Lecha Wałęsy zamiast szampana zaproponowano nam coś o wiele ciekawszego: zwiedzenie Belwederu z przewodnikiem. Przed tym jeszcze wprowadzono nas do sąsiedniej sali i Andrzej Drzycimski zaproponował chętnym zrobienie sobie zdjęcia z Prezydentem Rzeczypospolitej. Wtedy ku mojemu zdziwieniu stwierdziłem, że chętnych było niewiele. Może szkoda im było pieniędzy na drogie zdjęcie, wykonane przez fotografa Centralnej Agencji Fotograficznej a może mieli inny powód. Ja podszedłem do prezydenta, który ujął mnie za rękę i Oleńka wykonała nam zdjęcie. To nie ważne jakie błędy w polityce popełniał później Lech Wałęsa. Dla mnie miało istotne znaczenie, że będę miał zdjęcie z wybranym w wyborach powszechnych, legalnym Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej – legendą „Solidarności” - Lechem Wałęsą. Ogarnęło mnie wzruszenie i ogarnia teraz gdy to piszę.

Po zakończeniu „sesji zdjęciowej” Lech Wałęsa zwrócił się do swoich najbliższych współpracowników (A. Drzycimskiego i M. Wachowskiego) i powiedział:

- No to chodźmy. Na nas już czas. Trzeba działać szybko. Zbieżność dat nasuwa przypuszczenie, że działanie to mogło mieć związek z osobą Jana Parysa.

Zwiedzanie Pałacu Belwederskiego było ciekawe. Pokazano nam wszystko, łącznie z biurkiem przy którym urzędował prezydent, za wyjątkiem pomieszczeń prywatnych jego i księżdz Cybuli. Jeszcze ciekawsze było to, co zdarzyło się pod koniec. Jednemu z profesorów skradziono płaszcz z owych wieszaków w holu, które nie przypadkowo opisałem. Myślał w swojej naiwności, że to pomyłka, że wkrótce zjawi się jakiś roztargniony profesor z jego płaszczem, lecz kiedy na wieszakach nie pozostało już ani jedno okrycie, zrozumiał co się stało. Podejrzewano robotników, którzy pracowali przy rekonstrukcji ogrodzenia, ale przecież w wejściu do pałacu stało dwóch dobrze wyszkolonych wartowników! W ten chłodny, kwietniowy dzień musiał nasz profesor udać się do domu bez płaszcza. Później łudził się, telefonując wciąż bezskutecznie do Belwederu. Wreszcie kancelaria prezydenta wypłaciła mu odszkodowanie za doznaną stratę materialną.

W kilka dni po uzyskaniu tytułu profesora zorganizowałem, zgodnie z panującym zwyczajem, spotkanie towarzyskie z pracownikami instytutu, które odbyło się w pracowni naukowo – badawczej. Ola przyszła pomóc mi uporać się z tortami i z resztą poczęstunku. Alkoholu oczywiście nie było, co nie wszystkim się podobało. Przewidywałem to, lecz nie chciałem odstąpić od zasad. Nie przewidziałem jednak jak okrutnie się na mnie zemszą koledzy i przyjaciele. Otóż ofiarowali mi w darze album z fotografiami o budownictwie starocerkiewnym na Rusi. Czy miał to być żart? Jak ja się mam do budownictwa starocerkiewnego i do Rusi? To już

długopis i „wieczne” pióro, które otrzymałem przy pożegnaniu się z mundurem po przeszło 40 latach służby były lepszym prezentem.

## 5. Francja i Monaco

Któż z nas nie chciałby choć raz w życiu ujrzeć Paryż. My z Oleńką też mieliśmy takie pragnienie i zrealizowaliśmy je w 1992 roku. Wykupiliśmy sobie w sprawdzonej podczas wycieczki do Włoch firmie „*Sigma Travel*” wycieczkę objazdową na trasie: Paryż – zamki nad Loarą – Lazurowe Wybrzeże – Monaco – Monte Carlo. W tamtą stronę jechało się autokarem, z powrotem, samolotem. Droga autokarem do Paryża nie była bardzo męcząca, gdyż po drodze był jeden nocleg w miejscowości *Vyškov*, w Czechach. Zналиśmy już ten motel z poprzedniej podróży od dobrej strony. Były tam wygodne pokoje z węzłami sanitarnymi a przede wszystkim dobra kolacja i następnego dnia - śniadanie. Gospodarze znali nasze upodobania i były to posiłki smaczne i obfite.

W Paryżu spędziliśmy trzy dni. To bardzo mało, żeby poznać to wspaniałe miasto. Grupa zdołała zwiedzić między innymi: katedrę *Notre Dame*, kaplicę królewską, *Pantheon*, *Luwr*, *Monmartre*, Bazylikę *Sacré Coeur*, plac Bastylli, wieżę *Eiffła*, pola Marsowe, grób Napoleona, „Hotel Inwalidów”, dzielnicę *Défense*, Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny, cmentarz *Père Lachaise*. Z paryskiego miejsca postoju udaliśmy się jeszcze do Wersalu, położonego 20 km od Paryża.

Mieszkaliśmy w niedużym, schludnym hoteliku na przedmieściach Paryża, kawał drogi za lotniskiem *de Gaulle’a*. Symboliczne śniadania hotelowe jadalіśmy na miejscu, natomiast na obiady-kolacje (termin znany tylko uczestnikom wycieczek objazdowych) wożono nas do restauracji samoobsługowej, znajdującej się przy placu *de Clichy*. W każdym, najtańszym nawet hoteliku, gdzie się zatrzymywaliśmy podczas naszej wycieczki otrzymywaliśmy pokój z własnym węzłem sanitarnym (ubikacja, prysznic). Dlaczego u nas nie buduje się takich hoteli (dla zwykłych ludzi) a tylko „*Sheratony*”, „*Mariotty*” czy też „*Holiday Inny*”?

Po zwiedzeniu katedry *Notre Dame*, jednego z najpiękniejszych zabytków sztuki gotyckiej, wzniesionej w połowie XIII w. na wyspie *Ile de la Cite* mieliśmy udać się na cmentarz *Père Lachaise*, by zobaczyć groby: Szopena, *Molièra*, *La Fontaine’a*, *Prousta*, *Apollinaire’a*, *Balzaka*, gen. Wróblewskiego i Jarosława Dąbrowskiego oraz wielu innych wybitnych postaci. Wtedy przewodnik zaproponował jeszcze zwiedzenie Świętej Kaplicy (*Sainte Chapelle*), wzniesionej na dziedzińcu położonego niedaleko Pałacu Sprawiedliwości. I wtedy wobec przesytu zwiedzaniem zbyt wielu

obiektów sztuki sakralnej, popełniliśmy błąd. Postanowiliśmy bowiem „odpuścić” sobie zwiedzanie kaplicy, nie zdając sobie sprawy z jej znaczenia, jako zabytku najwyższej klasy światowej. Postanowiliśmy zrobić sobie w tym czasie kilka zdjęć, bo tempo zwiedzania było tak duże, że nie było na to czasu. Upewniliśmy się, że kierowca autokaru będzie stał w tym samym miejscu i dowiedzieliśmy się o której godzinie planowany jest odjazd. Nie oddalaliśmy się zbyt daleko od tego miejsca, by nie zbłądzić i być z powrotem przed wyruszeniem na cmentarz.

Ku naszemu zaskoczeniu autokar zmienił miejsce postoju i chociaż powróciliśmy sporo przed czasem, nie było go tam. Nerwowe poszukiwania po całej okolicy nie dały rezultatu. Odjechał. Przewodnik nie sprawdził przed wyruszeniem, czy liczba uczestników mu się zgadza. Co robić? Dogonić wycieczkę na cmentarzu nie było szansy. Nie było w pobliżu taksówek. Wcale nie znaleźliśmy paryskiego metra i trudno by nam było znaleźć linię prowadzącą do cmentarza. Wtedy wybraliśmy jedyne rozwiązanie, które zapewniało nam możliwość dołączenia do wycieczki, lecz niestety bez zwiedzenia cmentarza. Postanowiliśmy udać się piechotą na plac *de Clichy* i tam spotkać się z grupą na obiado-kolacji. Mieliśmy ze sobą dokładny plan Paryża i przystąpiliśmy do jego studiowania, głośno planując najprostszą trasę.

Wtedy zbliżyła się do nas jakaś kobieta i powiedziała:

- Słyszę, że państwo Polacy. Proszę mi pomóc. Jestem w kłopotliwej sytuacji. Zwiedzaliśmy z wycieczką kaplicę i zgubiłam się. Nie zauważyłam kądzieli poszli i zostałam tutaj sama. Nie znam żadnego języka obcego, nie mam planu Paryża. Nie mam przy sobie żadnych dokumentów, gdyż wszystkie ma ze sobą mój mąż.

- Co za mąż – pomyślałam. Był w autokarze, który wyruszał bez jego żony i nie zająknął się. I zapytałam:

- A z jakiej pani jest wycieczki?

- No takiej z Warszawy.

- Może z firmą „Sigma Travel”?

- Tak, tak. Chyba tak.

- A gdzie państwo jadacie obiado – kolacje?

- No w takim barze samoobsługowym, przy takim placu.

- To niech się pani nie martwi. Jesteśmy z tej samej wycieczki. Plac *de Clichy* jest bardzo daleko stąd, ale pójdziemy piechotą i na posiłek zdążymy. Tam spotkamy na pewno naszą wycieczkę. Rozpoczęliśmy długą wędrówkę. Najpierw dotarliśmy do *Luvru* i miniliśmy to największe muzeum na świecie, mieszczące się w największym ponoć pałacu świata. Zwiedzaliśmy je innym razem. Od *Luvru* powędrowaliśmy ulicą *Rivoli* a następnie *Avenue de Opera*, osiągając gmach opery, który zamyka perspektywę tej szerokiej i eleganckiej ulicy. I znów byliśmy w pobliżu czegoś imponującego, liczącego 11 000 m<sup>2</sup> powierzchni, uważanego za

największy na świecie teatru, czyli paryskiej Opery. Następnie skierowaliśmy się w ulicę *d'Antin*, która przeszła w ulicę *la Chausse*, by przez plac *d'Estienne* dotrzeć do *Rue de Clichy*. Teraz byliśmy już „w domu”. Ulica *de Clichy* prowadziła do placu o tej samej nazwie, który był celem naszej wędrówki. Była to długa ulica i sporo zajęło nam czasu zanim rozpoznaliśmy znajomy nam plac. Dotarliśmy na miejsce przed czasem. Był piękny, letni dzień. Przesiedzieliśmy na ławeczce, których wiele znajdowało się na schludnie utrzymanym placu. Żal za utraconą okazję obejrzenia cmentarza *Pere-Lachaise* łagodzą radość „uratowanej” przez nas kobiety, kiedy już rozpoznała znajome miejsce.

Nie miejsce tutaj na opisywanie zwiedzanych przez nas obiektów, lecz pragnę zaznaczyć, że duże wrażenie wywarło na mnie zwiedzenie grobu Napoleona, znajdującego się w zbudowanym w latach 1671-76 na polecenie Ludwika XIV - Pałacu Inwalidów (*Dôme des Invalides*). Miejsce to wybrano ze względu na związane z nim historyczne i militarne skojarzenia. Zabalsamowane ciało cesarza, sprowadzone decyzją Ludwika Filipa w 1840 roku z Wyspy św. Heleny, zamknięte w sześciu trumnach, umieszczono w krypcie, oddzielonej szklaną szybą od galerii, z której można było oglądać trumnę o charakterystycznym kształcie.

Z Paryża udaliśmy się na południe, aby najbliższą noc spędzić w Orleanie. Dano nam czas na indywidualne zwiedzenie miasta. Udaliśmy się na plac *Martroi* by obejrzeć i utrwalić na zdjęciach pomnik *Joanny d'Arc*, bohaterskiej dziewczyny, która w dniu 8 maja 1429 r. stojąc na czele wojsk, odparła Anglików oblegających miasto.

Następnie przemieściliśmy się jeszcze bardziej na południe, docierając do uroczego miasteczka *Blois*, gdzie zwiedziliśmy pierwszy z zamków Doliny Loary, którego najstarsze partie: baszta i sala stanów pochodzą z czasów średniowiecznych. Pozostałe zamki (a było ich w sumie pięć) znajdowały się w niedużej odległości na wschód i na południe od *Blois*. Było ich tak dużo, że zwiedzenie ich stało się z czasem męczące i nudne, wobec czego w czasie zwiedzania ostatniego zamku pozostałem w samochodzie.

Za największy i najpiękniejszy spośród zamków nad *Loarą* jest uważany zamek w *Chambord*, zbudowany przez Franciszka I. Był on rezydencją Ludwika XIII i Ludwika XIV. Mieszkał w nim przez pewien czas król Polski Stanisław Leszczyński.

Niedaleko znajduje się pałac *Chevorny*. Wybudowany dla księcia *Chevorny* w XVII wieku, do dziś pozostaje w rękach tej samej rodziny. Zamek ten wyróżnia się prostotą i niewielkimi rozmiarami. Zachowano w nim dekoracje wnętrz i meble z XVII w.

Zamek *Chaumont sur Loire* ma część zachodnią zbudowaną w stylu gotyckim, wzniesioną w latach 1465-1481. Pozostałe partie, zbudowane

w latach 1498 -1510 wykazują już wyraźnie wpływy renesansu. W zamku można zwiedzać apartamenty Katarzyny Medycejskiej i Diany z *Poitiers*.

Zamek w *Amboise* był początkowo siedzibą rodzin *Anjou* i *de Berry*, a także królów francuskich. Zbudowany został na wysokim cyplu między dolinami rzek *Loary* i *Amassy*. W zamku można było oglądać partię gotycką z XV w. i dwie wielkie baszty: *Minimes* i *Hurtault* oraz kaplicę św. Huberta. W kaplicy tej znajduje się płyta nagrobna *Leonarda da Vinci*, którego sprowadził do *Amboise* Franciszek I.

I wreszcie *Chenonceaux*, z pięknym pałacem renesansowym przerzuconym przez rzekę *Cher*. Na prawym brzegu znajduje się baszta z XV w. i zamek *Bohier* z początków XVI w. Tutaj również znajdują się apartamenty Katarzyny Medycejskiej i Diany z *Poitiers*.

Teraz już nasz autokar potoczył się wartko przez *Clermont Ferrand* do *Avignon*, miasta położonego na lewym brzegu *Rodanu*, otoczonego w całości średniowiecznymi murami obronnymi. Głównymi atrakcjami zwiedzania tego miasta są Pałac Papieży, perła gotyckiej, średniowiecznej architektury i znajdująca się w pobliżu pałacu romańska katedra *Notre-Dame-Des-Doms*, pochodząca z XII w., przebudowana w XIV i XVII w. a w niej groby papieży Benedykta XII i Jana XXII.

Stąd droga wiodła do *St. Raphael* na Lazurowym Wybrzeżu. W autokarze zdarzył się drobny, acz niemiły incydent. Jedna pani, siedząca w pierwszym rzędzie, tuż za pilotem zażądała, by zmienić trasę i zwiedzić Marsylię. Pilot sprzeciwił się. W Marsylii, dużym mieście, nie było zabytków do zwiedzania. Ponadto on miał zadanie zrealizować plan wycieczki ściśle zgodnie z trasą podaną w doręczonym uczestnikom informatorze. Zboczenie o 50 km do Marsylii uniemożliwiłoby zwiedzenie niektórych miejsc na Lazurowym Wybrzeżu, zaoferowanych przez biuro uczestnikom wycieczki, którzy mogliby oskarżać biuro o niedotrzymanie umowy. Ponadto on rozliczał się ze zużytego paliwa i nie mógł sobie pozwolić na taką eskapadę. Lecz pani była nieugięta. Upierała się przy swoim, motywując to tym, że Lazurowe Wybrzeże już zna a nigdy jeszcze nie była w Marsylii.

- No to trzeba było wykupić wycieczkę do Marsylii a nie na Lazurowe Wybrzeże. Wtedy nasz przewodnik po raz pierwszy wykazał brak cech przywódczych, wymaganych bezwzględnie przy spełnianiu takich funkcji. Zamiast cierpliwie wytłumaczyć swojej rozmówczyni nierealność jej pomysłu, zdenerwował się i doszło do ostrej kłótni. Pozostali pasażerowie nie wtrącali się do tego dialogu, przewidując jego wynik. Prawdopodobnie w razie zmiany kierunku na Marsylię większość zaprotestowałaby. Byliśmy świadkami sporu w 50 mniej więcej procentach, gdyż przewodnik miał włączony mikrofon i jego słowa było słychać w każdym miejscu autokaru,

głos pani nie był natomiast wzmocniony i tylko bliżej siedzący słyszeli co nieco. W pewnym momencie sprzeczka doszła do zenitu.

- Wyobrażam sobie co pani mąż musi z panią mieć za życie przy pani charakterze – powiedział przewodnik. I w tym miejscu przekroczył już czerwoną kreskę, której nie wolno mu było przekraczać. Przewodnik może być nieugięty i stanowczo odrzucić niezgodny z planem wycieczki pomysł jej uczestniczki, lecz w żadnym razie nie wolno mu jej obrażać. Ale nasz przewodnik był zbyt nerwowo, co się później potwierdziło.

Nastroje poprawiły się kiedy osiągnęliśmy *St. Raphael* i po jego zwiedzeniu poruszaliśmy się wzdłuż morskiego brzegu w stronę *Cannes* i *Nicei*. Była piękna, słoneczna pogoda i widoki były wspaniałe. Miejscami plaża rozciąga się tuż przy szosie i z okien autokaru widać było całkiem z bliska wiele opalających się osób. Zgodnie z tamtejszym zwyczajem, panie opalały się w *toplesie*, co już całkiem poprawiło nastroje panów. W *Cannes* przyglądaliśmy się eleganckim hotelom, w których zamieszkują zwykle uczestnicy znanych festiwali filmowych. W *Nicei* podobał się nam szczególnie Bulwar Angielski.

Rozlokowano nas w małym, lecz schludnym hoteliku w pobliżu Nicei. Miał ciekawą nazwę, zgoła nie francuską: „*One Star*”. Czyżby to był hotel jednogwiazdkowy? Wyposażony był w pełne wygody. Ale tam, nasz przewodnik wyraźnie nie zdał egzaminu. Powodem ciągłych nieporozumień było rozmieszczanie uczestników wycieczki w pokojach po każdorazowej zmianie hotelu. Wiadomo, że miejsce w pokoju trzyosobowym jest tańsze aniżeli w dwuosobowym i prawdopodobnie dlatego firma wynajmowała tyle pokoi dwuosobowych ile było małżeństw. Zasadą było to, że po przyjeździe do hotelu, w pierwszej kolejności lokowano małżeństwa w owych pokojach dwuosobowych. Później przychodziła kolej na trzyosobowe i wtedy zaczynały się kłopoty. Obcy sobie ludzie z trudem się dobierali do wspólnego zakwaterowania. Wynikały spory. Kiedy dotarliśmy do hotelu „*One Star*” ludzie byli już bardzo zmęczeni ciężkim dniem i w związku z tym rozdrażnieni. Nic nie pomogły uśmiechy sympatycznej recepcjonistki, „samotni” zbuntowali się.

- Wciąż tylko najpierw te małżeństwa i małżeństwa. Raz my chcemy iść pierwsi do pokoi. Tym razem nerwy przewodnika całkowicie „puściły”.

- Nie chcecie współpracować ze mną, to porozumcie się sami. Ja idę na spacer. Po tych słowach opuścił hotel i poszedł przed siebie. Powstała konsternacja. Język francuski znała tylko jedna osoba, właśnie ta pani, która chciała jechać do Marsylii. Ale nie zgodziła się tłumaczyć.

- Ja tu jestem jako turystka a nie jako przewodniczka – rzekła. My nie uczestniczyliśmy w dalszych wydarzeniach w recepcji, gdyż mieliśmy już klucz od naszego pokoju w kieszeni. A jednak dobrze jest niekiedy być

małżeństwem. Do późnej nocy dochodziły jeszcze z recepcji przykre odgłosy swarów.

Nowy dzień powitaliśmy już w dobrych nastrojach. Przewodnik był już spokojny. Cieszyliśmy się z zaplanowanej na ten dzień wycieczki do *Monaco*. Tam wysadzono nas na placu przed pałacem księcia *Reiniera*. Stamtąd rozciągały się wspaniałe widoki. Najbardziej podobał mi się widok na *Monte Carlo* i na niezbyt odległą przystań jachtową. Wartownik przed wejściem do pałacu władcy księżstwa stał leniwie, nie tak służbiście wyprostowany jak na przykład wartownicy Jej Królewskiej Mości w Londynie. Na placu była umieszczona starożytna armata, ustawiona tak, by razić nacierającego na pałac nieprzyjaciela. Obok armaty znajdowała się piramida, złożona z dużych, okrągłych kul armatnich. W pierwszej chwili zdziwiłem się, że kule ot tak sobie leżą i żaden z turystów nie weźmie sobie którejś z nich na pamiątkę. Dopiero po zbliżeniu się można było stwierdzić, że kule są zespawane ze sobą w twarde bloki.

Zwiedzanie *Monte Carlo* z jego kasynami gry było również dużym przeżyciem turystycznym. Do głównego kasyna nie weszliśmy, gdyż byłoby to kosztowne. Sam wstęp do kasyna kosztował 50 franków. Jednak niedaleko znajdowało się drugie kasyno (dla średniozamożnych), gdzie wstęp był bezpłatny. Tam tłumy „zwykłych” turystów korzystały z urządzeń do gier mechanicznych. Obiektem „obowiązkowego” zdjęcia przed kasynem gry był posąg *Fortuny*, przedstawiający leżącą kobietę o obfitych kształtach. Na załączonym zdjęciu jestem widoczny ja obok „*Fortuny*”, trzymający parasol składany w ręku. Potem ja wykonywałem zdjęcie i parasol położyłem na murku obok. Tam już pozostał. Zapewne znalazł się w składzie przedmiotów znalezionych lub przydał się jakimś turystom.

Ostatni dzień wycieczki był bardzo przyjemny. Radość powrotu do kraju zwiększała dodatkowo jego dobra organizacja. Bardzo wczesnym rankiem załadowaliśmy się po raz ostatni do autokaru i skierowaliśmy się w stronę granicy włoskiej. Zmierzaliśmy na lotnisko w *Genui*, żeby wsiąść do samolotu charterowego, który przywoził identyczną wycieczkę firmy „*Sigma Travel*”, która pokonywała taką samą jak my trasę, lecz w przeciwnym kierunku. Trzeba było bardzo dobrze uważać, żeby spostrzec kiedy przekroczyliśmy granicę francusko – włoską. O tym, że to jest granica świadczył tylko mizerny słupek, pomalowany farbami wyblakłymi od słońca. Kiedy nasz autokar minął ten słupek, z małej budki straży granicznej nikt się nie pofatygował, by nas sprawdzić. Innymi słowy, wzięliśmy tę granicę w biegu. O tak wczesnej godzinie lotnisko w *Genui* było jeszcze całkiem puste. Oprócz naszego, nie startował w najbliższym czasie żaden samolot. Ponieważ było jeszcze trochę czasu

do odlotu, więc nasza wycieczka rozprzestrzeniła się po pustych halach dworca lotniczego. Kupowano jeszcze jakieś upominki, nie pamiętam za jaką walutę. Zdaje się, że Włosi przyjmowali franki. To się często zdarza w krajach zachodnich. Kiedy samolot łagodnie wylądował na płycie lotniska na Okęciu, w jego wnętrzu rozległy się oklaski. Byliśmy u siebie.

## 6. Londyn

Z Londynem związani jesteśmy emocjonalnie, gdyż mieszka tam nasza córka Irenka wraz ze swoim mężem Stefanem i synkiem Mareczkiem. Pierwszy raz znaleźliśmy się w Londynie w dniu 26 czerwca 1993 r. – w kilka dni po urodzeniu Marka. Podróż odbyliśmy autokarem międzynarodowych linii autobusowych PEKAES - BUS. Nie było wówczas jeszcze tylu przewoźników na trasie Warszawa – Londyn, co obecnie. Przejazd autokarem trwał 27 godzin w jedną stronę. Pojazd był wyposażony w toaletę, lecz na wstępie pilotka zapowiedziała, że używać jej można tylko w wyjątkowych przypadkach, gdyż w Anglii są trudności z opróżnianiem pojemnika. Co kilka godzin będą postoje przy stacjach benzynowych, motelach lub restauracjach. I tak już było zawsze, we wszystkich autokarach wszystkich firm. W następnych latach jeździliśmy często do Londynu, przeważnie autokarami, rzadziej (szczególnie w ostatnich latach) latamy samolotami. Później spróbowaliśmy (raczej dość pechowo) przejazdu z angielsko – polską firmą *TRAVELINES*, aż w końcu jeździliśmy już wyłącznie autokarami polskiej agencji turystycznej *ATAS*, która wydała się nam najbardziej solidna i najlepiej zorganizowana. Nie będę opisywał wrażeń z tych wszystkich pobytów i przejazdów oddzielnie, lecz zbiorę je w jedną całość, przedstawioną w tym rozdziale.

Niektóre autokary jeździły bezpośrednio z Warszawy przez Poznań, inne zbaczają jeszcze do Łodzi, by zabrać stamtąd pasażerów. Kiedy wyruszało się z Warszawy o godzinie 9:00, w Poznaniu było się około 13:30 a do Londynu docierało się około godziny 11:30 następnego dnia, z uwzględnieniem jednogodzinnej różnicy czasu. W kraju był zwykle dłuższy postój w Torzymiu, miejscowości znanej mi z wielkich manewrów wojskowych w 1955 r.

Największym problemem było zawsze sprawne przekroczenie granicy. Stojące w olbrzymich kolejkach *TIRY* przejeżdżały innym pasem ruchu, lecz autokarów a także samochodów osobowych było również bardzo dużo. Obserwowaliśmy wtedy różne sposoby skracania czasu oczekiwania na granicy. Zależało to w dużej mierze od sprytu i zaradności kierowcy, który powinien był umieć odpowiednio się ustawić i wymanewrować. Raz zdarzyło się nawet tak, że kierowca obdarzony wyjątkowym tupetem rzucił się pod prąd pojazdów podążających w przeciwną stronę. Skończyło się na połamanej, po czym pojechaliśmy



dalej. Bardzo oryginalny sposób szybkiego, łatwego i przyjemnego przekraczania granicy miała pilotka jednego z autokarów. Kiedy zbliżaliśmy się do granicy, przebierała się w pantofle na wysokich obcasach, krótką spódniczkę (miała ładne, długie nogi), podmalowywała się i w towarzystwie jednego z kierowców udawała się do pomieszczenia kontroli celnej, niosąc tam gorącą czarną kawę w termosie i filiżanki. Po chwili powracali w towarzystwie celnika, który przeprowadzał nas na skrót przez granicę. Kiedy już przekroczyliśmy granicę i samochód wartko potoczył się naprzód, udawała się do małego pomieszczenia służbowego, skąd zaraz powracała w dresie.

Kiedy to wszystko już się odbyło zaczął zapadać zmierzch (oczywiście w zależności od pory roku). Tak więc przez Niemcy przejeżdżało się nocą. Zresztą i tak nie można by było niczego ciekawego zobaczyć, gdyż autostrady przebiegały z dala od miast i osiedli. Zazwyczaj raz lub dwa razy w ciągu nocy autokar zatrzymywał się na krótki postój, przy specjalnie do tego celu przystosowanym obiekcie, który miał funkcjonujący przez całą noc bufet, no i oczywiście elegancko urządzone toalety. Główny problem polegał na szybkim ich odszukaniu, żeby zdążyć na czas do autokaru. W Niemczech toalety publiczne są bezpłatne. Również nie płaci się za przejazd autostradami. W innych krajach, przez które przejeżdżaliśmy, toalety są płatne. Stwarza to czasem kłopot, kiedy nie ma się odpowiedniej waluty. Tak zdarzyło mi się na przykład kiedyś gdy przejeżdżaliśmy z Włoch przez Czechy, gdzie opłaty te są skrupulatnie egzekwowane. Przepisy nie zezwalają na wwożenie do Czech tamtejszej waluty, a kiedy przejeżdża się przez ten kraj nocą, nie ma sposobności dokonać wymiany pieniędzy. W drzwiach wiadomego przybytku stał groźnie wyglądający „cerber” i egzekwował należne opłaty. Kiedy zapytałem czy mogę zapłacić w niemieckiej walucie – zgodził się skwapliwie, a kiedy mu wręczyłem 50 fenigów, zgął się w ukłonie. Ciekawie była sprawa rozwiązana w Belgii. W wejściu do toalet był wywieszony cennik informujący o wysokości opłat we wszystkich walutach Unii Europejskiej. To była duża wygoda.

Miało się dużo szczęścia trafiając na autokar, który miał zepsuty magnetowid. Można było wtedy podróżować nocą. Kiedy był sprawny, zawsze znaleźli się tacy, którzy chcieli non stop oglądać. A filmy były beznadziejne. Były to przeważnie filmy o treściach drastycznych, gdzie trup siał się gęsto. Dobierając ich tematykę, nie uwzględniono faktu, że autokarem podróżują również dzieci. A już szczególnie przykre było to, że w drodze powrotnej trzeba było oglądać to samo.

Przez zagłębie *Ruhry* przejeżdżaliśmy jeszcze nocą. Gdzie się znajdujemy można się było w przybliżeniu zorientować na podstawie dobrze podświetlonych napisów: *Dortmund, Essen, Düsseldorf*. Przejazd przez Holandię trwał krótko i można było nawet ją przegapić. Natomiast

w Belgii był zwykle postój w Brukseli i to w centrum miasta. Ponieważ była to bardzo wczesna godzina, miasto było jeszcze opustoszałe. Szczególnie kiedy jechało się w sobotę lub w niedzielę. Żeby ponownie znaleźć się na autostradzie trzeba było długo kluczyć po mieście. Zwłaszcza kiedy kierowca pobiłdził. Bruksela to bardzo ładne miasto i oglądało się je z przyjemnością.

Granica Belgijsko – Francuska była trudna do zaobserwowania. Trzeba było dobrze skupić uwagę i wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec mizerny słupek. Teraz już nie jechało się autostradą, lecz dobrą drogą wzdłuż brzegu morskiego. Wkrótce na tablicy drogowej pojawiło się złowrogie słowo: *Dunkerque*. Tak, to była ta sama Dunkierka, ważna baza francuskiej floty morskiej, z której na przełomie maja i czerwca 1940 roku ewakuowały się do Wielkiej Brytanii wojska sprzymierzonych, po przegranej bitwie flandryjskiej. Po tym jak wojska niemieckie przełamały front pod Sedanem i wyszły nad kanał *La Manche* w rejonie *Abbeville*, *Boulogne* i *Calais*, dowództwo brytyjskie podjęło decyzję o ewakuacji swoich wojsk na wyspę. Niemiecki 19 Korpus Pancerny zepchnął cofające się siły brytyjsko – francuskie na wąski pas nadbrzeżny w rejonie Dunkierki. Tam Niemcy starali się zniszczyć je za pomocą swego lotnictwa i wojsk lądowych. Aliantom jednak udało się ewakuować swoje siły do Anglii. Pod osłoną 2740 samolotów oraz artylerii okrętowej, na pokłady wielkiej liczby okrętów (głównie brytyjskich) zdołano ewakuować 338 500 żołnierzy, z których 1/3 stanowili Francuzi. W trakcie tej akcji 243 okręty i statki sojusznicze zostały zatopione bądź uszkodzone. W ręce niemieckie dostały się duże masy sprzętu, w tym: ok. 2400 dział różnego kalibru, 11 000 sztuk broni maszynowej, 700 czołgów, 45 000 samochodów i 20 000 motocykli. Lotnictwo niemieckie straciło w tej akcji 302 samoloty (dane według [7]).

Wkrótce dojeżdżało się do autostrady i do *Calais* było już niedaleko. Oczekiwanie na wjazd na prom nie trwało zwykle długo. Formalności załatwiał nasz kierowca, który płacił za przejazd. Prom był miejscem przyjaznym dla podróżnego. Dużo przestrzeni, wygodne kanapy dla pasażerów, wiele bufetów, gdzie można było się napić kawy lub herbaty a nawet spożyć gorący posiłek. Można się było na promie umyć, ogolić a nawet wziąć prysznic. Kursowały promy francuskie i brytyjskie, ale również w tych ostatnich były europejskie gniazda wtykowe służące do przyłączenia aparatu do golenia. Płynęło się około półtorej godziny. Zasadniczym problemem było zapamiętanie sobie miejsca ustawienia swego autokaru na dolnym pokładzie. Trzeba było umieć go odszukać w gęstwinie niezliczonej liczby autokarów. W godzinach rannych na promach było dużo miejsca, lecz kiedy się powracało z powrotem z Londynu i było to wieczorem, na promach było pełno Francuzów, Belgów i Holendrów, powracających z niedzielnych wycieczek do Anglii. My

przeplęwaliśmy kanał *La Manche* zwykle właśnie w niedzielę, gdyż tylko wtedy Irenka i Stefan nie szli do pracy i mogli nas odwiedzić samochodem na dworzec autobusowy. Wtedy na promie było mniej przyjemnie. Powracający z wyspy turyści byli bardzo hałaśliwi i zachowywali się dość prymitywnie, wypijając przy tym duże ilości piwa.

Po przyplnięciu do *Dover* dla niektórych „zaczynały się schody”. Trzeba było przejść przez brytyjską kontrolę graniczną. Biuro imigracyjne było bardzo dobrze zorganizowane. Za pojedynczymi stanowiskami, czymś w rodzaju pulpitów, siedzieli oficerowie imigracyjni (w tym również kobiety). Stanowiska są odgródzone barierą od dużej sali, w której wije się serpentyna barierek, wytyczających trasę, którą poruszają się podróżni. To mi się najbardziej podobało. Nie ma tłoku i przepychanek. Nie ma dialogów w stylu:

- Ja tu przyszedłem pierwszy.
- Może na świat, ale nie tutaj.

Ruch reguluje stojący przy przejściu prowadzącym do stanowisk dyżurny. Kiedy zaobserwuje, że któreś stanowisko stało się wolne, wskazuje się pierwszej osobie z kolejki. Rozmowy z oficerem imigracyjnym bywają krótkie, albo też przeciągają się w czasie. Szczególnie starannie sprawdzani są ludzie młodzi, podejrzani o zamiar zatrudnienia się „na czarno”. Bywa, że ktoś jest poproszony do oddzielnego pomieszczenia, gdzie sprawdza mu się również bagaż. Czasem przeciąga się to tak długo, że autokar musi odjechać bez tej osoby. W zależności od wyniku działań sprawdzających, musi się potem dostać do Londynu (albo innego miasta) lub powrócić do *Calais*. Jest niepisany zwyczaj, że takiego pechowca zabiera zainteresowanie dowolny polski autokar, podążający do Londynu, jeżeli mu się w końcu powiedło.

Przy dostawaniu się do Wielkiej Brytanii dobrze jest mieć zaproszenie od kogoś tam zamieszkałego, najlepiej od rodziny lub być starym. Dobrze jest też władać językiem angielskim. Pamiętam nasz pierwszy wjazd do Zjednoczonego Królestwa. Kiedy pani oficer imigracyjny zapytała o cel naszego przyjazdu do Anglii, odpowiedziałem:

- *We want to see our grandson, who is three days old.* Chcemy zobaczyć naszego wnuka, który ma trzy dni. Szeroki uśmiech na twarzy kobiety i dwa mocne uderzenia pozostawiły ślady pieczęci na naszych paszportach.

Teraz nastrój w samochodzie, toczącym się rażno w stronę Londynu jest już znakomity. Kierowca z dziecinną łatwością porusza się zgodnie z zasadami ruchu lewostronnego. Ale nie zawsze jest już powód do optymizmu. Raz na przykład przydarzyła nam się na tym odcinku przykra przygoda. Wybraliśmy (na naszą biedę) brytyjsko – polską firmę przewozową „*Travelines*”. Przez całą drogę szło bardzo dobrze. Sympatyczna pani pilotka (Polka zamieszkała w Londynie), opiekowała się

nami jak mogła. Podawała nam gorącą herbatę i inne napoje, służyła radą i pomocą. Aż wreszcie skomplikowało się. Na polecenie właściciela firmy (Włocha z obywatelstwem brytyjskim i żoną Polką), który jechał wraz z nami, oznajmiła nam, że inny autokar firmy, który wyrusza właśnie z Londynu do Warszawy, jest niesprawny i szef obawia się wysłać go w daleki kurs do Polski. Podjedziemy więc w stronę Londynu autostradą i w miasteczku po drodze, zaczekamy na parkingu, by się przesiąść do tamtego autokaru, zaś nasz pojedzie do Polski.

Długo czekaliśmy na parkingu w miasteczku, lecz autokar z Londynu nie nadjechał. Wtedy szef, który kontaktował się telefonicznie z dworcem autobusowym w Londynie, kazał kierowcy ruszyć w dalszą drogę. Spotkamy się z tamtymi po drodze i dokonamy wymiany ludzi i bagażu. Byliśmy już bardzo blisko Londynu, kiedy na przeciwnym poboczu autostrady dopatrzonego tamtego autokaru. My zjechaliśmy na pobocze, włączając światła sygnalizujące awarię i wtedy byliśmy świadkami niesamowitych wyczynów kierowców. Telefony komórkowe nie były jeszcze wówczas rozpowszechnione i żeby się skomunikować z tamtym kierowcą, nasz przekroczył barierkę i przebiegł przez autostradę, tuż przed maskami rozjeżdżonych samochodów. W ten sposób kierowcy przebiegali jeszcze kilka razy a my w napięciu słuchaliśmy pisku opon szybkich samochodów, hamujących na autostradzie. Wreszcie nasz autokar ruszył, by wykorzystując znajdujący się daleko ślimak, ustawić się tuż za tamtym na poboczu.

Rozpoczęło się przeładowywanie bagażu. Potężnej postury Anglik przenoślił nasze walizy z bagażnika do tamtego autokaru. Wracając niósł do naszego, bagaże z tamtego. Robił to bardzo chaotycznie. Zdjął mnie niepokój. Bardzo nie życzyłem sobie, by nasze bagaże powróciły do Warszawy. Chociaż nasza pilotka przekazała nam polecenie brytyjskiego Włocha, że nie wolno nam opuszczać autokaru, gdyż na poboczu autostrady jest niebezpiecznie, ja wyszedłem na zewnątrz, by się upewnić, że nasze walizy pojedą we właściwym kierunku. Wtedy podeszła do mnie pilotka tamtego autokaru i zaczęła głośnym krzykiem zapędzać mnie z powrotem do wnętrza autokaru. Bardzo nie lubię jak ktoś na mnie krzyczy i w dodatku gdy to jest ktoś o 40 lat młodszy ode mnie. I wtedy, podenerwowany odpowiedziałem też głośno (wiem, że się nie powinno tak czynić i bardzo się staram tego uniknąć, lecz nie zawsze się udaje). Powiedziałem, że bardzo mi przykro, lecz nie wiem z kim rozmawiam, gdyż nie miałem przyjemności poznać tej pani a w ogóle to konstytucja mojego (i jej) kraju zapewnia mi prawo decydowania kiedy mam wyjść z autokaru a kiedy wejść i nikt nie ma prawa ograniczać mojej wolności osobistej. W czasie tej kłótni (sprzeczką byłoby zbyt łagodnym określeniem), właściciel firmy i nasza pilotka zachowali się całkowicie biernie. Zająłem więc pozycję w pewnej odległości od otwartego luku i obserwowałem

działania Brytyjczyka. Wtedy ten przerwał swoje czynności i powiedział, że nie będzie pracował jak ktoś nad nim stoi i przygląda się jego robocie. Jak chcę to mogę sam przenosić walizy. Nie ustąpiłem jednak, odsunąłem się tylko dalej, by go nie drażnić. Wówczas powrócił do pracy. Kiedy już zbliżał się do końca, trzeba uznać, że bardzo ciężkiej pracy, okazało się, że miałem przecucie. Moja walizka, dobrze przeze mnie rozpoznawalna z daleka, gdyż wyraźnie zaznaczona, była przygotowana do jazdy do Warszawy. Już całkiem uspokojony zwróciłem na to uwagę naszej pilotce, która była dla mnie partnerką a nie tamta pani. Walizkę przeniesiono a moi antagoniści „położyli uszy po sobie”. Znow musielśmy dotrzeć do ślimaka, który umożliwił nam powrót na jezdnię, prowadzącą do Londynu.

Kto sądzi, że ujrzawszy tablicę drogową z napisem Londyn może się cieszyć, gdyż już znalazł się u celu, ten jest w błędzie. Londyn jest olbrzymim miastem. Jego powierzchnia wynosi 1495 km<sup>2</sup>. Wielka Warszawa ma tylko 445 km<sup>2</sup>. Do dworca autobusowego *Victoria Green Line Station* jedzie się jeszcze bardzo długo. Ten mały dworzec autobusowy ma tę zaletę, że znajduje się blisko stacji metra *Victoria*, co w razie gdyby nikt po nas nie wyjechał a szkoda by nam było dużych pieniędzy na taksówkę, jest bardzo wygodne.

Jeśli Drogi Czytelniku jesteś w Londynie pierwszy raz i chcesz nie przepaść w tym gigancie, a masz zamiar zwiedzić miasto, musisz w pierwszej kolejności zapoznać się z planem londyńskiego metra. To pozwoli Ci dotrzeć do najodleglejszych zakątków miasta. Plan taki otrzymasz bezpłatnie w prawie każdej stacji metra. Najistotniejsze dla osoby zwiedzającej po raz pierwszy Londyn są dwie, biegnące ze wschodu na zachód linie metra: oznaczona na planie kolorem czerwonym (*Central*) i oznaczona kolorem zielonym (*District*). Bilety na przejazd miejskimi środkami lokomocji są niestety bardzo drogie. Ich cena zależy od tego w ilu strefach obowiązują. Wszystkich stref jest 6. Jeżeli planuje się dużo przejazdów (a tak jest przy zwiedzaniu miasta) dobrze jest wykupić bilet tygodniowy, upoważniający do przejazdu wszystkimi środkami lokomocji, oczywiście w granicach stref, na jakie został zakupiony. Wypada to znacznie taniej, lecz bilet taki (*07DAY TRAVELCARD* zwany popularnie *WEECKLY*) jest również drogi. I tak na przykład wiosną 2000 roku bilet tygodniowy dla stref pierwszej i drugiej kosztował 18,20 funtów. Bilet tygodniowy można nabywać w okienku dowolnej stacji metra lub w kiosku z gazetami. Jednak w pierwszej kolejności trzeba się zaopatrzyć w legitymację uprawniającą do korzystania z takiego biletu. Załatwia się to od ręki w okienku na stacji metra. Kiedy wykupywaliśmy z Olą swoje bilety tygodniowe na małej stacyjce *Bromley by Bow* we wschodnim Londynie, sprzedawał je nam stary Hindus w ogromnym turbanie na głowie i z potężną, siwą brodą. Nie pomogła mu ona ustrzec się przed błędnym

wypisaniem mojego imienia (na zdjęciu). Wielka Brytania jest krajem stabilnym, bardzo rzadko przeprowadzającym reformy i zmiany i raz wydana taka legitymacja jest ważna przez czas nieograniczony (dopóki będzie istniało Zjednoczone Królestwo?).

Nie piszę Drogi Czytelniku przewodnika turystycznego, lecz chcę Ci zwrócić uwagę na kilka miejsc, które zwiedzający Londyn Polak powinien koniecznie zobaczyć. Na pierwszym miejscu postawiłbym „Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego”. Mieści się on w dużym budynku, będącym własnością instytutu, który znajduje się przy małej uliczce *Prince's Gate*, równoległej do biegnącej tuż obok, szerokiej *Knightsbridge*, za którą znajduje się już *Hyde Park*. Zaprowadzę Cię tam. Trzeba wsiąść na stacji metra *South Kensington* w Zachodnim Londynie, przez którą przebiegają aż trzy linie metra: zielona (*District*), żółta (*Circle*) i fioletowa (*Picadilly*). Po zejściu z peronu metra długo idziemy tunelem wzdłuż *Exhibition Rd.*, przy której znajduje się skupisko muzeów: *Geological Museum*, *Science Museum*, *Natural History Museum* oraz *Victoria and Albert Museum*. Po przejściu bardzo długiego tunelu, wychodzimy na *Exhibition Rd.*, by po przejściu na drugą stronę ulicy skierować się w stronę *Hyde Parku* i już zaraz dotrzeć do *Prince's Gate*, gdzie pod numerem 20 znajduje się instytut i muzeum. Powstały one w 1945 r., trwają do dzisiaj a nawet się rozwijają. Dzieje się tak głównie dzięki nieustrudzonej pracy wolontariuszy, ludzi z wojennej generacji, którzy odczuwają potrzebę pielęgnowania tradycji i pamięci o dziejach naszego Narodu. Do nich należy też Janina Małaszek, teściowa mojej córki, kombatantka z II Korpusu, pracująca bezinteresownie w muzeum.

Mam przed sobą „Sprawozdanie z działalności Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego od 1 stycznia do 31 grudnia 1995 r.” [8]. To jubileuszowe wydawnictwo zawiera bogate treści na temat struktury i osiągnięć instytutu i muzeum. Nie będę ich tutaj streszczał. Podzielię się tylko z Szanownym Czytelnikiem moimi wrażeniami ze zwiedzania muzeum. Poczesne miejsce zajmuje sala poświęcona gen. Andersowi (na zdjęciu). Muzeum było urządzane za jego życia. Był z nim ściśle związany. Do ostatnich dni pracował przy biurku, widocznym na zdjęciu. Pani, która mnie oprowadzała, zaproponowała mi bym usiadł przy tym biurku, w fotelu, w którym siadywał gen. Anders. Nie uczyniłem tego. Jako zdyscyplinowany żołnierz polski uważałem to za wielce nieestosowne. Zadowolilem się pamiątkowym zdjęciem w postawie stojącej obok biurka.

W tym pomieszczeniu uwagę moją zwróciła znamienna rzecz. Wśród licznych portretów różnych generalów, wywieszonych na ścianach, wisiały również portrety marszałków Józefa Piłsudskiego i Edwarda Rydza – Śmigłego. A więc jednak nasi wodzowie pojednali się. Szkoda, że dopiero po śmierci. No ale jednak nie wszyscy, gdyż gen. Władysław Sikorski ma

w muzeum oddzielne (nieco mniejsze) pomieszczenie. Znajduje się ono na parterze, po lewej stronie. Choć instytut nosi jego imię wydało mi się, że poświęcona mu ekspozycja jest skromniejsza niż generała Andersa. Nic dziwnego, kiedy organizowano muzeum gen. Sikorski już nie żył, natomiast gen. Anders odgrywał znaczącą rolę wśród emigracji londyńskiej.

W tym pomieszczeniu, poświęconym pamięci generała Władysława Sikorskiego znajduje się biurko oraz krzesło, przy których pracował jako premier i naczelny wódz w swojej kwaterze w hotelu „Rubens”. Nad biurkiem wisi portret generała, namalowany w Londynie w czasie wojny. Na biurku stoi fotografia księcia Kentu z żoną. Z księciem Kentu gen. Sikorski przyjaźnił się. Sam książę Kentu również zginął tragicznie w katastrofie samolotowej. Na biurku leży też papierośnica generała i kilka innych drobnych przedmiotów i fotografii. Jest tam również popiersie generała. Dwa, wydobyte z morza mundury, które Sikorski i jego córka byli już zdjęli, przygotowując się do snu, znajdują się w innej sali, na górze. Niedaleko mundurów, w tej samej sali wisi portrecik córki generała Zofii Leśniowskiej. Znajduje się tam również model *Liberatora*, w którym zginął generał Władysław Sikorski.

Niedawno, syn księcia Kentu odsłonił ufundowany ze składek pomnik gen. broni W. Sikorskiego (na zdjęciu), ustawiony naprzeciwko Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej, która znajduje się przy *Portland Street*, pod numerem 47. Jeżeli Drogi Czytelniku znajdziesz się w Londynie w czasie kiedy w Polsce odbywają się wybory, powinienesz udać się tam właśnie, do ambasady, by oddać swój głos. Formalnie wymagane jest zaświadczenie ze swojej komisji wyborczej, po którego wydaniu wykreślają Twoje nazwisko z listy wyborców w kraju, to jednak jak zaobserwowałem przy głosowaniu tam, nie jest ono konieczne. Jeżeli ktoś je ma, patrzą na niego jak na dziwaka. No cóż, nasi rodacy.

Ambasada jest bardzo dobrze usytuowana, w samym centrum Londynu. By się tam dostać wystarczy wysiąść z metra na stacji *Oxford Circus*, znajdującej się przy skrzyżowaniu dwu reprezentacyjnych ulic *Regent Street* i *Oxford Street*. Stamtąd podążamy ulicą *Regent Street* w kierunku północnym, by po przejściu przez *Langham Place*, znaleźć się na *Portland Place*. Nie jest to daleko. Kiedy tam z żoną głosowaliśmy, spotykaliśmy po drodze ludzi, którzy rozpytywali jak dojść do ambasady. Z ich twarzy można było wyczytać, że mają już określone swoje bardzo wyraźne preferencje. Jakież?

Chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do postaci generała Władysława Sikorskiego. Jest dla mnie zastanawiające dlaczego w Polsce tak mało uwagi poświęca się pamięci tego Wielkiego Polaka. Umieszczono Jego szczytąki na Wawelu.... i tyle. Teraz, kiedy kto może wznosi pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego, brakuje mi pomników generała broni inż. Władysława Sikorskiego, premiera i naczelnego wodza w najcięższych dla

Polski chwilał II Wojny Światowej, który zginął śmiercią tragiczną w służbie Narodu.

Skromny portrecik marszałka Polski Edwarda Rydza – Śmigłego, umieszczony na ścianie izby pamięci gen. Władysława Andersa, skłania do refleksji. Jest to moim zdaniem jedna z najbardziej tragicznych i pokrzywdzonych niesprawiedliwym osądem postaci w historii polskiej wojskowości. Znakomity dowódca, ma za sobą piękną kartę bojową. Między innymi: zastępca dowódcy 1 Brygady Legionów Polskich; komendant Główny Polskiej Organizacji Wojskowej (POW); minister wojny w Rządzie Lubelskim Ignacego Daszyńskiego; dowódca 1 Dywizji Piechoty Legionów przy zdobywaniu Wilna; dowódca grupy operacyjnej; dowódca kampanii na Łotwie w wojnie bolszewickiej; dowódca 3 Armii w kampanii kijowskiej; dowódca Frontu Południowo – Wschodniego; dowódca Frontu Środkowego; dowódca prawego skrzydła grupy uderzeniowej działającej znad Wieprza, która zdecydowała o losach Bitwy Warszawskiej; dowódca 2 Armii i jednocześnie inspektor armii w Wilnie; Generalny Inspektor Sił Zbrojnych; od 10.11.1936 marszałek Polski; naczelny wódz w wojnie obronnej 1939 roku. I z tym właśnie ostatnim stanowiskiem wiążą się nieusprawiedliwione i krzywdzące zarzuty.

Przez długich 5 lat wojny obaj okupanci formowali negatywny wizerunek marszałka Edwarda Rydza Śmigłego. Wspomagali ich w tym zwolennicy gen. Władysława Sikorskiego na zachodzie a także władze w kraju, głównie w pierwszym okresie po zakończeniu wojny. Wizerunek ten utrwalił się i przetrwał w niektórych środowiskach do dziś. Niektórzy zarzucają mu nieudolne dowodzenie w wojnie 1939 roku, inni rzekomą „ucieczkę” z placu boju do Rumunii w dniu 18 września 1939 r. I oto w audycji Dariusza Baliszewskiego „Rewizja nadzwyczajna” występuje starszy pan, przedstawiony jako płk Stefan Soboniewski, były starosta Kalisza, który w emocjonalnym wystąpieniu używa takich zwrotów jak: „hetman opuszczający wojsko” itp. Kogo ma słuchać i w co ma wierzyć młodzież ucząca się historii? Jak można było skutecznie dowodzić przy tak druzgocącej różnicy sił i środków? Wszak Niemcy dysponowali liczbą około 1,85 miliona żołnierzy, około 2000 samolotów bojowych wysokiej klasy, 2700 czołgów, ponad 10 000 dział różnego kalibru i silnych zespołów floty wojennej. Polska miała około 1 miliona żołnierzy, 400 przestarzałych samolotów bojowych, 870 czołgów i samochodów pancernych łącznie, 4300 dział oraz niewielkie siły floty [7]. A do tego jeszcze cios w plecy od źle zorganizowanej ale za to potężnej liczebnie i dobrze wyposażonej w sprzęt Armii Czerwonej. Działania wojenne w Polsce trwały przez 36 dni. A jak się to ma do kapitulacji połączonych sił Francji i Wielkiej Brytanii w 1940 roku?



Chciałbym też odnieść się do stanowiska zajętego przez pana, panie pułkowniku Soboniewski w sprawie rzekomej „dezercji” marszałka. Pan jako wojskowy powinien to wiedzieć, że w razie okrażenia, tym co powinien zrobić dowódca, jest wyprowadzenie wojsk z okrażenia. Jeżeli Hitler nie byłby szaleńcem, który nie pozwolił wycofać niemieckich wojsk spod Stalingradu wtedy, kiedy tego domagał się gen. *von Paulus* i tym samym doprowadził do ich okrażenia i zniszczenia, wojna mogłaby potrwać jeszcze znacznie dłużej.

A Rydz – Śmigły? Kiedy sytuacja stała się już beznadziejna, wydał rozkaz podległym dowódcom, przebijania się za wszelką cenę wraz z wojskiem do Rumunii i Węgier, żeby stamtąd udać się do Francji, celem kontynuowania walki. Czy w tej sytuacji mogłaby być podjęta lepsza decyzja? A co do osoby jego samego, jak miał postąpić kiedy rozpoznanie zameldowało, że oddziały Armii Czerwonej zbliżyły się na niebezpieczną odległość i lada chwila mogą dotrzeć do miejsca gdzie się znajdował? Były możliwe, jak sądzę 3 rozwiązania. Jedno z nich to pójść do sowieckiej niewoli. Czytelnik sam wie jakie byłyby jego losy. Na pewno nie pozwoliliby mu zatrzymać szabli, tak jak Niemcy (do czasu) majorowi Sucharskiemu na Westerplatte. Czy to służyłoby Polsce? Jak demoralizująco działałoby na żołnierzy. Drugim wyjściem było zastrzelić się. To byłoby tchórzostwo a Śmigły tchórzem nie był. Świadczą o tym relacje z bitew, w których brał udział. Wyjście, które wybrał było jedynym, rozsądnym rozwiązaniem. Udał się tam, dokąd skierował swoich żołnierzy. A więc nie porzucił swoich żołnierzy, jak mu niektórzy imputują, lecz poszedł wraz z nimi, by się przedostać na zachód celem prowadzenia dalszej walki. Nie mógł przewidzieć „pułapki rumuńskiej”. Wszak Polska miała z Rumunią pakt wojskowy, który zobowiązywał każde z tych państw do wystąpienia zbrojnego w razie napaści na partnera. Nie oczekiwałbym od Rumunów by się rzucili na Hitlera, dlatego, że mieli w biurku jakąś kartkę papieru, lecz to, że ulegli naciskom ambasadora Niemiec i internowali prezydenta, naczelnego wodza i rząd Rzeczypospolitej było przykrą niespodzianką.

Nie piszę monografii o marszałku Rydzu – Śmigłym, więc nie będę robił konkurencji panom C. Chłebowskiemu, D. Baliszewskiemu oraz innym bardziej do tego powołanym ode mnie i nie będę przypominał jego heroicznego powrotu do kraju w 1941 roku. Ale nie jestem w stanie się oprzeć, napisaniu jeszcze kilku słów o tym, że Rydz – Śmigły był dobrym malarzem (o czym na ogół wiadomo) lecz również poetą, o czym większość Polaków nie wie. Przed pierwszą wojną światową studiował on malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem prof. Leona Wyczółkowskiego. W czasie internowania wykonał wiele ładnych obrazów [9]. Ale pisał też wiersze, pełne goryczy, oddające jego nastrój. A oto fragment jednego z nich według [9]:

*O Boże, jeśli wina ciąży na mnie,  
To niech Twa wola sprawiedliwość czyni,  
Lecz nie ta szajka ojczyźniąca kłamnie  
I nie ta zgraja kupcząca w świątyni*

*Odeszli....tylko dwóch lub trzech  
Z całego tłumu pozostało  
Nie skarzę się, że ich tak mało,  
Tamtych zaś żegna drwiący śmiech.  
Nie pragnę ani serc ni dusz,  
Ani pociechy ni przyjaźni.  
Opancerzyłem się w tej kaźni,  
Oskorupiałem się wśród burz.*

Na zakończenie tego wątku chciałbym się jeszcze zwrócić do pana Stefana Soboniewskiego, byłego starosty Kalisza (pułkownika). Szanowny Panie Starosto, jeżeli ma pan taką możliwość to bardzo proszę, niech się pan uda na Cmentarz Powązkowski i odszuka kwaterę (139-IV-1). Ujrzy pan tam świeże, cięte kwiaty na grobie marszałka. Niech się pan wtedy zastanowi nad tym co pan głosi i zrozumie, że jest pan osamotniony w swoich poglądach.

Innym obiektem, który Polak przebywający w Londynie powinien odwiedzić jest Polski Ośrodek Społeczno – Kulturalny w Wielkiej Brytanii (w skrócie POSK). Mieści się on przy ulicy *King Street* 238 – 246, w dzielnicy *Hammersmith*. Aby tam dotrzeć trzeba wysiąść na stacji *Ravenscourt Park* zielonej linii metra. Znajduje się ona tuż obok dużej stacji *Hammersmith*. Stamtąd już niedaleko przebiega *King Street* i mieści się POSK. Myślisz drogi Czytelniku:

- Co ja właściwie czytam? Książkę wspomnieniową, czy przewodnik turystyczny? To spróbuj posłużyć się planem miasta bez dodatkowych wskazówek. W wydanym w 1992 r. w formie książkowej planie Londynu [10], który mam przed sobą, figuruje 11 ulic o nazwie *King Street*, już nie biorąc pod uwagę 22 ulic o nazwie *King's Road*. Oj lubili oni tych swoich królów, lubili. Zabawną historię opowiedziała mi zamieszkała w Londynie Polka. Zaprosiła ona kiedyś do siebie gościa z kraju, który przybył po raz pierwszy do Londynu. Podała mu nazwę swojej ulicy i numer. Jakież było jego zdziwienie, gdy stwierdził, że pod podanym adresem mieści się (użyjmy nowoczesnej nazwy) „Agencja towarzyska”. Już nie chcę sobie wyobrażać przebiegu rozmowy owego pana z właścicielką tej agencji, która prawdopodobnie zapewniała go, że pani o takim nazwisku u niej nie pracuje, lecz mają szeroką i interesującą ofertę.

Lecz powróćmy do POSK-u. Ośrodek jest znany głównie z tego, że mieści się w nim Instytut J. Piłsudskiego. Lecz nie tylko. Według [11], organizacjami członkowskimi Rady POSK-u są:

Stowarzyszenie Techników Polskich;  
Towarzystwo Popierania Nauki Polskiej;  
Związek Polskich Oficerów Marynarki Handlowej;  
Instytut Wschodni „Reduta”;  
Gmina Polska Zachodniego Londynu;  
Stowarzyszenie Saperów;  
Polska Macierz Szkolna;  
Fundusz Społeczny Żołnierza;  
Gmina Polska Londyn Południe;  
Stowarzyszenie Lotników Polskich;  
Stowarzyszenie Lotników Polskich *Blackpool*;  
Polski Ośrodek Młodzieżowy;  
Ognisko Polskie;  
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów;  
Polski Ośrodek Katolicki – *Leamington Spa*;  
POSKlub.

Według cytowanej publikacji w 1998 roku POSK liczył 10 000 członków. W budynku POSK-u znajduje się stoisko z prasą polską. Jest to jedyne takie miejsce, które znalazłem w Londynie. W zwyczajnych kioskach i sklepach Londynu polskich gazet nie uświadczy się. Brytyjska telewizja prawie wcale nie informuje o wydarzeniach w Polsce, zaś telewizji „Polonia” nasze dzieci nie mają, gdyż ze względu na protest niektórych mieszkańców gmina zabroniła umieszczania na zamieszkałym przez nich budynku anten satelitarnych. Informacje o sytuacji w kraju uzyskiwałem z wypożyczanej mi przez teściową córki gazetki „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, którą ona prenumeruje już 55 lat.

Pragnę jeszcze poświęcić trochę uwagi mieszczącemu się w POSK-u „Instytutowi Józefa Piłsudskiego w Londynie”. Tak brzmi obecnie oficjalna nazwa tego instytutu. Jest on kontynuacją „Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski”, który powstał w Warszawie w latach 1923 – 1924. Po śmierci marszałka J. Piłsudskiego instytut ten został zreorganizowany i przemianowany na „Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski”. Instytut wydał do roku 1939 liczne publikacje z zakresu najnowszej historii Polski, takie jak pamiętniki, monografie naukowe i wydawnictwa źródłowe a także czasopismo „Niepodległość”. Największym jednak przedsięwzięciem instytutu było dziesięciotomowe wydawnictwo pism zbiorowych Józefa Piłsudskiego pt. „Pisma, Mowy, Rozkazy”.

Przerwana przez wojnę działalność instytutu podjęta została po wojnie, na emigracji w Londynie. W marcu 1947 r. powołano do życia

„Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie – Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski”. Spełnia on takie same zadania jak instytut działający w Warszawie do 1939 r. Ma on na celu prowadzenie badań historycznych, związanych z najnowszymi dziejami Polski, ze szczególnym uwzględnieniem działalności J. Piłsudskiego. Naczelnym zadaniem instytutu jest ustalanie i strzeżenie prawdy historycznej.

Zadania te instytut spełnia przez: zbieranie, przechowywanie i badanie dokumentów dotyczących faktów z najnowszej historii Polski; gromadzenie zbiorów dokumentów i relacji historycznych, zbiorów muzealnych i prowadzenie biblioteki, która zawiera wydawnictwa związane z przedmiotem badań instytutu. Ponadto zajmuje się opracowywaniem gromadzonych materiałów historycznych i wydawaniem drukiem wyników tych opracowań, organizowaniem odczytów i wykładów, współpracą z podobnymi instytucjami polskimi i obcymi a także akcją wydawniczą. Instytut wydaje okresowo swój komunikat, który zawiera sprawozdania z jego działalności oraz informacje o zwiększających się zbiorach, inwentaryzowanych i opracowywanych naukowo.

Archiwum instytutu obejmuje: Archiwum Dokumentów, Archiwum Fotografii oraz Archiwum Prasy i Map. Biblioteka instytutu obejmuje około 3500 pozycji książkowych i wydawnictw (według stanu z 1992 r.) Biblioteka dzieli się na dział archiwalny (wydawnictwa do 1939 roku) i dział ogólny. Z biblioteki można korzystać w czytelni w siedzibie instytutu.

Wśród gromadzonych w muzeum instytutu pamiątek (darów, depozytów), do najcenniejszych należą: zbiór odznak pułkowych pułków Legionów Polskich; mundur marszałka Piłsudskiego i jego odznaczenia; symboliczne srebrne klucze Wilna, ofiarowane marszałkowi w 1922 r.; a także srebrna buława ofiarowana J. Piłsudskiemu przez wojsko w 1920 roku; 8 szabli, w tym tzw. szabla legionowa, ofiarowana przez oficerów I Brygady Legionów swojemu komendantowi w 1916 r.

Znajdują się tam również portrety, obrazy i rzeźby a wśród nich: obraz Wojciecha Kossaka „Marszałek na Kasztance” i rzeźba głowy marszałka, dłuta Alfonsa Karnego.

Będąc w Londynie warto odwiedzić duże skupisko emigrantów polskich, jakim jest dzielnica *Ealing* w zachodniej części miasta. Do końcowej stacji metra *Ealing Broadway* można dojechać linią czerwoną (*Central*) lub zieloną (*District*). Lecz wsiadając do biegnącego na zachód wagonu tej linii trzeba uważać, żeby wsiąść do pociągu z napisem nad przednią szybą *Ealing Broadway*, nie zaś *Richmond* lub *Wimbledon*, gdyż te skręcają na południe. *Ealing* masowo zamieszkują Polacy. Są to ludzie z emigracji powojennej i ich potomkowie, przeważnie są oni dość zamożni. Trzeba nadmienić, że w tej właśnie dzielnicy znajduje się sobotnia szkoła

dla dzieci polskich a także, że *Ealing* jest już w trzeciej strefie komunikacyjnej i mając bilet okresowy dla stref 1 i 2 trzeba dopłacić.

Zwiedzaliśmy *Ealing* w niedzielę. Znaleźliśmy się obok dużego kościoła katolickiego. Ponieważ właśnie wtedy msza się skończyła, z kościoła wyległ na dziedziniec tłum dobrze ubranych, wesołych, zadowolonych ludzi. Rozbrzmiewała miła dla ucha zmęczonemu codzienną angielszczyzną piękna mowa polska. Ale trzeba wiedzieć, że nie wszystkim Polakom z emigracji powojennej tak się powiodło. Nasz zięć, studiując fotografię artystyczną w *Napier University* w Edynburgu obrał sobie za temat pracy dyplomowej reportaż z obozu emigrantów polskich w pewnym miasteczku w Anglii. Reportaż, który był później wystawiony na jednym z wernisaży fotograficznych, był wstrząsający. Choć były to już wczesne lata dziewięćdziesiąte, ludzie wciąż jeszcze zamieszkiwali w barakach wybudowanych w czasie wojny. Byli to starcy, kobiety i mężczyźni, którzy nie potrafili się dostosować do nowych warunków i żywili. Ich życie było szare i beznadziejnie nieciekawe. Jedynym wydarzeniem w ich życiu była wędrówka do kościoła. Socjalny charakter państwa jakim jest Wielka Brytania zapewniał im utrzymanie i dach (baraku) nad głową. I nic poza tym.

Kiedy jedziemy zieloną linią metra ze wschodu na zachód i wsiedliśmy do pociągu z napisem *Richmond* nad przednią szybą to po wyjściu ze strefy 3 skręcimy w lewo i dojedziemy do stacji metra *Gunnersbury*, gdzie znajduje się cmentarz, mieszczący wiele polskich grobów. Na cmentarzu tym wyróżnia się swoją smukłą sylwetką Pomnik Katyński, wybudowany staraniem tamtejszej Polonii. Walka o zgodę na wzniesienie tego pomnika była długa i ciężka. Władze Londynu nie chcąc psuć stosunków z potężnym jeszcze wówczas mocarstwem ZSRR, odmówiły kategorycznie zgody na umieszczenie pomnika na jakimś placu lub skwerze w mieście. W rezultacie w 1976 r. znalazł się na cmentarzu. Tuż obok pomnika znajduje się dobrze utrzymany grobowiec jednego z prezydentów RP na wychodźstwie – Kazimierza Sabbata. W polskiej części cmentarza znajdowały się groby wielu polskich generałów i oficerów oraz ich rodzin. Trzeba wymienić pośród nich grób generała Józefa Hallera i komendanta głównego Armii Krajowej generała Tadeusza Bora - Komorowskiego. Szczątki niektórych spośród nich zostały przewiezione do kraju, lecz symboliczne mogiły pozostały. Zwróciłem uwagę na mogiłę gen. Komorowskiego i jego żony. Widziałem ten grób dwukrotnie: przed ekshumacją i po niej. Prace zostały wykonane niedbale i po przewiezieniu trumny generała do kraju płyta mogiły przechyliła się i zapadła. Czy nie lepiej byłoby żeby tam pozostał?

Na tym cmentarzu można też zobaczyć duże skupisko grobów ukraińskich. Zdziwiło mnie skąd jest ich tam aż tak dużo. Teraz, kiedy

prasa brytyjska zamieściła informację, że po wojnie przyjęto na wyspę znajdujących się w niewoli brytyjskiej żołnierzy dywizji SS *Galizien* (*Галичина*), sprawa stała się dla mnie jasna. Są tak sprzeczne informacje na temat ich liczby, że wolę się do tego nie odnosić. Powtarzającą się w prasie informacja o ośmiu tysiącach wydaje mi się przesadzona. Wielu ludzi z tej dywizji poległo lub dostało się do niewoli w bitwie pod Brodami, gdzie została doszczętnie rozbita przez Armię Czerwoną, wielu uciekło lub wstąpiło do *UPA*. Skąd więc znalazłoby się ich aż tak wielu? Napisy na tablicach nagrobnych wykonane są w języku ukraińskim. Tu i ówdzie wypisane są też ukraińskie stopnie wojskowe. Przez kogo i kiedy nadane? O tym nie napisano, lecz oczywiście nigdzie nie występuje skrót SS. Nie zapominajmy również, że z wojskiem gen. Andersa przyszło z ZSRR wielu Ukraińców, gdyż przyjął on jako zasadę by wcielać do szeregów wszystkich obywateli Państwa Polskiego z przed wybuchu II Wojny Światowej.

Na cmentarzu *Gunnensbury* zobaczyłem rzecz niepowtarzalną, której nie widziałem dotąd nigdzie na świecie. Otóż rolka papieru toaletowego w ubikacji jest tam zamykana na kłódkę. Żeby ją sobie przywłaszczyć lub wymienić zużytą na nową trzeba otworzyć kłódkę kluczykiem. Żeby nie było jakichś niepotrzebnych komentarzy nadmienię, że na tym cmentarzu spoczywają szczątki nie tylko Polaków i Ukraińców, lecz również obywateli brytyjskich różnego pochodzenia w tym również Anglików.

Kiedy już jesteśmy przy sprawach cmentarnych wspomnę, że podczas pierwszego pobytu w Londynie postanowiliśmy zwiedzić cmentarz *Highgate*, w dzielnicy o tej samej nazwie. Jest to elegancka dzielnica ludzi zamożnych, znajdująca się w północnej części Londynu. Widzieliśmy tam całe kwartały domów przy zamkniętej szlabanem ulicy z napisem *Private*. Aby dotrzeć do cmentarza można dojechać do stacji *Hampstead*, czarnej linii metra (*Northern*), pociągami z nazwą stacji końcowej *Edgware*. Stamtąd jest jeszcze spory kawałek drogi, lecz przyjemnej, wśród terenów pokrytych tu i ówdzie zielenią.

Nasze zainteresowanie tym właśnie cmentarzem spowodowane było wyczytaną w przewodniku informacją, że znajdują się tam mogiły uczestników powstania listopadowego 1830 roku, w tym grób Stanisława Worcella. Kiedy dotarliśmy do cmentarza trzeba było wykupić bilet wstępu. Zapytany gdzie znajdują się polskie groby, dozorca wskazał nam uprzejmie właściwe, jego zdaniem miejsce. Lecz kiedy podeszliśmy do tych mogił okazało się, że spoczywają tam co prawda Polacy, lecz z powojennej emigracji, przeważnie oficerowie (lecz już nie tak wysokich stopni jak na cmentarzu *Gunnensbury*). Przeszliśmy cmentarz wzdłuż i wszerz by odszukać interesujące nas groby, lecz bezskutecznie. Natrafiiliśmy natomiast na grobowiec Karola Marksa z napisem „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Odwiedzają to miejsce ludzie z całego

świata, często przynosząc świeże kwiaty. My natknęliśmy się na grupę Japończyków ze swoimi wspaniałymi aparatami fotograficznymi. Dla mnie jako elektryka interesujący był grób zmarłego w 1867 roku *Michaela Faraday'a*.

Kiedy poprosiliśmy dozorcę o pomoc w znalezieniu interesujących nas grobów, znów spokojnie (z angielską flegmą?) poinformował nas, że tamte groby znajdują się w starszej części cmentarza, po drugiej stronie ulicy *Swain's Lane*, która zasadniczo jest zamknięta dla publiczności i brama otwierana jest tylko w niektóre dni, w określonych godzinach, dla ludzi, którzy załatwią sobie wcześniej zwiedzanie. W tym dniu była zamknięta i dlatego nie obejrzelśmy „Wzgórza Białego Orła” (*White Eagle Hill*), gdzie spoczywa sześciu uczestników powstania listopadowego. Postaramy się tam jeszcze powrócić.

Bardzo przyjemnie jest Polakowi będącemu w Londynie odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Jeżeli lubimy spacerować to warto, podążając ulicą *Fleet Street* w kierunku zachodnim iść dalej jej przedłużeniem, ulicą *Strand*. *Fleet Street* jest znaną ulicą, przy której mieściły się ongiś redakcje licznych czasopism. Są tam również budynki Sądów Królewskich (*Royal Courts of Justice*), wzniesione w 1882 r. Idąc ulicą *Strand* natrafimy na okolony przez nią z obu stron mały kościółek *St. Clement Danes*, zaprojektowany przez wybitnego londyńskiego architekta *Wrena* w 1679 r. Obecnie jest on kościołem Królewskich Sił Powietrznych (RAF). Wnętrze kościoła ozdabiają liczne tablice pamiątkowe i symbole Królewskich Sił Powietrznych. Na posadzce znajduje się płyta pamiątkowa ku czci lotników polskich, którzy brali udział w walkach o Wielką Brytanię, odsonięta w 1968 r. Pośrodku płyty znajduje się dużych rozmiarów orzeł Polskich Sił Powietrznych. W czterech rogach widnieją białe – czerwone szachownice, znak polskich samolotów bojowych. Na obrzeżach widzimy, umieszczone w kwadratach symbole jednostek, w których walczyli polscy lotnicy. Takich kwadratów jest 16. Trzeba podkreślić, że poza tą tablicą, nie ma innych, które upamiętniałyby wkład lotników biorących udział w bitwie o Wielką Brytanię, pochodzących z innych krajów (np. Czechów, Francuzów czy też Kanadyjczyków)

Kiedy Drogi Czytelniku wyjdiesz już z kościółka *St. Cement Danes* i ujrzysz biegnącą łukiem po prawej stronie ulicę *Aldwych*, to zobaczysz na wprost wzniesioną w 1905 roku statuę czterokrotnego premiera Wielkiej Brytanii *Williama Gladstone'a*.

Jeżeli zaś nie masz ochoty na spacer ulicą *Fleet Street*, lecz chcesz najprościej dotrzeć do owej wzruszającej tablicy w kościółku św. Klemensa, to proponuję wysiąść na stacji metra *Aldwych*, fioletowej linii (*Picadilly*). „Wożę Cię” wyłącznie pociągami metra, tak jakby nie było autobusów

w Londynie. Owszem, są i to bardzo dużo, lecz jazda nimi długo trwa, ze względu na zatłoczone ulice. Lecz aby obejrzeć miasto, warto pojeździć sobie na kilku wybranych trasach autobusami. Najlepiej jest wspiąć się na piętro i jeżeli to możliwe zająć miejsce w pierwszym rzędzie, tuż przy oknie.

## 7. Reorganizacja instytutu

W styczniu 1995 r. Instytut Systemów Pomiarowych i Automatyki, który powstał w 1973 r. z połączenia Katedry Elektrotechniki i Katedry Maszyn Elektrycznych został zreorganizowany przez dołączenie do niego Zakładu Układów Elektronicznych i otrzymał nazwę: Instytut Podstaw Elektroniki. W dniu kiedy piszę te słowa (16 stycznia 2001 r.) dyrektorem instytutu jest prof. dr hab. inż. Augustyn Chwaleba, jego zastępcą jest płk dr hab. inż. Czesław Przybysz – profesor nadzwyczajny WAT. Zastępcą dyrektora instytutu ds. logistyki (nie wiadomo czemu określonym w etacie jako „Główny Specjalista Instytutu”) jest płk mgr inż. Roman Wrona.

Instytut ma 5 zakładów naukowo-dydaktycznych. Podam teraz ich nazwy wraz z nazwiskami aktualnych kierowników: Zakład Teorii Obwodów i Sygnałów – kierownik ppłk dr inż. Leszek Iwanejko; Zakład Elektrotechniki – kierownik mjr dr inż. Zbigniew Watral, który przejął właśnie tę funkcję od odchodzącego do rezerwy płk. dr inż. Jana Sienkiewicza, który piastował ją przez 9 lat; Zakład Miernictwa Elektronicznego – kierownik dr inż. Piotr Baszun; Zakład Układów Elektronicznych – kier. płk dr inż. Józef Boksa a także Zakład Automatyki i Diagnostyki - kier. płk dr inż. Tadeusz Dąbrowski. Według danych zamieszczonych w Internecie, potencjał instytutu jest następujący: 5 profesorów, 3 doktorów habilitowanych, 18 doktorów, 40 magistrów inżynierów, 1 inżynier i 12 osób – pracowników technicznych i administracyjnych. Głównymi kierunkami prac naukowych i badawczo – rozwojowych postawionymi przed placówkami instytutu na najbliższe lata były: metrologia struktur półprzewodnikowych; pomiarowa identyfikacja pól fizycznych; pomiary wielkości mechanicznych; pomiary na użytek elektro-medycyny, współczesne metody przetwarzania i analizy sygnałów; diagnostyka techniczna; metrologia optoelektroniczna; mechatronika (elektromaszynowe elementy automatyki i ich elektroniczne układy sterowania).

Za datę powstania nowej formy instytutu uważa się dzień 1 lutego 1995 r. W lutym tegoż roku nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora instytutu i profesora Jerzego Barzykowskiego zastąpił prof. Augustyn Chwaleba. W dniu 26 lutego 1995 r. odbyła się oficjalna uroczystość związana z przekazaniem instytutu w ręce nowego dyrektora. W dużym Laboratorium Miernictwa Elektronicznego zgromadził się w komplecie cały personel instytutu. Przybyli również przedstawiciele Komendy Wydziału



Elektroniki: komendant – dziekan wydziału płk doc. dr inż. Marek Amanowicz i jego zastępcy – płk dr inż. Wojciech Kocańda, płk dr inż. Piotr Gajewski, płk dr inż. Mieczysław Żurawski i płk mgr inż. Grzegorz Sundman. Spotkanie zagał dziekan Amanowicz, który powiedział między innymi:

*-Następuje zmiana sternika okrętu, który nazywa się Instytut Podstaw Elektroniki. Prof. Barzykowski wyszedł już z wieku młodzieńczego i osiągnął jak na profesora wiek dojrzały (sześćdziesiąt i trochę lat). Ma za sobą 14 lat szefowania w instytucie. Kolejne lata będą owocne, z korzyścią i satysfakcją odbierane przez pracowników Instytutu Podstaw Elektroniki.*

Dziekan bardzo serdecznie podziękował profesorowi, życząc mu wielu lat w zdrowiu, sukcesów i wszelkiej pomyślności. Na ręce profesora przekazał krótki adres i drobny upominek od Komendy Wydziału. Następnie dziekan Amanowicz przedstawił krótko zadania stojące przed instytutem, a wśród nich zintensyfikowanie kroków w dziedzinie prac naukowych – badawczych i dydaktycznych.

Następnie zabrał głos prof. J. Barzykowski, który stwierdził, że pracę w WAT rozpoczął w dniu 1 marca 1953 r. i wkrótce miną 42 lata jego pracy w WAT. Powiedział, że z ogromną radością przyjął decyzję prof. Chwaleby, kierowania instytutem. Instytut liczył do niedawna 40 parę osób, a teraz liczbę tę więcej niż podwoiliśmy. Natomiast obciążenie dydaktyczne potroiliśmy. Podziękował kolegom i współpracownikom za życzliwość i stworzenie przyjemnej atmosfery, która jest podstawą wszelkich sukcesów.

Po jego wystąpieniu do profesora Barzykowskiego podeszła delegacja pracowników instytutu. Pośrodku szedłem ja, zaś obok mnie dwie panie z kwiatami: pani mgr inż. Helena Morozowa i pani mgr inż. Irena Persakowa. Moim zadaniem było „trzymać mowę”, panie miały za zadanie wręczyć kwiaty i wycalować odchodzącego ze stanowiska szefa. Powiedziałem:

*- Drogi, Szanowny Szefie !*

*Pozwól, że zawsze tak cię będę nazywał, gdyż ten Twój tytuł jest dla mnie dożywotni. Jestem dumny, że przypadło mi w udziale w imieniu całego zespołu złożyć Ci serdeczne podziękowanie za tych 14 lat kierowania instytutem a także za poprzednie lata, kiedy jako zastępca szefa byłeś animatorem wielu naszych osiągnięć i sukcesów.*

*Chciałbym szczególnie podkreślić, że nie używam słowa pożegnanie lecz podziękowanie, bo ty się z nami nie żegnasz, lecz będziemy nadal korzystać z Twojej wiedzy, intelektu i doświadczenia. Że będziesz dzielił z nami troski i kłopoty.*

*Wybacz, że pozwolę sobie na pewien akcent osobisty i powiem, że byłeś najlepszym szefem jakiego kiedykolwiek miałem. W tym miejscu*

nastąpiły oklaski które, jak zrozumiałem, miały oznaczać, że dla wszystkich był takim szefem. Po wyjaśnieniu, że prezentu od zespołu instytutu (zestawu wędkarskiego) nie wręczam mu fizycznie, gdyż jest on dość duży i dlatego stoi nieopodal, powiedziałem jeszcze:

*- Niechaj ten sprzęt służy Ci nie tylko do refleksji, gdy usiądziesz z nim w rękę nad jakimś ekologicznie czystym akwenem, ale również do planowania dalszych sukcesów i dalszych osiągnięć.*

O tym, że wystąpię zostałem powiadomiony wcześniej przez płk. Przybysza, miałem więc czas ułożyć sobie w głowie plan wypowiedzi. Natomiast całkowitym zaskoczeniem dla mnie było, gdy dowiedziałem się, że mam również przemówić do prof. Chwaleby, w tym samym otoczeniu pań z kwiatami. Zaimprovizowałem więc:

*- Dla Pana nie mam tylu słów, gdyż Pan dopiero startuje i sądzę, że oczekuje Pan od nas nie słów, lecz czynów. Więc ja poczuwam się w tej chwili upoważniony do podjęcia zobowiązania, że czynów według Pana wskazówek z naszej strony nigdy nie zabraknie.*

Wtedy przemówił prof. Chwaleba, który zaczął słowami:

*Szanowny, miły mojemu sercu Jurku, Panie Dziekanie, Panie i Panowie! Jako człowiek, który przyszedł tutaj z zewnątrz chcę dorzucić jeszcze parę momentów. Prof. Barzykowski ma tak wysoką pozycję nie tylko w wydziale i w WAT, lecz jedną z czołowych pozycji w szeroko pojętym polskim środowisku metrologicznym. Świadczą o tym na przykład wybory do Komitetu Metrologii i Aparatury Naukowej Polskiej Akademii Nauk, kiedy to zdystansował wszystkich i wszedł do komitetu na pierwszej pozycji.*

W dalszym ciągu swojego wystąpienia prof. Chwaleba podkreślił fakt doprowadzenia przez prof. Barzykowskiego instytutu do świetności a także liczbę wypromowanych przez niego doktorów. Również to, że w swojej mądrości zaproponował on szereg korzystnych rozwiązań a wśród nich studium doktoranckie. Powiedział:

*- Pańskie pomysły i decyzje będą moimi decyzjami.* Następnie omówił zadania stojące przed instytutem. Wśród nich – w dziedzinie dydaktyki jej informatyzację a także zorganizowanie studium podyplomowego. Jednym z zadań jest ożywienie działalności naukowej a w tym: większy udział w pracach badawczych finansowanych przez KBN a także w pracach na rzecz wojska, gdyż przemysłu, z którym współpracowaliśmy praktycznie nie ma. Docelowo jednym z ważnych elementów jest potrzeba zajęcia się szeroko rozumianym problemem przetwarzania sygnałów. Mówił też o potrzebie federacji nowych zakładów, zarówno w dziedzinie nauki jak i dydaktyki.

Ostatnie wystąpienie należało do majora rezerwy Jakubiaka, który pod kierunkiem prof. Barzykowskiego uczestniczył w licznych pracach naukowych z dziedziny metrologii w służbie medycyny, w których brał też

udział profesor Donat Tylman z Instytutu Chirurgii Urazowej, Ortopedii i Neurochirurgii Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej. Po transformacji ustrojowej 1989 r. mjr Jakubiak zwolnił się z wojska i podjął pracę w dziedzinie elektronicznych systemów alarmowych w bankach, gdzie uplasował się na wysokim stanowisku. Przywiózł ze sobą prezenty w dużej torbie reklamówce, niestety nie przezroczyściej.

Uroczystość zakończyła się bankietem, który upłynął w przyjemnej atmosferze. Kiedy przedstawiciele kierownictwa opuścili towarzystwo, ja również wymknąłem się do domu. Pozostał jednak kamerzysta, który wytrwał do końca, dzięki czemu sporządzoną przez niego kasetę video ogląda się z jeszcze większym zainteresowaniem. Wykonał wiele zbliżeń rozbawionych twarzy, zarejestrował bardzo ciekawe dialogi.

## 8. Groby

W 1995 roku zrealizowałem swoje od dawna planowane zamierzenie – odrestaurowanie grobów mojego ojca i babci Eleonory Stafińskiej na cmentarzu na Hukowej Górze w Borysławiu. Już w 1991 r. udał się do Borysławia mój przyjaciel Lesław Będkowski. Nie zdołał on wówczas dotrzeć do cmentarza, lecz udało mu się sfotografować odlewnię „Etna” w stanie obecnym (na zdjęciu). Po wielkiej powodzi, która miała miejsce w lipcu 1941 r., co opisałem w [12], dojazd do „Etny” został odcięty. Ponieważ po 1944 roku odlewnia znalazła się znów w rękach państwa radzieckiego, a w ZSRR każda ziemia była własnością państwa, więc dojazd do fabryki przeprowadzono od tyłu, przez tereny dawnej firmy „Petrolea”. Na zdjęciu widzimy bramę, na wzór przedwojennej, lecz o niższym standardzie. Bramę wieńczy napis: Бориславська ЦБВО „Ливарня Дільниця”.

W rok później Lesław Będkowski udał się do Borysławia na nieco dłużej, wraz z trzema jeszcze osobami. Mieszkali u miejscowej, polskiej rodziny, gdzie za niewielkie dolary mieli zapewnione bardzo dobre warunki. We czworo (dwie panie i dwóch panów) udali się na Hukową Górę, by na moją prośbę odszukać i sfotografować wspomniane groby. Pomimo, że byli zaopatrzeni w sporządzony przeze mnie szkic ich lokalizacji i starą fotografię z 1957 roku, napotkali na ogromne trudności. Cmentarz Borysławski na Hukowej Górze był porośnięty drzewami, krzewami i splątana roślinnością jak puszcza nad Amazonką. I kiedy zaczęli już tracić nadzieje pani Bogusława Krupowa dokonała „odkrycia” grobów. Pani Bogusława wraz ze swym mężem Adamem i Lesławem Będkowskim są współautorami wspaniałego wydawnictwa: „Borysław w okrucach wspomnień”, wydanego w Warszawie w 1999 r. [13]. To liczące 384 strony dzieło jest wzruszającą pamiątką dla dawnych mieszkańców Borysławia.

Jerzy M. Pilecki w „Ziemi Drohobyckiej” (nr 13, 2000 rok) [14], tak między innymi charakteryzuje tę pracę, pisząc o bogactwie tekstu:

*„Promieniuje bowiem z niego miłość do utraconej Małej Ojczyzny, pozbawiona żółci lub jadu. Bez trudu można sobie wyobrazić grono nie najmłodszych pań i panów, z wypiekami na twarzy pochylonych nad ogromem zgromadzonego materiału, spierających się o dobór słów, ilustracji i akcentów oraz ich kompozycje i przy tej okazji powracających do swej młodości. Podobne muszą być odczucia każdego czytelnika znającego ziemię drohobycką.”*

Jeszcze w czasie tej samej wizyty, owa grupa przyjaznych osób odszukała mój dawny dom rodzinny na Tarnawce (obecnie własność *Iwana Kuźmaka*), który przyjął ich bardzo przyjaźnie. Na wykonanym tam zdjęciu widoczne są w nie zmienionym stanie dwie ławeczki, wykonane przez ojca, na których się siadywało w ciepłe, letnie wieczory. Nie ma jednak już klombu z różami przed oknem, widać natomiast jakieś prace budowlane.

Lesław skontaktował mnie z działaczami tamtejszej Polonii, którzy podjęli się odrestaurować groby, za sumę wpłaconą w dolarach, potrzebną na materiały, transport i robociznę. Ustaliliśmy szczegółowo zakres potrzebnych prac. Warunkiem wypłacenia honorarium było przedstawienie zdjęcia, które miało być dowodem, że prace w istocie zostały wykonane. Robili to nie dla zysku, lecz z pewnego rodzaju obowiązku patriotycznego (by ocalić od zapomnienia polskie groby). Nie do odżalowania jest fakt, że stary cmentarz w Borysławiu, mieszczący wiele zabytkowych grobów, został zniwelowany by zatrzeć ślady polskości i na jego miejscu urządzono skwer.

Trwało to dość długo, aż pewnego dnia zadzwonił telefon. Przybył jeden z wykonawców i zatelefonował, by się umówić na spotkanie. Kiedy dotarł do nas na Bemowo, miał dla nas dwa komplety (dla mnie i dla brata) pięknie wykonanych na papierze *Fujicolor* zdjęć. Obydwa groby były odrestaurowane starannie. Wokół była otwarta przestrzeń, zniknęły gęsto rozrósnięte drzewa i chaszczki. Według słów naszego gościa, ta część pracy była najtrudniejsza. Trzeba było wynająć ciężarówkę, by wywieźć wyciętą roślinność. Nasz rozmówca opowiadał, że kiedy pracowali przy grobach, przyszli do nich miejscowi Ukraińcy z wielkimi pretensjami.

- *Lachom groby odnawiacie* – mówili. Odpowiedź ich speszyła:

- *Lachy, nie Lachy, na tamtym świecie wszyscy będziemy jednakowi.*

Odeszli, lecz zagrozili, że jeżeli wykarczowana roślinność nie zostanie natychmiast usunięta, będą wymierzone surowe kary. Została usunięta.

Zanim nasz gość dotarł na Bemowo, zastawiliśmy stół sutą kolacją. Przygotowaliśmy alkohol. Lecz przybysz zaskoczył nas całkowicie. Powiedział, że jest po obiedzie i nie chciał ani jeść ani pić. Po zainkasowaniu dolarów (z jego oczu wyczytałem, że lubił tę walutę) powiedział nam jeszcze, że oni zadbają, by tamtejsi harcerze pielęgnowali

te groby. To nas bardzo uradowało. Kiedy mój brat Zdzisław miał okazję odwiedzić Borysław na kilka godzin w kwietniu 2001 r. przede wszystkim pojechał na cmentarz. Śladów harcerskich rąk niestety nie zaobserwował. Groby były pokryte lekkim zielonym nalotem. Załatwił z jedną z Polek z Borysławia, że je oczyści.

## 9. Hiszpania i Portugalia

W ramach naszych zainteresowań krajoznawczych postanowiliśmy poznać Hiszpanię i Portugalię. Zapewniała nam to ciekawa wycieczka objazdowa, zorganizowana przez sprawdzone już przez nas biuro turystyczne „Sigma Travel”. Była to znów wycieczka samolotowo – autokarowa. Tym razem samolotem poleciliśmy w tamtą stronę, by powrócić autokarem. Był ładny dzień 28 września 1995 r. O godzinie 4:00 rano przybyliśmy niewyspani na MDL Okęcie, by stamtąd odlecieć samolotem czarterowym (*Boing*) do *Malagi*. Lot na odległość 3000 km nie trwał długo. Smaczne śniadanie w samolocie i już lądowaliśmy w *Maladze*. Samo lądowanie dostarczało trochę emocji. Zniżając się, samolot przelatował tuż nad skalistymi górami (*Góry Betyckie*). Wydawało się, że za chwilę zawadzi. Potem góry urywały się nagle i za chwilę samolot już był na ziemi. Wolałbym w przyszłości zbyt często nie lądować w *Maladze*.

Kto się decyduje na zagraniczną wycieczkę objazdową musi być silny i zdrowy, chociażby to była wycieczka samolotowa. To też kazano nam pozostawić bagaże w samochodzie i z miejsca wyruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Było gorąco, piękny, słoneczny dzień. Zwiedziliśmy między innymi katedrę *Sta. Iglesia* (każda wycieczka przeladowana jest zwiedzaniem obiektów sakralnych), *Alkazabę* i wzgórze *Giblarfaro*. Z *Alkazaby* piękny widok na morze i na *Malagę*. Na wzgórzu *Gibralfaro* znajduje się zamek pamiętający czasy fenickie. Nieopodal mieści się hotel *Parador*.

Wieczorem, dotarliśmy do hotelu, by tam spożyć tzw. „obiado – kolację”. Ten obfity posiłek odbywał się zwykle około godziny dwudziestej. Po jego zjedzeniu, rozpakowaniu się i umyciu, zmęczeni całodziennym zwiedzaniem niezwłocznie kładliśmy się spać. A jednak w ciągu nocy nie mieliśmy nigdy żadnych dolegliwości żołądkowych. Następnego ranka po niewielkim posiłku zwanym „śniadaniem kontynentalnym” załadowaliśmy swoje bagaże do klimatyzowanego autokaru marki zachodniej, by zjechać z *Gór Betyckich* (3478 m) i pomknąć na zachód przez *Nizinę Andaluzyjską* (200 m). Po drodze zwiedziliśmy Sewillę a tam: *Alkazar* z jego ciekawymi krążankami i ogrodami, katedrę gotycką a w jej pobliżu 92 metrową wieżę *La Giralda*, dawny minaret meczetu *Almohadów* a także *Bario Santa Cruz*, *Plac Hiszpański* oraz tereny EXPO'92.

Po przebyciu około 420 km znaleźliśmy się o godzinie dwudziestej (nasza obiado – kolacja odbyła się znacznie później) w miejscowości

uzdrowiskowej *Portimao*, już w Portugalii. Spędziliśmy tam cały następny dzień, wypoczywając na uważanej za jedną z najpiękniejszych plaż w Europie *Praia da Rocha*. Słowo *praia* to po polsku plaża. Wylegiwaliśmy się na wygodnych łóżeckach plażowych, osłonięci przed nadmiernym promieniowaniem słonecznym, obszernym parasolem. Od czasu do czasu zanurzaliśmy swe ciała w Atlantyku. Obok nas rozłożyła swoje łóżecka para młodych ludzi. Pani opalała się w *toplesie*. Akurat tak się złożyło, że moje łóżecko sąsiadowało z jej łóżeckiem, co mnie peszyło. Ja – wcale.

Następnego dnia znów byliśmy w drodze. Zwiedziliśmy *Evorę*, a w niej ruiny świątyni Diany i pamiątkowy rynek z ratuszem. Nie pominęliśmy także stojącego w parku miejskim pomnika *Vasco da Gamy*. Po przebyciu około 400 km znaleźliśmy się w *Fatimie*, gdzie mieści się znane na całym świecie Sanktuarium Maryjne. Tam zakwaterowaliśmy na dobre, już do końca pięciodniowego pobytu w Portugalii. Zamieszkaliśmy w jednym z hoteli, przeznaczonych głównie dla pielgrzymów, gdzie wynajmowano również pokoje uczestnikom wycieczek turystycznych. Z *Fatimy* robiliśmy całodzienne wypadki: do *Porto* (190 km), do *Lizbony* (120 km) i do *Nazare* (70 km) w jedną stronę.

Najbardziej interesowała nas oczywiście *Lizbona*. Po zjedzeniu śniadania (kontynentalnego) udaliśmy się w drogę. Po dotarciu do stolicy od razu przystąpiliśmy do zwiedzania miasta. Zobaczyliśmy między innymi: Aleję Wolności, Plac *Rossio*, Plac Handlowy, katedrę, wzgórze zamkowe, dzielnicę *Belem*, bardzo charakterystyczny pomnik Odkrywców, niezwykle ciekawy klasztor *Hieronimitów*. Ze wzgórza zamkowego sprzed zamku *São Jorge* rozciąga się wspaniały widok na miasto. Można sobie tam zrobić zdjęcie na tle umieszczonej na murze starodawnej armaty, za którą widać położone w dole miasto. Lizbona nie jest miastem wyglądającym imponująco. Przypomniały mi się słowa mojego kolegi – Wilnianina, który powiedział, że Lizbona to takie trochę większe Wilno. Nie byłem nigdy w Wilnie, ale jestem skłonny mu wierzyć. W Lizbonie nasz przewodnik dał nam trochę wolnego czasu, w ciągu którego duża grupa udała się na poszukiwanie jakiegoś banku, gdzie można by było zamienić dolary na miejscową walutę. Tam nie ma takiej mnogości kantorów wymiany jak u nas w Polsce. Trzeba odszukać bank a nie ma ich dużo. Na ten bank zużyliśmy prawie cały nasz wolny czas, gdyż procedura wymiany jest tam bardzo skomplikowana. Najpierw urzędnik sprawdza dokładnie (można by nawet napisać, że studiuje) nasz paszport, spisując jego dane a także odnotowując numer naszej wycieczki. Później w sporządzanym przez siebie dokumencie wpisuje numery poszczególnych banknotów. To znaczy, że nie jest w stanie odróżnić falsyfikatów i wysyła dolary do ekspertyzy. W razie jej niekorzystnego dla nas wyniku dosięgnie nas. Może i lepiej, że tak robi. Z bankami różnie bywa. Mój znajomy podjął pewną

sumę w dolarach w poważnym banku w Brukseli. Kiedy powrócił do kraju, w banku uświadomiono go, że jedna studolarówka jest fałszywa. Gdy się zwrócił z reklamacją do Brukseli, zaproponowano mu „ugodę”, polegającą na tym, że bank zwróci mu tylko 50 dolarów i w ten sposób obie strony równo podzielą stratę. Mój znajomy odrzucił tę propozycję jako z gruntu nieuczciwą, nie przyjął od banku 50 dolarów, lecz wycofał z niego cały swój wkład.

Czas wolny jest dobry na wysłanie pocztówek do krewnych i przyjaciół w kraju. W Lizbonie jest mało skrzynek na listy a co gorsza są ładujące podobne do koszy na śmieci. Byłoby bardzo przykro wrzucić do takiego kosza cały pęk pocztówek, napisanych w nielicznych, krótkich wolnych chwilach. Zaplanowaną godziną powrotu do hotelu była 20:30. Lecz się trochę przeciągnęło i do Fatimy dotarliśmy jeszcze później.

Cały jeden dzień pobytu był poświęcony wycieczce do odległego o 190 km *Porto*, drugiego co do wielkości miasta Portugalii. Miasto to, położone w północno – zachodniej Portugalii, leży nad Atlantykiem na wysokości 100 m. *Porto*, jak łatwo się domyślić znaczy po polsku port. W tym ważnym dla Portugalii miejscu, Maurowie panowali stosunkowo krótko. Utracili je w 868 r. Jest ono miastem przemysłowym. Nie ma w nim zbyt wielu wystawnych pałaców. Zwiedzaliśmy budynek giełdy. Jest on charakterystyczny tym, iż jest to klasycystyczny pałac z połowy XIX wieku, o kształcie czworoboku. Budynek giełdy zbudowano na gruzach zburzonego przez Francuzów podczas wojen napoleońskich klasztoru franciszkanów. Atrakcją pokazywaną turystom jest widoczny z lewego brzegu rzeki *Tag* dwupoziomowy most Ludwika I (*Dom Louis I*), wzniesiony w latach 1881 – 1885. Został on zaprojektowany przez inżyniera Gustawa *Eiffila*, twórcę słynnej wieży w Paryżu, nazwanej jego nazwiskiem.

Na koniec odbyła się degustacja win w renomowanej ich wytwórni. Po zapoznaniu nas z procesem produkcyjnym każdy z nas został poczęstowany lampką wina. Ci, którzy nabrali ochoty by wypić więcej, pili już za własne pieniądze. Kupowali też całe butelki wina, by je wleć przez Hiszpanię i pół Europy do swoich domów w Polsce. W drodze powrotnej zwiedziliśmy unikalny zespół klasztorny – kościelny w *Batalha* i *Alcobaca*.

Wycieczka do *Nazaré* była mniej męcząca. To miasteczko rybackie leży nad Atlantykiem, w odległości zaledwie około 70 km na zachód od *Fatimy*. Ma szeroką, ładną plażę, która zatacza łuk o długości około 4 km. Robi wrażenie miasteczka biednego, pomimo że przybywa tam wielu turystów. Od strony północnej zamyka plażę klif o wysokości 110 m. Tam, na wzniesieniu znajduje się stara część *Nazaré* zwana *Sítio*. Stamtąd roztacza się piękny widok na plażę i na miasteczko, tam też gromadzą się turyści. Na wzgórzu *Sítio* znajduje się słup ufundowany przez *Vasco da Gamę* po opłynięciu Afryki. Słup zwieńczony jest krzyżem.

W czasie licznych przejazdów przez Portugalię zwróciłem uwagę na rzecz bardzo dziwną. Mijaliśmy całe połacie lasów z drzewami, których pnie były całkowicie pozbawione kory. W żadnym innym kraju nie widziałem czegoś takiego. Okazało się, że jest to poważne źródło dochodów Portugalczyków. Są to dęby korkowe. Mają one bardzo grubą korę, z której wyrabia się między innymi korki do butelek. Około 7 lat wyczekuje się na osiągnięcie przez korę odpowiedniej grubości, po czym zdejmuje się ją z pni. Podobno koneserzy z pogardą odnoszą się do wina w butelce zamkniętej „korkiem” plastikowym. Butelka dobrego wina musi być zatkana autentycznym korkiem. Po pewnym czasie pęcznieje on i dobrze uszczelnia butelkę.

Pragnę jeszcze napisać kilka zdań o *Fatimie*, miejscu naszego zakwaterowania, w której znajduje się, jak już pisałem znane Sanktuarium Maryjne. *Fatima*, niegdyś zagubiona w górach wioska nazwę swą wzięła w czasach panowania Maurów. Jest to imię jakie podobno nosiła jedna z córek Mahometa. *Fatimę* uznano za miejsce kultu po tym, jak 13 maja 1917 roku niedaleko tej wioski miała się objawić trojgu pastuszkom (od 7 do 10 lat) Matka Boska.

Obecnie jest to miejsce kultu, którego centralnym punktem jest raczej skromna bazylika, wiążąca się z kolumnadą, która obejmuje jakby ramionami, ogromny, bo liczący 15 ha plac przed bazyliką. Niedaleko bazyliki stoi ogromna kaplica Matki Boskiej, która jest otaczana największą czcią. Tam bez przerwy płoną znicze. W stronę kaplicy pielgrzymi przez spory odcinek podążają na kolanach. Są to przeważnie kobiety. Cel ich ofiary może być różny. Albo idą dziękować za doznane ocalenie, albo też prosić o łaskę, gdy znajdują się w beznadziejnej sytuacji. Idą dziękować za to, że nic złego ich nie spotkało lub też prosić o ochronę przed wszelakim nieszczęściem. Kiedy jednego dnia nieco wcześniej powróciliśmy z wycieczki, poszliśmy się przejść po terenie. I wtedy zobaczyliśmy przy zapadającym zmroku mężczyznę, który podążał do kaplicy na klęczkach przez cały ów niezmiernie rozległy plac.

Oprócz części sakralnej w *Fatimie* znajduje się dość nowoczesna część użytkowa. Przy dość szerokiej alei usytuowano kompleks hoteli, pensjonatów i restauracji. Nie zapomniano też o licznych pawilonach, gdzie handluje się pamiątkami i dewocjonaliami. Rozległy zespół obiektów sanitarnych (obliczony na dużą liczbę pielgrzymów, którzy nie zatrzymują się w hotelach), dyskretnie ulokowano na uboczu (och, żeby tak u nas!)

Obiekt, w którym mieszkaliśmy nazywał się „*CATOLICA HOTEL*”, jak głosił duży, niebieski napis umieszczony nad wejściem. Wnętrze było dobrze wyposażone we wszystko co potrzebne jest turystyce, miało tylko jedną wadę. Pokój był tak słabo oświetlony, że o czytaniu nie mogło być



mowy. Tłumaczyliśmy to sobie w ten sposób, że hotel był przeznaczony dla pielgrzymów a tym potrzebny był półmrok, by się skupić przy modlitwie. A zresztą nie mieliśmy co czytać, a poza tym byliśmy tak zmęczeni, że nie mieliśmy chęci do czytania.

Piątego października 1995r. śniadanie (oczywiście kontynentalne) zjedliśmy wcześniej niż zwykle. Zapowiadał się ciężki dzień. Mieliśmy do pokonania drogę z *Fatimy* do *Madrytu*, liczącą 550 km, połączoną ze zwiedzaniem po drodze *Avili* i *Salamanki*. Jak się później okazało, nie wszyscy szczęśliwie zakończyli ten dzień. W *Avili* zwiedziliśmy katedrę, kościół św. Teresy a przede wszystkim mury obronne. Są to najlepiej zachowane dawne mury obronne w Europie. Zbudowane przez Rzymian i Wizygotów mają obecnie kształt nadany im w XI wieku przez mistrza architektury romańskiej *Casandro*.

Pobyt w *Salamanca* upamiętnia w albumie rodzinnym zdjęcie pięknej katedry, którą zwiedzaliśmy a także będącego celem licznych wycieczek placu *Plaza Mayor*.

Po późnym przyjeździe do Madrytu zostaliśmy zakwaterowani w dwugwiazdkowym hotelu *LUIS XV*, mieszczącym się w centrum Madrytu, u zbiegu ulic *La Montera* i *De Jose Antonio*. Był to bardzo stary hotel, umieszczony w wysokim gmachu z przestarzałą windą o bardzo małym udźwigu. Nasz hotel był tylko jednym z obiektów tego gmachu i znajdował się na jednej z najwyższych kondygnacji. Recepcja znajdowała się na górze, grupa nasza została więc stłoczona w ciasnej klatce schodowej, zaś jej część musiała nawet oczekiwać na ulicy. Dodatkowym utrudnieniem było to, że aby dotrzeć do naszego hotelu, trzeba było się przesiadać po drodze z jednej windy do drugiej. Ponieważ ludzie byli obciążeni walizkami i wszelakiego rodzaju torbami, więc transport trwał bardzo długo. Można sobie wyobrazić jak napięta tworzy się w takiej sytuacji atmosfera. Każdy chciałby wjechać na górę jak najprędzej. Powstały przepychanki. Wtedy jeden z uczestników poczuł gwałtowny, bardzo silny ból w klatce piersiowej. Natychmiast odwieziono go do szpitala, gdzie stwierdzono zawał serca.

Następnego, dziewiątego dnia wycieczki poznawaliśmy Madryt. Między innymi zwiedziliśmy: *Puerta del Sol* (Plac Słońca), Plac Hiszpański, Pałac Królewski, muzeum *Prado*, gdzie znajduje się wspaniała kolekcja malarstwa hiszpańskiego z obrazami takich artystów jak: *El Greco*, *Goya*, *Velasques*.

Po zwiedzeniu Pałacu Królewskiego wydarzył się przykry incydent, który na szczęście dobrze się skończył. Kiedy gromadziliśmy się na placu przed pałacem, by udać się w dalszą drogę, jednemu z uczestników skradziono portfel zawierający paszport i pieniądze. Był to skórzany portfel, który właściciel nosił zawieszony na szyi, na również skórzanym pasku.

Portfel dyndał na wierzchu, nie wsunięty pod koszulę, jak to czyni wielu. Nasz towarzysz wycieczki był pewny swego. Przecież miał przez cały czas portfel przed sobą. Nie docenił zręczności złodzieja, który podbiegł, błyskawicznie przeciął mu pasek i z portfelem w rękę rzucił się do ucieczki. Lecz w pobliżu znajdował się nie umundurowany policjant hiszpański, który pobiegł za przestępcą, schwycił go a następnie odprowadził, zabierając mu łup i przekazując pokrzywdzonemu. Och, żeby tak u nas!

W czasie zwiedzania Madrytu nie towarzyszył nam nasz przewodnik, który cały dzień spędził w szpitalu, przy chorym. Występował w charakterze tłumacza i pilnował by leczenie odbywało się prawidłowo. W zastępstwie wynajął miejscowego przewodnika, który znał język polski, gdyż był synem Hiszpana i Polki. Młody ten człowiek był bardzo dobrym przewodnikiem. Mieszkał na stałe w Hiszpanii, jednak studia wyższe ukończył w Polsce i dobrze władał językiem swojej matki. W trakcie zwiedzania muzeum *Prado*, jak to zwykle bywa, wywiązała się pomiędzy przewodnikiem i uczestnikami wycieczki rozmowa na różne tematy. Hiszpański przewodnik negatywnie oceniał rządy generała *Franco*. Wtedy w naszej wycieczce znalazł się młody człowiek, który stanął w obronie dyktatora (pewnie dzisiaj broni *Pinocheta*). Powiedział:

- Tak, ale autostrady to wam wybudował.

- Pan jest w błędzie. Za czasów gen. *Franco* nie było w Hiszpanii ani jednej autostrady. To zasługa nie *Franco*, lecz *Gonzáleza* – powiedział Hiszpan. (*Felipe González Márquez* był od 1982 r. premierem Hiszpanii z ramienia Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Od 1975 r., po śmierci gen. *Franco* Hiszpania stała się monarchią konstytucyjną a głową państwa został król *Juan Carlos 1 de Borbón*.)

Dziesiąty dzień wycieczki był szczególnie ciekawy. Mieliśmy do zwiedzenia położoną o 47 km od Madrytu dawną siedzibę królów hiszpańskich *Escorial* a także Dolinę Poległych, miejsce upamiętniające ofiary Wojny Domowej lat 1936 – 1939. *Escorial* to olbrzymia budowla, zwana przez niektórych „Kastylijską Piramidą”. Jest to zarazem świątynia, klasztor, pałac i panteon królewski. Ma kształt prostokąta o bokach 206 na 161 m. Liczy on 9 wież, 16 dziedzińców, 300 pomieszczeń, 1200 drzwi i 2673 okna. We wnętrzu znajduje się 1600 płócien i fresków (*El Greca*, *Tycjana*, *Velasqueza* i *Ribery*). Są tam gobeliny, które projektował *Goya*. W podziemiach znajdują się groby królewskie. Przyzwyczajony do oglądania imponujących grobowców królów w innych krajach, stałem zdziwiony. W średnich rozmiarów pomieszczeniu znajdowały się na ścianach półki, w nich nisze, mieszczące trumny z prochami królewskimi bardzo wielu monarchów. To było niewspółmiernie skromne w porównaniu z imponującym obiektem, jakim był *Escorial*.

Stamtąd już tylko 8 kilometrów do obejmującej 1365 hektarów Doliny Poległych. Tam znajduje się wzniesiona z rozkazu dyktatora *Franco* druga „Piramida Kastyljska”. Odległość jest nieduża. Mało jest czasu na rozmyślanie. Warto jednak przypomnieć sobie wydarzenia w związku z którymi powstała, a więc Wojnę Domową.

W wyborach, które odbyły się 16 lutego 1936 zwyciężył Front Ludowy, który opierał się na dwu partiach, którymi były Związek Republikański oraz Lewica Republikańska. Do *kortezów* (parlamentu hiszpańskiego) wybrano 268 deputowanych Frontu Ludowego (w tym 158 republikanów, 88 socjalistów i 17 komunistów). 205 deputowanych reprezentowało partie prawicowe i centrowe. Wtedy postanowiono dokonać przewrotu i odebrać władzę siłą. Sprzymierzyły się trzy potężne siły, stanowiące śmiertelne zagrożenie dla rządu republikańskiego. Były to: faszystowska Falanga, wojsko i kler katolicki. Rebelia rozpoczęła się w dniu 18 lipca 1936 r. Na jej przywódcę wyznaczono generała *Sanjurjo*, lecz ten zginął w dwa dni później w katastrofie lotniczej. Wtedy na scenie pojawił się mniej znany generał *Francisco Franco Bahamonde*, występujący pod skróconym nazwiskiem *Francisco Franco*, który przejął dowodzenie. Rozgorzały zacięte walki, w których siły były nierówne. Wojsko się podzieliło. Większość oficerów wojsk lądowych przeszła na stronę rebeliantów, pociągając za sobą wojsko. Wierne Republice pozostały marynarka wojenna i lotnictwo.

Na wieść o gwałcie, dokonanym na Republice zgłosiło się około 35 tysięcy ochotników z 53 różnych krajów do utworzonych Brygad Międzynarodowych. Wśród nich najwięcej było Francuzów i Polaków. Poległo około 2000 Polaków. ZSRR udzielił Republikanom pomocy w sprzęcie wojskowym. Przesłał też pewną liczbę oficerów jako doradców a nawet dowódców (np. gen. Karol Świerczewski). Rebelianci uzyskali znaczną pomoc od Niemiec i od Włoch i to zarówno w ludziach jak i w sprzęcie. Szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na ich stronę. W sierpniu 1938 r. po stronie frankistów walczyło około: 90 000 Marokańczyków i żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, 50 000 Włochów 15 000 Niemców i 12 000 Portugalczyków, co stanowiło około 30% składu wojsk generała *Franco*. Z uwagi na tak znaczny udział wojsk afrykańskich, republikanie wypisywali na swoich sztandarach hasło: „Śmierć Maurom i faszystom”. Włosi zaś przysłali do Hiszpanii świetnie uzbrojone, umundurowane dywizje regularnych wojsk. Niemcy panowali w powietrzu, zrównując z ziemią zabytkowe hiszpańskie miasteczka (*Guemika*). Ćwiczyli. Zrzucając wkrótce bomby na Warszawę mieli już doświadczenie. Bardzo osłabiali republikanów to, że niektórzy dowódcy dopuszczali się zdrady, przeprowadzając podległe sobie oddziały wojskowe na drugą stronę. Na początku kwietnia 1939 r. cały obszar Hiszpanii został opanowany przez rebeliantów i interwentów. Republika przestała istnieć.

W Hiszpanii zapanowała dyktatura faszystowska. Na czele państwa stanął gen. *Francisco Franco*, który przybrał tytuł „*Caudillo*”, podobnie jak w Niemczech „*Führer*” a we Włoszech „*Duce*”. Rozpoczął się okres krwawej rozprawy z republikanami, socjalistami i komunistami oraz ich zwolennikami. Przerażająco wyglądają liczby: w czasie walk po obu stronach frontu poległo łącznie około 250 000 ludzi. W ramach represji po zwycięstwie *Franco* uśmiercono około 500 000 ludzi. Czytam i oczy przecieram. Czy to możliwe, żeby na oczach świata mogło być dokonane tak masowe ludobójstwo? Wkrótce okazało się, że możliwe jest jeszcze większe, bardziej „precyzyjne” dokonane przez hitlerowców.

Po śmierci *Caudillo*, która nastąpiła w 1975 r. wprowadzono monarchię konstytucyjną. Głową państwa został król *Juan Carlos 1 de Borbón*. Wezwał on wszystkich Hiszpanów do pojednania i całkowitego zatarcia tego, kto był po której stronie barykady, (coś jak gdyby „gruba kreska” premiera Mazowieckiego). Tylko że mądrzy Hiszpanie zrozumieli swoje dobro i posłuchali rozsądnego króla. A u nas? Lepiej nie pisać. Z tymi faktami trzeba było koniecznie zapoznać się przed wzięciem udziału w wycieczce do Hiszpanii, żeby lepiej rozumieć ten kraj a teraz, w drodze do Doliny Poległych – przypomnieć sobie. Tam będzie okazja do jeszcze głębszych refleksji.

I oto jesteśmy w Dolinie Poległych (*Valle de los Caidos*). Stoimy na sporym placu, przed wejściem do bazyliki. Przewodnik zaczyna swoje objaśnienia. Wykuta na rozkaz generała *Franco* dla uczczenia zwycięstwa, w potężnej skale *Risco de Nava* bazylika miała być największym tego rodzaju obiektem na świecie. Ma ona 262 metry długości, w tym westybul, który liczy 11 metrów długości i tyleż wysokości. Nawa główna ma wysokość 22 m. Przewodnik opowiada historię tego westybulu. Kiedy projekt bazyliki był już na ukończeniu, uświadomiono sobie, że żadna bazylika na świecie nie powinna być większa od bazyliki św. Piotra w Rzymie. I wtedy wymyślono ten westybul i w ten sposób nie naruszono obowiązującej reguły. Wystrój wnętrza jest surowy, nie przeładowany ozdobami. Po obu stronach ołtarza głównego znajdują się płyty nagrobne. Pod jedną z nich spoczywają szczątki założyciela Falangi faszystowskiej *Joségo Antonia Primo de Rivera*, syna byłego dyktatora gen. *Miguela Primo de Rivera*, pod drugą samego generała *Franco*, który tak sobie zażył za życia.

Na szczycie skały, w której została wykuta bazylika znajduje się największy krzyż na świecie (*Santa Cruz*). Ma on 150 metrów wysokości (nie licząc czubka skały). Ramiona krzyża mają 46 metrów długości i 6 m. szerokości. Masa krzyża wynosi ponad 200 ton. Św. krzyż miał czcić pamięć poległych bohaterów walczących po stronie *Franco*. Dopiero król

zmienił tę regułę i ogłosił, że bazylika i krzyż mają upamiętniać wszystkich poległych w Wojnie Domowej.

Budowa bazyliki i krzyża trwała 18 lat i zakończyła się w 1958 r. Przy tej gigantycznej budowie zatrudnieni byli jeńcy wojenni i uwięzieni w ramach zemsty i odwetu Republikanie. Wielu z nich zmarło z głodu w połączeniu z morderczo ciężką pracą. Wracamy do Madrytu. Mamy o czym myśleć w drodze.

Nazajutrz zegnamy się z Madrytem i po śniadaniu wyruszamy do *Barcelony*, która będzie naszym ostatnim miejscem postoju w Hiszpanii. Przed nami 620 kilometrów drogi do przejechania. Po drodze mamy krótki postój w *Saragossie*. *Saragossa* to stolica Aragonii. W czasie najazdu Napoleona Bonapartego na Hiszpanię, w szturmie na *Saragossę* w listopadzie 1808 roku uczestniczyły polskie oddziały Legii Nadwiślańskiej (o czym z przykrością piszę). Szczegółowy opis tych walk pozostawił Stefan Żeromski w „Popiołach”. W *Saragossie* zwiedzamy bazylikę *Nuestra Señora del Pilar*, jedną z największych budowli sakralnych Hiszpanii, wzniesioną w XVII – XVIII wieku. Znajdują się w niej freski Franciszka Goyi oraz skarbiec (bardzo dobrze chroniony). Zwiedzamy też bardzo ładny Plac Hiszpański.

Miasto *Barcelona* jest stolicą *Katalonii*. *Katalonia* to najbardziej zaawansowana gospodarczo kraina Hiszpanii. Ma dobrze rozwinięty przemysł tekstylny, chemiczny i elektrotechniczny. W czasie Wojny Domowej *Katalończycy* stali zdecydowanie po stronie republiki i walczyli do końca. Wojna zakończyła się upadkiem *Barcelony*. Po wojnie *Franco* represjonował ich za to, odebrał im autonomię, zakazał używania w życiu publicznym języka katalońskiego oraz wydawania książek i prasy w tym języku. *Barcelona* to nie tylko pierwszy w kraju ośrodek przemysłowy, ale również najważniejsze centrum życia kulturalnego.

Zostaliśmy zakwaterowani w apartamentach hotelu *MUR – MAR*, przy prospekcie *Ramblas 34*, który oddziela od hotelu niewielki plac (*Plaza del Teatro*). Mieliliśmy do dyspozycji apartament złożony z salonu, sypialni, kuchni z wyposażeniem i oczywiście pełnego węzła sanitarnego. Piękny prospekt *Ramblas* biegnie w kierunku portu, gdzie znajduje się wysoka kolumna, zwieńczona pomnikiem Krzysztofa Kolumba. Skąd się wzięły te apartamenty w niedrogiej przecież wycieczce? Okazało się, że hiszpański kontrahent nie dysponował miejscami hotelowymi, zakontraktowanymi z naszą firmą ani innymi miejscami tej samej klasy. Musiał się więc ratować umieszczeniem nas w apartamentach. Czuliśmy się w nich bardzo dobrze.

W *Barcelonie* zwiedza się przede wszystkim wspaniałe dzieła architektury modernisty *Antonio Gaudiego*. Jego dziełem jest między innymi kościół *Sagrada Familia* (Święta Rodzina) z fasadą śmierci Chrystusa, a także słynne ogrody *Güel* z wieloma kamiennymi rzeźbami

w niezwykle oryginalnym stylu. Zwiedzaliśmy także zabytki rzymskie i Dzielnicę Gotycką, Plac Kataloński i stadion olimpijski. Ze wzgórz *Montjuich* oglądaliśmy wspaniały widok na port i miasto.

W 14 dniu trwania wycieczki wyruszyliśmy autokarem w drogę powrotną do kraju. Mieliliśmy po drodze dwa postoje: w *Lyonie* we Francji i w *Domažlicach* w Czechach. Łącznie 2550 km.

## 10. Dzień nauczyciela

Żołnierze zawodowi mają w WAT swoje Święto Wojska Polskiego. Przed transformacją ustrojową 1989 roku przypadalo ono na dzień 12-go października, w rocznicę Bitwy pod Lenino. Po transformacji powrócono do przedwojennej tradycji i obchodzi się ten dzień 15 sierpnia, w rocznicę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej w 1920 r. W minionym okresie Święto Wojska Polskiego obchodzono bardzo uroczysto w całym wojsku, nawet na najniższych szczeblach. Obecnie pewna trudność polega na tym, że na wyższej uczelni 15 sierpnia zdecydowana większość kadry znajduje się na urlopiach. Nie bardzo więc kto może celebrować uroczystość w Akademii. Jednak bardzo uroczysto świętuje się ten dzień na szczeblu państwowym. W uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza bierze udział Głowa Państwa – prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Lecz cywilni pracownicy naukowo – dydaktyczni i dydaktyczni WAT też mają swoje święto. Jest to dzień nauczyciela, który przypada zawsze na 14 października. W tym dniu pamięta się o nauczycielach akademickich. Odbywają się spotkania z nimi organizowane przez komendy wydziałów a nawet przez komendę WAT. W tym dniu odznaczani bywają również wojskowi nauczyciele akademicy. W ciągu tych moich dziewięciu lat pracy w charakterze cywilnego pracownika naukowo – dydaktycznego dwa razy miałem przyjemność być zaproszonym na taką uroczystość: jeden raz na szczeblu wydziału, zaś drugi raz – akademii. Akurat tyle by móc opisać te bardzo miłe spotkania.

W dniu 13 października 1995 r. zostałem zaproszony na takie spotkanie w Wydziale Elektroniki, w czasie którego z Komendą Wydziału spotkali się wyłącznie cywilni pracownicy naukowo – dydaktyczni lub dydaktyczni. Do 20 osobowej grupy nauczycieli przemówił ówczesny komendant – dziekan wydziału płk dr hab. inż. Marek Amanowicz, który przybył w otoczeniu prodziekanów. Po jego wystąpieniu kilku studentów wręczyło paniom kwiaty. Otrzymałiśmy nagrody książkowe. Potem była tradycyjna lampka koniaku. Fragmenty tego spotkania ilustrują załączone zdjęcia.

W o wiele bardziej podniosłej uroczystości uczestniczyłem w rok później, w dniu 14.10.1996 r., zorganizowanej przez Komendę Akademii. Otrzymałem wtedy medal pamiątkowy „WOJSKOWE SZKOLNICTWO

ZAWODOWE", nadany przez Zarząd Szkolnictwa Wojskowego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego: „za szczególne zasługi dla rozwoju szkolnictwa wojskowego”. Pod aktem nadania był podpisany Szef Zarządu Szkolnictwa Wojskowego gen. dyw. dr Kazimierz Tomaszewski. Był on do niedawna zastępcą Komendanta WAT ds. liniowych. Wyróżnił się tym, że po 1989 roku napisał modlitewnik dla żołnierzy. Wkrótce został mianowany generałem dywizji i przeniesiony na wyższe stanowisko do Sztabu Generalnego. Były jego przełożony, wtedy Komendant WAT gen. dyw. prof. dr hab. inż. Edward Włodarczyk a obecnie, po przejściu w stan spoczynku cywilny pracownik naukowo – dydaktyczny otrzymał taki sam medal i w czasie wręczania stał obok mnie. Powiedział wtedy do wręczającego mu medal gen. Tomaszewskiego:

- Kto to przewidział, że od ciebie będę dostawał. (Proszę mnie nie komplementować, jak już się kilka razy zdarzyło, że mam taką świetną pamięć, lub nie posądzać, że lekkomyślnie wkładam komuś w usta słowa, które inaczej brzmiały lub też wcale ich nie wypowiedział. Ani jedno, ani drugie. Mam po prostu tę uroczystość utrwaloną na kasecie video, wykonanej w Zakładzie Nowych Technik Nauczania WAT. T.W.)

Ten medal był jedynym odznaczeniem, jakie otrzymałem w nowej rzeczywistości. Tym bardziej cieszył. W okresie czynnej służby wojskowej i wzmożonej aktywności zawodowej miałem sporo odznaczeń. Miało je wielu. Słyszałem nawet kiedyś takie zdanie, że odznaczonymi są ci, którzy nie mają żadnych odznaczeń. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec dał mi i mojemu bratu do zabawy swoje austriackie medale za udział i ranienia w I Wojnie Światowej. Chyba wtedy medale najbardziej mnie cieszyły. Kiedy piszę o odznaczeniach mimo woli przypomina mi się opowiadanie pewnego podpułkownika, który służył w Wojskach Łączności. Kiedy przeszedł w stan spoczynku odłączono mu służbowy telefon z jego mieszkania. To się dzieje w ten sposób, że niektórym się pozostawia dożywotnio, innym zaś się odbiera. On jako łącznościowiec dobrze o tym wiedział. Poszedł więc do szefa węzła swojej jednostki, aby domagać się ponownego przyłączenia. Kiedy tamten odmawiał, pokrzywdzony powołał się na fakt, że był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

- To odznaczenie to pan może powiesić swojemu psu na szyi – powiedział szef węzła. Lecz nie docenił „przeciwnika”. Nasz podpułkownik złożył do dowódcy meldunek na piśmie o znieważeniu słownym orderu nadanego mu przez Państwo Polskie. Szefowi węzła odsunięto awans na kolejny stopień oficerski do następnego Święta Wojska. Był bardzo rozżalony i oburzony. Jacy ludzie bywają dziwni. Nie rozumieją, że za czynny (lub słowa) trzeba ponosić konsekwencje.

Przyjrzyjmy się teraz tej pięknej, dobrze zorganizowanej uroczystości.

Po obu stronach sali, stoją w rzędach wojskowi i cywilni nauczyciele akademicy. Na salę wchodzi generał Tomaszewski w towarzystwie komendanta WAT, gen. bryg. prof. dr. hab. inż. Andrzeja Ameljańczyka. Meldunek składa szef Oddziału Szkolenia WAT płk dr inż. Antoni Mossor (według mojej wiedzy bratanek generała dywizji Stefana Mossora, wybitnego teoretyka wojskowości i dowódcy, znanej grupy operacyjnej „Wisła”). Po wystąpieniu komendanta WAT następuje odczytanie zarządzenia i rozkazów oraz wręczenie odznaczeń.

Na podstawie Zarządzenia Ministra Edukacji Narodowej prof. Jerzego Wiatra, *Medal Komisji Edukacji Narodowej* otrzymali: prof. dr hab. inż. Zbigniew Dzygadlo, płk prof. dr hab. inż. Grzegorz Bąk, dr hab. inż. Franciszek Bieda, płk dr hab. inż. Włodzimierz Miszański, dr inż. Józef Kapica i płk dr inż. Piotr Gajewski.

Rozkazem dziennym Szefa Zarządu Szkolnictwa Wojskowego Sztabu Generalnego WP, *za szczególne zasługi dla rozwoju wojskowego szkolnictwa zawodowego* – medal pamiątkowy „WOJSKOWE SZKOLNICTWO ZAWODOWE” otrzymali: gen. bryg. prof. dr hab. inż. Andrzej Ameljańczyk, płk dr hab. inż. Marek Amanowicz, płk mgr inż. Bronisław Hukało, płk dr inż. Wojciech Kocańda, doc. dr Roman Leitner, płk dr inż. Zbigniew Maślak, płk dr hab. inż. Włodzimierz Miszański, płk dr inż. Antoni Mossor, płk prof. dr hab. inż. Leon Prochowski, prof. dr hab. inż. Wojciech Przetakiewicz, dr Zdzisław Rojek, płk prof. dr hab. inż. Wiesław Sobieraj, płk dr hab. inż. Andrzej Spychała, prof. dr hab. inż. Edward Włodarczyk, oraz prof. dr hab. inż. Tadeusz Wróbel.

Rozkazem Komendanta WAT odznaczenie „*Zasłużony Nauczyciel Akademicki*” otrzymali: płk dr hab. inż. Czesław Bąk, ppłk mgr inż. Stanisław Ciesielski, płk mgr inż. D. Krówka, płk dr inż. Jerzy Kuźma, płk dr hab. inż. Idzi Nowotarski, ppłk dr inż. Tadeusz Opala, prof. dr hab. inż. Augustyn Chwaleba, prof. dr hab. inż. Józef Kalisz, płk dr hab. inż. Czesław Przybysz, ppłk mgr inż. Jerzy Misiak, ppłk dr inż. Ryszard Sołoduha, dr hab. inż. Edward Stryszak, prof. dr hab. inż. Józef Żmija, ppłk mgr Andrzej Miłosz oraz ppłk mgr Saturnin Przybylski.

Nagrodami książkowymi wyróżnieni zostali: dr Witold Darlewski, mgr Małgorzata Malinowska oraz pani Zofia Marszałek.

## 11. Kanada

Nasze dzieci Piotr i jego żona Ania zamieszkali w Toronto i siostra Oli – Marysia, zamieszkała w Montrealu, zaprosili nas do odwiedzenia ich w maju 1996 r. w Kanadzie. Trzeba było zacząć od uzyskania wiz kanadyjskich. Straszono nas z jakimi to jest związane ogromnymi trudnościami. Lecz wcale tak nie było. Może dlatego, że udaliśmy się by załatwić wizy, na długo wcześniej, kiedy ze względu na porę roku było



mało starających się. Bez trudu dostaliśmy się do wnętrza posesji, na której znajdowała się ambasada. Mieliśmy ze sobą bardzo dobre zaproszenie od Piotrusia, do którego dołączone było zaświadczenie z Uniwersytetu Torontońskiego, że tam pracuje oraz ile zarabia. Również my, jako emerytowani nauczyciele akademicki nie byliśmy podejrzewani o chęć zarobkowania „na czarno”. Trzeba było oczywiście wypełnić bardzo szczegółowe formularze, ale z tym sobie poradziliśmy. Popelnilem tylko jeden błąd przy wypełnianiu rubryki na temat stanu zdrowia. Zdawałem sobie sprawę, że nie można nie podać żadnych schorzeń, bo będzie to oznaczało, że zeznanie jest nieprawdziwe. Nie ma chyba 70 - letniego człowieka bez żadnych dolegliwości. Natomiast podanie ich zbyt wielu mogło sprawić, że bardzo chorego człowieka nie chciano by wpuścić by nie mieć jakiegos kłopotu. Napisałem więc jako jedyną dolegliwość nadciśnienie tętnicze. I to był właśnie ten błąd. Pani w okienku zmartwiła się i pytała jak ja się czuję z nadciśnieniem w samolocie, czy biorę leki hipotensyjne itp. Na przyszłość będę już wiedział. Trzeba napisać na przykład, że mam żylaki albo łagodny przerost gruczołu krokowego. To jest bezpieczne. Ku naszemu milemu zaskoczeniu pani powiedziała, żebyśmy się zgłosili po odbiór wiz jeszcze tego samego dnia, około godziny 15-tej. Co prawda decyzję musi jeszcze podpisać pan konsul, ale po zapoznaniu się ze sprawą ona wie na pewno, że podpisze. I tak się stało.

Kiedy 11 maja 1996 roku *Boeing* Polskich Linii Lotniczych LOT z nami na pokładzie majestatycznie wzniósł się w powietrze, obrał kurs do Kanady, drugiego co do obszaru, po Federacji Rosyjskiej kraju świata, który zajmuje połowę kontynentu północnoamerykańskiego, 7 % całej suchej powierzchni świata. Obszar Kanady wynosi 9 970 610 km<sup>2</sup>. Jest on niemal tak duży jak obszar całej Europy a prawie 32 – krotnie większy od obszaru Polski, zaś o przeszło 0,5 miliona km<sup>2</sup> od powierzchni Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, łącznie z Alaską [15].

Natomiast jej ludność jest niewielka w porównaniu z tak rozległym obszarem. Jej liczba jest mniejsza od liczby mieszkańców Polski. Według spisu z roku 1999 wynosiła 30 milionów 491 tysięcy. Około 80 % wszystkich mieszkańców Kanady zamieszkuje wewnątrz 160 – kilometrowego pasa wzdłuż granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Pod względem pochodzenia etnicznego mieszkańców, Kanada jest krajem wielonarodowościowym. 40 % mieszkańców Kanady przyznaje się do pochodzenia brytyjskiego. Są to potomkowie Anglików, Irlandczyków, Szkotów i Walijczyków. Około 27 % ludności deklaruje pochodzenie francuskie. 20 % pochodzi z innych krajów Europy, 11,5 % z innych części świata. Ludność autochtoniczna (Indianie i Eskimosi) stanowi 1,5 %. Jako język ojczysty 60 % zadeklarowało angielski, 24 % francuski, zaś pozostałych 16 % posługuje się dziesiątkami różnych języków. Według

spisu z 1996 r. polskie pochodzenie zadeklarowało około 266 000 Kanadyjczyków. Niektórzy uważają, że w rzeczywistości jest ich około 440 000 a nawet może około 700 000. Dla porównania: liczbę Chińczyków określa się na około 715 000, Włochów 484 000, zaś Niemców 450 000. Według spisu powszechnego z 1981 r. Kanadę zamieszkiwało 755 000 osób pochodzenia ukraińskiego.

### 11.1. Toronto

Kiedy po dziewięciu godzinach lotu samolot łagodnie wylądował na pasie lotniska, znaleźliśmy się w Toronto, największym mieście Kanady, liczącym wraz z przedmieściami około 4,5 miliona ludności. Na lotnisku „*Lester B. Pearson International Airport*” oczekiwał nasz syn Piotruś ze swoją *Hondą Accord*. Pokonałiśmy sporą odległość pomiędzy lotniskiem a dużą dzielnicą willową *Willowdale*, gdzie przy ulicy *Dunforest* nasi podnajmowali u Chińczyka sporą willę. Wiele domów w tamtej dzielnicy należało do Chińczyków, którzy masowo przybywali z *Hong Kongu*. Byli to przeważnie ludzie bardzo bogaci. Opowiadano, że niektórzy z nich dokonywali zakupu na odległość, bez oglądania obiektu a tylko przez pośrednika. Po zawarciu transakcji kazali zburzyć dom i na jego miejscu wybudować inny, wspanialszy, odpowiadający chińskim tradycjom. Dom przy *Dunforest* nie zaliczał się jeszcze do tej grupy budowli. Chińczyk mieszkał w nowym domu, zaś ten był przeznaczony dla jego syna, który był jeszcze dzieckiem. Czynsz był bardzo wysoki.

W domu czekała już Ania z dziećmi: 13 letnią Oleńką, urodzoną w Polsce, którą w swoim czasie nosiliśmy na rękach i 6 – letnim Tomkiem, urodzonym w *Ann Arbor* w USA. Od razu zaczęło się robienie zdjęć i nie kończące się rozmowy.

Przebywaliśmy w Kanadzie przez trzy tygodnie, z których dwa spędziliśmy w *Toronto*, zaś jeden w *Montrealu*, z jednodniowym wypadem do stolicy kraju *Ottawy*. Opis zwiedzania Toronto i okolic podzielę na dwie części: zwiedzanie z „przewodnikiem”, którym był oczywiście nasz syn Piotruś i zwiedzanie indywidualne, które polegało na wędrownkach we dwoje po mieście, do z góry upatrzonych obiektów.

W pierwszej kolejności Piotruś zawiózł nas na swój uniwersytet „*University of Toronto*”, założony w 1827 r. Jest to spory kompleks, przeważnie starych budowli, wśród których wyróżniał się swoją powagą, wybudowany w stylu gotyckim „*Trinity College*”. Zwiedziliśmy gabinet służbowy syna i wysłuchaliśmy ciekawej historii powstania Katedry Studiów Polskich im. Konstantego Reynerta na Wydziale Historycznym tego uniwersytetu, której Piotr jest kierownikiem. Idea powołania do życia takiej katedry powstała w Kongresie Polonii Kanadyjskiej. Uniwersytet zażądał

wpłacenia na ten cel jednego miliona dolarów kanadyjskich. Ze składek Polonii Kanadyjskiej udało się zbierać około pół miliona. I wtedy zmarł Konstanty Reynert, oficer Polskiej Marynarki Wojennej z czasu II Wojny Światowej, który zapisał w testamencie brakujących pół miliona dolarów. W gabinecie Piotra znajdują się pamiątki po darczyńcy, między innymi kordzik oficerski.

Otrzymaliśmy od syna w prezencie program studiów na Wydziale Historycznym uniwersytetu na rok akademicki 1996-1997. Znaleźliśmy tam następujące plany zajęć dydaktycznych prof. P. Wróbla:

- wykłady na temat: „*The history of Poland from the 10 th Century*”,
- seminaria na temat: „*Polish Jews since the partition of Poland*”;
- seminaria na temat: „*The age of experiments: the history of Poland in the 20 th century*”.

Następnie zwiedziliśmy piękny bulwar *The Beaches*, nad jeziorem Ontario. Przyjemnie było posiedzieć na ławeczce przy pięknej majowej pogodzie. W dzień powszedni obejrzelśmy Dzielnicę Chińską (*Chinatown*), z mnóstwem chińskich sklepów i restauracyjek. Większość szyldów na sklepach jest w języku chińskim, niektóre po angielsku. Charakterystyczne dla tej dzielnicy jest wystawianie towarów na chodnik przed sklepem. Zwiedziliśmy też supermarket *EATONS*, który wtedy, w 1996 roku wywarł na nas duże wrażenie. Obecnie, w 2001 roku mamy już takie obiekty w Warszawie.

Cały jeden dzień Piortrus poświęcił na pokazanie nam wodospadu Niagara (*Niagara falls*). Z niecierpliwością czekaliśmy na ten widok. Jazda samochodem zajęła nam około półtorej godziny w jedną stronę. Wodospad znajduje się na półwyspie Niagara, pomiędzy jeziorami Ontario i Erie. Pod względem masy wody Niagara jest największym wodospadem na świecie. Wody z rzeki Niagara wypływają z jeziora Erie i wpadają do jeziora Ontario. Wyspa Kozia (*Goat Island*) dzieli wodospad na część amerykańską (*American Falls*) i kanadyjską (*Canadian/Horseshoe Falls*). Wodospad nie wywarł na nas tak dużego wrażenia jak oczekiwaliśmy. Może dlatego, że podziwialiśmy go z za bariery dla turystów, znajdującej się w pewnej odległości od masy wody. Żeby wyczuć „majestat” wodospadu trzeba zejść do tunelu, tuż za masą wody lub popłynąć stateczkiem w bezpośrednią bliskość żywiołu.

Poza tą bardzo ciekawą wycieczką robiliśmy jeszcze krótkie wypadki do niektórych, interesujących obiektów w pobliżu Toronto. Jednym z nich było zwiedzanie miasteczka *Kleinburg*, oddalonego o około półtorej godziny jazdy samochodem od centrum Toronto. To miasteczko skansen nawiązuje do przeszłości. Na przykład, na jednym ze skwerków jest ustawiony wiejski wóz o dużych kołach, pełen worków, które mają

symbolizować sposób przywożenia plodów rolnych do miasteczka. W zalesionym terenie znajdującym się w pobliżu mogliśmy obejrzeć zbiory sztuki kanadyjskiej *Mc Michael Canadian Art Collection*. Jeszcze ciekawszym obiektem do zwiedzania jest położony w pobliżu Toronto skansen folklorystyczny o pełnej nazwie *Black Creek Pioneer Village*. Jest to zachowana w niezmiennym stanie osada pionierów, którzy przed laty zagospodarowywali te regiony. Zwiedzanie skansenu z przewodnikiem jest bardzo pouczające.

Większą część czasu poświęconego na zwiedzanie wędrowaliśmy po Toronto we dwoje. Przemieszczaliśmy się za pomocą metra. Metro w Toronto jest stosunkowo skromne jak na cztero i pół milionowe miasto. Składa się z trzech linii: dwu długich i jednej króciutkiej. Linia zielona biegnie ze wschodu na zachód, mniej więcej równoległe do brzegu jeziora *Ontario*, w pewnej od niego odległości. Najdłuższa linia – żółta biegnie z północy na południe, wzdłuż ulicy *Yonge*, (podobno najdłuższej ulicy świata), przecina linię zieloną, biegnie dalej na południe, po czym zatacza łuk o 180 stopni, by po ponownym przecięciu linii zielonej pobiec znów na północ, lekko odchylając się w lewo. Wyruszyliśmy na zwiedzanie z końcowej stacji *Finch*, do której dochodziło się z *Dunforest Ave* piechotą. Trzecia linia – niebieska jest przedłużeniem zielonej na północ, we wschodniej części miasta.

Jednym z upatrzonych przez nas celów było zwiedzenie słynnej wieży *CN Tower*, znajdującej się przy ulicy *Front Street*, do której blisko jest od stacji metra *St. Andrew* lub *Union*, najbardziej wysuniętej na południe, na owym zakręcie żółtej linii metra. Wieża, której budowę ukończono w 1976 r. ma wysokość 553 m i była wówczas najwyższą tego rodzaju konstrukcją na świecie. Po zakupieniu drogich biletów wspięliśmy się szybką windą na 58 piętro, gdzie znajduje się kolista taras widokowy, umożliwiający obserwację na wszystkie strony świata. Wtedy spotkała nas przykra niespodzianka. Okazało się bowiem, że nie jesteśmy jeszcze na najwyższym tarasie tej wieży. Żeby tam się dostać, gdzie na wysokości 447 m znajduje się najwyższy taras świata *Space Deck*, trzeba było wykupić dodatkowe bilety. Ten sprytny chwyt handlowy tak bardzo nam się nie spodobał, że zadowoliliśmy się niższym tarasem. Ale i z niego widok też był wspaniały, zarówno na jezioro *Ontario* jak i na panoramę miasta.

Na inną, całodzienną wycieczkę wyruszyliśmy również ze stacji metra *Union*. Wybraliśmy się na położone na jeziorze *Ontario* wyspy *Toronto Islands*. Aby tam dotrzeć trzeba było wypłynąć z przystani promowej *Island Ferry Docks*. Po dopłynięciu na miejsce skoncentrowaliśmy się głównie na najlepiej zagospodarowanej wyspie *Centre Island*, jednakże z łatwością można się przemieszczać z jednej wyspy na drugą gdyż pobudowano tam szereg mostów łączących je ze sobą. Wyspy są idealnym miejscem do

wypoczynku. Na *Centre Island* znajduje się piękny park, są restauracje, wypożyczalnie łodzi i rowerów, tereny biwakowe i kopia zbudowanej specjalnie dla małoletnich turystów dziewiętnastowiecznej osady o nazwie *Centerville*. Jeżeli Drogi Czytelniku znajdziesz się kiedykolwiek w Toronto, nie zapomnij o wyspach.

Pewnego dnia wybraliśmy się specjalnie na ulicę *Roncesvalles*, skupisko polskich emigrantów. Aby tam dotrzeć trzeba wysiąść na stacji *Dundas West* linii metra wschód – zachód. Następnie ulicą *Dundas* podążamy na południe. Wiele sklepów przy ulicy *Roncesvalles* ma polskie szyldy, słychać polską mowę. Zwraca uwagę pomnik papieża Jana Pawła II, ustawiony przy narożu banku, na tle trzech wysokich krzyży. U stóp pomnika znajdują się cztery schodki. Postanowiliśmy zrobić sobie zdjęcie na tle tabliczki z napisem *Roncesvalles*, umieszczonej na słupku. Kiedy jedno z nas ustawiło się koło słupka, zaś drugie przymierzało się do wykonania zdjęcia, podszedł do nas jakiś mężczyzna, który powiedział:

- Ustawcie się państwo oboje, ja wykonam zdjęcie. Bardzo dobrze wykadrował.

Nie sposób być w Toronto i nie odwiedzić pałacu *Casa Loma*. Jest to w oryginalnym stylu wykonana budowla, która wzniesiona w początku dwudziestego wieku, należała do milionera *Sir Henry'ego Mill Pellatta*. Ten kanadyjski finansista i przemysłowiec był również znany jako wojskowy. Miał rangę generała – majora i dowodził jednym z najstarszych pułków w Kanadzie. Obecnie w pałacu znajduje się muzeum. Zwiedza się je za biletami wstępu. Powędrowaliśmy tam w jedną z niedziel. Pałac wygląda cudacznie. Przy jego budowie wykorzystano elementy kilku stylów: normańskiego, romańskiego i gotyckiego. Otacza go piękny ogród z wędrującą fontanną. Zgodnie z przyjętym w tej książce zwyczajem określmy położenie pałacu *Casa Loma*. Wsiadamy na stacji metra *Dupont*. Idąc spacerkiem na północ dotrzemy do skrzyżowania ulic *Spadina Ave* i *Davenport Rd*. Tam zobaczymy tę okazałą budowlę.

Spośród imprez w jakich uczestniczyliśmy w Toronto zapamiętałem dwie. Jedną z nich był koncert w szkole 13 letniej wówczas Oleńki. Koncert, w którym wzięły udział liczne zespoły muzyczne i chóry z różnych klas szkoły był zatytułowany „*Friends Forever*” (Przyjaciele na zawsze). Z jednej strony sporej sali ulokowały się w należyłym porządku zespoły. W jednym z nich, grająca na flecie Oleńka. Na krzesłach ustawionych z drugiej strony sali zasiedli rodzice no i oczywiście dziadkowie. Większość była uzbrojona w aparaty fotograficzne. Po sali krążyli gęsto posiadacze amatorskich kamer video. Wśród przeważającej liczby utworów rodzimych kompozytorów kanadyjskich znalazło się również miejsce dla *J. S. Bacha*. To było prawidłowe oddziaływanie szkoły na młodzież, w której rozbudzano różne zainteresowania. Poza tą grą na flecie, którą Oleńka ćwiczyła

godzinami w domu, grywała ona w żeńskiej drużynie piłki nożnej. W ten sposób dzieci miały wypełniony w ciekawy sposób czas i nie miały go na zainteresowanie się alkoholem, papierosami lub narkotykami.

Druga impreza, którą zapamiętałem była już o wiele bardziej poważna. 27 maja 1996 r. Piotr zabrał mnie ze sobą na wykład, który wygłosił jako jedyny prelegent na sesji upamiętniającej zmarłego niedawno działacza *Bundu* w Polsce *Louisa Lenkieskiego*. *Bund* był partią lewicową, czymś jak gdyby odpowiednikiem polskiej PPS. Był zwalczany przez komunistów, jak każda nie komunistyczna partia lewicowa. Piotr w swoich badaniach naukowych zajmował się między innymi tematyką *Bundu*. Ogólnie, zajmuje się on historią najnowszą, lecz jego zainteresowania naukowe są dość szerokie. Najpierw zgłębiał historię Niemiec z okresu Republiki Weimarskiej, co znalazło swój wyraz w obronionych pod kierunkiem prof. Jerzego Holzera pracach: magisterskiej a następnie doktorskiej. Następnie, w latach 1987-88, jako dyrektor prac badawczych tajnych Archiwów Wschodnich, zajmował się badaniami nad losem Polaków wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego po 17 września 1939 roku. Równolegle uprawiał tematykę związaną z mniejszościami narodowymi w Polsce, częściowo Białorusinami, lecz głównie Żydami. Tematykę tę kontynuował między innymi również w Kanadzie. Stąd zaproszenie do wygłoszenia referatu na sesji rocznicowej poświęconej *Louisowi Lenkieskiemu*. Tytuł referatu brzmiał: „*The Bund and Polish - Jewish Relations.*” Tak więc tematyka była szersza, nie tylko związana z *Bundem*.

Sporych rozmiarów sala była zapełniona. Byli tam zarówno mężczyźni jak i kobiety, przeważnie ludzie w starszym wieku. Rozglądałem się dookoła, usiłując odczytać z twarzy „kto jest kim?” Ale z twarzy nie można wyczytać zbyt wiele. Odpowiedź na moje pytanie znalazłem dopiero wtedy, gdy rozgorzała dyskusja. Tymczasem, siedzący obok mnie mężczyzna, nie tak znowu bardzo stary zagadnął:

- Pan z Polski? Nie spotykałem tutaj pana na naszym terenie.
- Tak, przyjechałem z Polski.
- A jak dawno?
- Około dwóch tygodni temu.
- A był pan już przed tym w Kanadzie?
- Jeszcze nie. Jestem pierwszy raz.

I na tym rozmowa się urwała gdyż już zagajono spotkanie, zresztą nie miałem zamiaru ujawniać, że jestem ojcem prelegenta. Spytałem później Piotra, kim był mój rozmówca. Okazało się, że był to wiceprezes Polonii Kanadyjskiej. Spotkanie otworzył z ramienia „*The Polish – Jewish Heritage Foundation of Canada*” człowiek o nazwisku *Frank Bialystok*, profesor innego uniwersytetu niż Piotra, lecz również znajdującego się

w Toronto. Po wygłoszonym przez niego wprowadzeniu, głos zabrał Piotr i wygłosił swój referat (oczywiście w języku angielskim). W dyskusji oprócz wspomnień o zmarłym *Lenkiskim* dominowały wypowiedzi na temat stosunków Polsko – Żydowskich. Były to wypowiedzi raczej wyważone, w duchu pojednania zarówno ze strony obecnych na sali w większości Żydów, jak też i ze strony przedstawicieli władz Polonii Kanadyjskiej. Jednak znalazła się też, skupiona w jednej części sali grupa naszych „jastrzębi”. Jeden z nich zaczął wypowiadać się w duchu jątrzącym raczej a nie pojednawczym. Mówił po polsku gdyż, jak tłumaczył, nie zna języka angielskiego. Po uzyskaniu przez niego odpowiedzi *Frank Białystok* zamknął spotkanie, tłumacząc to znacznym przedłużeniem się spotkania powyżej określonego limitu czasowego.

Po wykładzie Piotra znalazłem się w toalecie. Kiedy zalaśniałem moją czynność fizjologiczną, zrozumiałam po kilkugodzinny udział w imprezie, przy sąsiednim pisuarze, to samo czynił pewien stary Żyd. Znienacka zaskoczył mnie pytaniem:

- *Is there antisemitism in Poland?* (Czy jest w Polsce antysemityzm?)

Poczułem się jak szachista, grający partię turniejową z zegarem, któremu pozostało niewiele czasu do jego kontroli i musi wykonywać każdy swój ruch błyskawicznie. Znałem swój obowiązek Polaka przebywającego za granicą a jednocześnie brzydzę się kłamstwem. Nie było jednak czasu na szersze omówienie zagadnienia. Oczekiwano odpowiedzi jak w sądzie: tak albo nie. I wtedy doznałem „olśnienia”. Powiedziałem:

- *The problem is too serious, to discuss it in the toilet.* (To jest zbyt poważny problem, by go dyskutować w toalecie). Mój rozmówca stropił się. Poczuł się zażenowany i przeprosił mnie za niestosowne odezwanie się w niewłaściwym miejscu. Opuściłem toaletę i odszukałem Piotra. Mój rozmówca pozostał tam jeszcze. Widocznie miał gorsze właściwości urodynamiczne.

## 11.2. Montreal i Ottawa

Po niespełna tygodniu pobytu w *Toronto* wyruszyliśmy autokarem do *Montrealu*, gdzie oczekiwała na nas starsza siostra Oli – Marysia. Jest już ona znana uważnemu Czytelnikowi moich wspomnień z pierwszej części książki „40 lat 8 miesięcy i 10 dni” [1], jako osoba, która opuściła nielegalnie kraj w 1970 r. wraz z dwoma synami na pokładzie jachtu, zawijając do portu w Kopenhadze. Już około 25 lat mieszkała w Kanadzie.

Przez wiele lat Marysia zatrudniała się jako przewodniczka wycieczek turystycznych, więc miała w tych sprawach doskonale rozeznanie. Zaleciła nam podróż autokarem firmy „EASY RIDE” *Car Pool Service*. Firma oferowała bilety tanio, choć zapewniała duży komfort jazdy. To odbywało

się tak jakoś inaczej niż w Polsce: bez przepychanek, ludzie uśmiechnięci, spokojni. Odległość od Toronto do *Montrealu* wynosi około 600 km.

A więc jechaliśmy do *Montrealu*, drugiego pod względem liczby mieszkańców miasta Kanady, które liczy ich 3 i pół miliona. Jest ono stolicą prowincji *Quebec*, zamieszkałej głównie przez ludność francuskojęzyczną. Cała prowincja *Quebec* ma powyżej 7 milionów mieszkańców. Ma ona tendencje separatystyczne i dąży do utworzenia niezależnego państwa. Jednak referendum w tej sprawie *frankofoni* przegrali. Miasto *Montreal* leży na wyspie o tej samej nazwie, położonej na *Rzeczce Świętego Wawrzyńca*, w pobliżu ujścia do niej rzeki *Ottawa*, wokół wzgórza *Mont – Royal*. *Montreal* jest drugim na świecie miastem francuskim po *Paryżu*. Francuzi stanowią około 60 % jego mieszkańców. Reszta to: Brytyjczycy, Włosi, Portugalczycy, Hiszpanie, Grecy, Niemcy, Rosjanie, Polacy, Węgrzy, Żydzi, Chińczycy oraz Indianie.

Marysia oczekiwała na nas w umówionym miejscu, po czym taksówką zawiozła nas do siebie. Mieszkała przy *Rue Saint Jacques*, niedaleko stacji metra *Place Saint Henri*. Z tej stacji albo ze stacji *Vendôme* wyruszyliśmy na nasze wędrowki po *Montrealu*. Nie będę ukrywał, że *Montreal* podobał nam się bardziej niż *Toronto*. Miasto schludne, ładnie zabudowane ma gęstą sieć linii metra, to prawda, że na obszarze mniejszym niż *Toronto*. Złożone z pięciu linii metro jest tak rozplanowane, że można nim dojechać niemalże do każdego zakątka. Wszędzie przeważają napisy w języku francuskim.

Bardzo interesowało nas zwiedzenie Starego Miasta (*Vieux Montréal*). Z „naszej” stacji metra *Place – Saint – Henri*, bez przesiadania dojechaliśmy czerwoną linią metra do niezbyt odległej stacji *Place – D’Armes*, aby po kilkugodzinnym zwiedzaniu dotrzeć do następnej stacji tej samej linii *Champ – De – Mars*, skąd w ten sam sposób powróciliśmy do domu. Najciekawszy do zwiedzania jest obszar pomiędzy ulicami *Notre Dame* i *St. Paul*, w przybliżeniu równoległymi do wybrzeża i prostopadłą do nich ulicą *Bonsecours*. Kartuję rodzinne albumy fotografii. Oto sporych rozmiarów *Place d’Armes*. W tle zdjęcia kopuła katedry *Notre Dame*. Katedra ta, zbudowana w stylu neogotyckim w latach 1823 – 1892, jest zapewne największym obiektem sakralnym w Ameryce Północnej. Jeden z dziesięciu, ważący ponad 11 t dzwon jest największym dzwonem w Ameryce. Katedra może pomieścić 5000 osób. Przed katedrą, na wysokim cokole postać mężczyzny, który lewą dłoń podtrzymuje szablę, zaś w prawej wznosi do góry sztandar. Jest to pomnik kawalera *de Maisonneuve*, uważanego za założyciela *Montrealu*. Przed pomnikiem szereg dorożek konnych oczekuje na turystów.

Idąc ulicą *Notre Dame* na północny wschód natrafiamy na *Place Jaques Cartier*. Patron tego placu jest bohaterem narodowym *Quebecu*,



francuskojęzycznej prowincji Kanady. Był to francuski podróżnik, który w 1534 roku spenetrował wybrzeże Zatoki Świętego Wawrzyńca i odnalazł ujście rzeki, której nadano tę samą nazwę co zatocze. Popłynął on w górę tej rzeki i dotarł do osiedli indiańskich, na których powstały później miasta *Montreal* i *Quebec*. *Jaques Cartier* zatknął krzyż nieopodal swojego pierwszego lądowiska i ogłosił władzę króla francuskiego Franciszka I nad odkrytym przez siebie, jak sądził, nowym kontynentem.

Z uwagi na wybitną rolę *Cartiera* w historii francuskiej części Kanady, *frankofoni* (jak niektórzy nazywają francuskojęzycznych mieszkańców Kanady) poczuli się głęboko dotknięci, kiedy Anglicy postawili na placu jego imienia, kolumnę swojego admirała *Horatio Nelsona*, zwycięzcy w bitwie morskiej pod *Trafalgarem* i to jeszcze zanim kolumna taka stanęła w Londynie. Ta kolumna jest nieustannie kością niezgody pomiędzy dwiema najliczniejszymi narodowościami Kanady.

Było też co zwiedzać w centrum miasta. Główna ulica handlowa miasta *Sainte – Catherine* ma 30 km długości. Znajdują się przy niej liczne teatry, kina, domy towarowe, restauracje i bary. Z zabytków sztuki sakralnej na uwagę zasługuje położony przy tej ulicy kościół katedralny *Christ Church*. W jego podziemiach znajduje się duży dom towarowy. Tak cenny jest teren w centrum *Montrealu*.

Na *Square Victoria* oglądaliśmy imponujący posąg wystawiony na cześć królowej brytyjskiej. W jego tle rozrzucone są gęsto nowoczesne wieżowce. Przed gmachem *Banque Nationale* usytuowana jest niezwykle oryginalna rzeźba dłuta *Raymonda Massou*, zatytułowana „*La foule illuminée*”. Przedstawia ona grupę ludzi (około 20 osób) o niezgrabnej, brylowatej budowie, podążających przed siebie (niektórzy z wyciągniętymi ramionami). Idą „ku świetlanej przyszłości”. Kiedy jesteśmy już przy pomnikach warto wspomnieć o posągu Mikołaja Kopernika, zbudowanym na wzór tego na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Znajduje się on niedaleko planetarium.

Jednego dnia pobytu w *Montrealu* mieliśmy zwiedzanie miasta samochodem. Kierowcą i przewodnikiem był Andrzej Manitius, starszy syn Marysi, kapitan łodzi żaglowej, którą w 1970 r. przepłynął do Danii wraz z matką i młodszym bratem. Ojciec jego należał do owej znanej rodziny Manitiusów, z której wywodził się profesor Jan Manitius z Krakowa i docent Zdzisław Manitius z Gdańska. Sam Andrzej przed opuszczeniem kraju był młodym, obiecującym pracownikiem naukowo – dydaktycznym Politechniki Łódzkiej. W Kanadzie pracował przy projektowaniu elektrowni wodnych.

Andrzej sam wybierał obiekty, nasza rola polegała jedynie na tym by fotografować co się tylko dało, słuchać objaśnień i ewentualnie zadawać

pytania. Zawióżył nas na wzgórze *Mont Royal*, położone 230 m nad centrum miasta. Tam zwiedziliśmy Oratorium Świętego Józefa i inne zabytki, a następnie z miejsca widokowego oglądaliśmy wspaniałą panoramę miasta. Później przemieściliśmy się na stadion olimpijski zbudowany na igrzyska w 1976 r.

Marysia załatwiła nam jednodniową wycieczkę do stolicy Kanady – *Ottawy* i pojechała tam razem z nami. Była to wycieczka jakiegoś stowarzyszenia emerytów i rencistów. Kiedy nasz przestarzały autokar pokonywał około 130 kilometrową odległość bardzo nas wytrzęsło. Wielu zadaje sobie pytanie dlaczego stolicą Kanady jest stosunkowo małe miasto *Ottawa* a nie *Montreal* czy *Toronto*? Otóż te dwa miasta rywalizowały ze sobą o rolę stolicy. Spór był tak zawzięty, że królowa Wiktoria straciła cierpliwość i w 1867 r. uczyniła stolicą *Ottawę*, małe miasteczko na odludziu, które przed tym nazywało się *Bytown*. To było tak jakby obecnie w Polsce wobec sporu Torunia z Bydgoszczą o to, które z tych miast ma być wojewódzkim, uczyniono stolicą województwa Chelmnę albo Chelмно.

W *Ottawie* zwiedziliśmy Galerię Narodową, znajdującą się przy *Sussex Drive*. Większość czasu spędziliśmy w galerii obrazów. Jej zadaniem nie zawarłam się nazwać śmiesznym. Otrzymałmśmy przewodnika, pracownika galerii, znawcę historii sztuki. Ten podprowadził nas do jednego z obrazów, pędzla kanadyjskiego artysty malarza, przedstawiającego jakąś scenę z historii Kanady i pastwił się nad nami przeszło pół godziny, objaśniając ten, skądinąd piękny obraz z najdrobniejszymi szczegółami. Podawał te informacje tak, jakby każdy z nas był niezłym znawcą historii sztuki. Po zakończeniu tego popisu (najwyraźniej upajał się swoją wiedzą i erudycją), polecił nam zwiedzić resztę galerii indywidualnie. Czasu starczyło nam tylko na tyle, by szybko przejść przez poszczególne sale i śliznąć się wzrokiem po obrazach. W pobliżu Galerii Narodowej znajduje się charakterystyczny pomnik pojednania francusko – angielskiego. Gmach parlamentu, który mieliśmy ochotę zwiedzić był akurat w remoncie.

Wkrótce trzeba się było zbierać w drogę powrotną, biorąc pod uwagę średnią prędkość naszego autokaru. Zdołaliśmy jeszcze zwiedzić przepiękną plantację tulipanów. Była ona darem królowej holenderskiej, która w czasie II wojny światowej, kiedy kraj jej został okupowany doznała gościnności Kanady i w dowód wdzięczności każdego roku przysyła znaczną liczbę wspaniałych, holenderskich tulipanów.

Warto może jeszcze prześledzić losy Marysi i jej synów w Kanadzie, jako przykład losów polskich emigrantów. Jest to przykład ludzi, którym się w ostatecznym rachunku powiodło, choć byli i tacy, którzy doznali klęski. Do tego powodzenia prowadziła długa i ciężka droga. Marysia, która

w Polsce była urzędniczką, w Kanadzie miała się różnych zawodów. Była recepcjonistką w hotelu, prowadziła bufet w jakimś ośrodku polonijnym, pracowała w liniach lotniczych przy przygotowywaniu posiłków dla pasażerów, zatrudniała się jako przewodniczka wycieczek turystycznych. Jednak Kanada jest krajem opiekuńczym i wypracowała sobie całkiem przyzwoitą emeryturę. Jako obywatelka kanadyjska otrzymywała z Niemiec emeryturę za pracę niewolniczą w czasie wojny. Zapewniła sobie ładne dwupokojowe mieszkanie komunalne w dogodnym punkcie miasta. Początki miała bardzo trudne, gdyż starszy syn Andrzej – inżynier elektryk, nie od razu otrzymał dobrze płatną pracę, zaś młodszy, Wiesław był dopiero uczniem szkoły średniej i musiała zapracować na jego naukę a później studia. Jednak dobrze się uczył i skończył studia politechniczne w specjalności konstruktor maszyn papierniczych. Otrzymał korzystną pracę i pod względem stopnia zamożności prześcignął swojego starszego brata, który posiadał „tylko” własny dom i samochód (oraz trzy dorosłe córki), zaś on miał dwa domy w Montrealu własny jacht i oczywiście samochód. Ale w krajach kapitalistycznych rządzą specjalne prawa i kiedy nagle jego firma przeniosła się do USA, miał do wyboru: przenieść się wraz z firmą lub zostać bez pracy. Zdecydował się na przeniesienie, zamieszkał w *Atlancie*, wybudował sobie dom nad jeziorem z przystanią jachtową. Był tzw. „starym kawalerem”, lecz Marysia wyswatała go z bardzo przyjemną i dobrą dziewczyną z Polski, z którą mają już dwoje dzieci. W ten sposób osiągnęła swój ostatni cel, do którego uparcie dążyła.

Marysia była dobrą i życzliwą ludziami kobietą. Kiedy sytuacja jej i chłopców była jeszcze bardzo trudna ślubowała Panu Bogu, że jeżeli im się powiedzie to do końca życia będzie oddawała pewną sumę pieniędzy dla potrzebujących. Ślubu dotrzymała. Do końca życia przekazywała pieniądze pewnej samotnej matce w Polsce, której dziecko cierpiało na porażenie mózgowie.

Tymczasem z żalem żegnała się z nami przed odjazdem autobusu *Montreal – Toronto*. Planowała rychły, ponowny przyjazd do Polski. Przybyła wkrótce, lecz zamieniona w garść popiołu w urnie. Zaraz po naszym wyjeździe stwierdzono u niej guz mózgu. Po trzech miesiącach operowano ją. Lekarze „dali jej” jeszcze 9 miesięcy życia. Niestety obliczenie było fachowe. Właśnie po tylu miesiącach zmarła. Została pochowana w grobie rodzinnym na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej w Łodzi. Ale tak jak przez całe życie była skromna i starała się nie zajmować dużo miejsca pod słońcem, nie wadząc nikomu, tak i teraz jej urna zajęła niewiele miejsca w przepelnionym grobie.

Ale czas już zmienić nastrój na bardziej pogodny. Lecieliśmy w samolocie *Toronto – Warszawa* w niezłym nastroju. Pozostawialiśmy

dzieci i wnuki w dobrej kondycji. Z przyjemnością stwierdziliśmy, że byli dobrze dobranym, zgodnym małżeństwem. Bardzo troszczyli się o świetnie rozwijające się i szybko rosnące dzieci – nasze wnuki. Byliśmy zadowoleni z osiągnięć zawodowych Piotra. Zwróciliśmy uwagę na taki szczegół, że w czasie naszego dwutygodniowego pobytu w Toronto, Ania, która sama przygotowywała obiady, ani razu nie przyrządziła tej samej potrawy jeszcze raz. W ten sposób poznaliśmy bogactwo kuchni kanadyjskiej. Teraz, gdy piszę te słowa w 2001 r. mamy jeszcze większą wiedzę na ich temat. Poza uczuciem i dziećmi, łączy ich również to, że wspólnie piszą książki historyczne.

## 12. W „Lecznicy Rządowej”

W tytule umieściłem nazwę potoczną, stosowaną (z pewnym odcieniem złośliwości) przez ogół. Prawdziwa nazwa brzmiała: „Lecznica Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej” i mieściła się przy ulicy Emilii Plater 18 w Warszawie. W lecznicy tej „w minionym okresie” leczyli się tzw. promineneci, czyli wyżsi przedstawiciele władz państwowych i partyjnych. Wtedy musiało tam być nawet niezłe, ze względu na niedużą liczbę leczonych. Lecz w 1980 r., w ramach porozumień sierpniowych, robotnicy wybrzeża przeforsowali postulat likwidacji „Lecznicy Rządowej”. Lecz jak wiadomo niektóre postulaty sierpniowe nie zostały spełnione do dziś, a wśród nich, dzięki zastosowaniu pewnego manewru i ten postulat. O stanie dzisiejszym napiszę nieco dalej.

Żeby ratować przed likwidacją dobrze wyposażoną i dobrze prosperującą, położoną w centrum miasta lecznicę sięgnięto po pewien wybieg. Żeby to nie była lecznica dla prominentów, dopuszczono do leczenia w niej profesorów wyższych uczelni warszawskich, sędziów Sądu Najwyższego i jeszcze pewną grupę wybitnych twórców kultury. W ten sposób zarzut o lecznicy dla prominentów został obalony. Znam dwie wersje na temat autorstwa tego zabiegu. Powszechnie przyjęta wersja mówi, że zmianę tę wprowadził premier Tadeusz Mazowiecki. Pewien leczący się w szpitalu tej lecznicy profesor twierdził, że pomysł ten zawdzięczamy premierowi Mieczysławowi Rakowskiemu. Ta ostatnia wersja wydaje się bardziej prawdopodobna, gdyż pozycja rządów solidarnościowych Tadeusza Mazowieckiego była tak mocna, że nie potrzebowały się liczyć z krytyką takiego drobiazgu jak jedna lecznica w Warszawie. Po dopuszczeniu do korzystania z tej lecznicy profesorów, musiano przyjąć również profesorów WAT, co czyniono z pewnymi oporami, tłumacząc, że WAT ma zapewnione leczenie w wojskowych placówkach służby zdrowia. Później zrozumiałem dlaczego tak się bronili. Po udostępnieniu lecznicy profesorom i sędziom stała się ona bardzo przeciążona. Dlatego mieli specjalne biuro uprawnień, które zajmowało się

filtrowaniem kandydatów na pacjentów. Obowiązywała zasada, że jeżeli profesor przechodził na emeryturę to zatrzymywał prawo do leczenia, lecz jego żona już nie. Nasz Wydział Kadr przedstawił listę profesorów WAT, która została zaakceptowana. Na liście tej było umieszczone również moje nazwisko i w ten sposób znalazłem się wśród pacjentów „Lecznicy Rządowej”. Leczyłem się tam od 7 października 1996 (jest to data mojej pierwszej wizyty) do 13 stycznia 1999 (data ostatniej wizyty). W ten sposób przekroczyłem progę tej otoczonej legendą lecznicy, o której po wprowadzeniu reformy służby zdrowia wiele pisano w prasie, zarówno rzeczy prawdziwych jak i nieprawdziwych. Kiedy już znalazłem się wewnątrz, obserwowałem dociekliwym (jak mi się wydaje) wzrokiem, co się tam działo.

Lecznica składała się z dwu części: szpitala, znajdującego się po lewej stronie ulicy Emilii Plater (idąc od strony Dworca Centralnego) przy skrzyżowaniu z ulicą Hożą i przychodni, znajdującej się po stronie prawej. W szpitalu leczyłem się czterokrotnie a w przychodni wiele razy. Muszę jednak zaznaczyć, że nagłośniona w prasie informacja o uczynieniu lecznicy szeroko dostępną nie zawierała całej prawdy. Zarówno szpital jak i przychodnia miały bowiem oddziały wydzielone, gdzie leczono aktualnych prominentów, zaś profesorowie, sędziowie i dawni prominenci nie mieli tam wstępu. Podobno był tam znacznie wyższy standard, lecz nie mogę tego stwierdzić na podstawie autopsji, gdyż nigdy nie przekroczyłem specjalnego wejścia od strony ulicy Hożej. Miejscem gdzie mogli się spotkać pacjenci pierwszej i drugiej (do której ja się zaliczałem) kategorii były pracownie do badań specjalistycznych (rentgen, USG, echo serca, EKG, badanie holterowskie itp.) Tam to widziałem kilka osób „z pierwszych stron gazet”: byłego premiera Józefa Oleksego, jak wychodził w ubraniu z jednego z gabinetów, ówczesnego wiceministra sprawiedliwości Leszka Piotrowskiego, jak oczekiwał w szlafroku szpitalnym na jakieś badanie a także wziętego na wózek szpitalnym ministra Pałubickiego. Chyba nie nadaję się na reportera, gdyż nie zaobserwowałem czy był on w czarnym sweterku, czy też w piżamie szpitalnej.

Napiszę teraz o wadach i zaletach tej lecznicy, żeby rozwiać mity, które wokół niej powstały. Może najpierw wady. Były to budynki bardzo stare i nie nowoczesne. Był tam przed wojną szpital im. św. Franciszka. Korytarze i izby były ciasne, nie tak jak w nowoczesnych, przestronnych szpitalach. Fatalna była lokalizacja szpitala – w centrum miasta, przy ruchliwej ulicy Emilii Plater, którą odbywał się dniem i nocą ruch kołowy. Było to szczególnie dokuczliwe w czasie letnich upałów, kiedy trzeba było koniecznie otwierać okna i do pomieszczeń wdzierał się hałas i spaliny. Drugą wadą była, o czym już pisałem nadmierna liczba leczonych

pacjentów i wadliwy system zapisywania się do lekarzy. Oczywiście do specjalistów zapisywało się bez pośrednictwa „lekarza pierwszego kontaktu”, gdyż na ten kuriozalny pomysł nikt jeszcze wówczas nie wpadł. Jednak system zapisywania się do lekarzy był uciążliwy. Zapisy na dany miesiąc rozpoczynano w ostatnią środę poprzedzającego miesiąca. Wtedy, przed otwarciem okienka rejestracji gromadził się niewyobrażalny tłum. Po dotarciu do okienka można się było zapisywać do dowolnych lekarzy na różne terminy, których z każdą chwilą było coraz mniej. Przebiegająca przez cały, średnich rozmiarów hol kolejka wila się w górę po schodach na długo przed otwarciem okienka rejestracji. Żeby nie zasłabnąć stojąc godzinami w tej kolejce, zakupiłem sobie składany stółek wędkarski, na którym siedziałem. Nie byłem oryginalny, czyniło tak wielu chorych. Inni przynosili sobie krzesła z przed gabinetów lekarskich przychodni. Kto się już dostał do okienka, mógł zapisać do różnych lekarzy siebie, swoją żonę a także znajomych i to na kilka terminów. W ten sposób bardzo szybko zaczynało brakować wolnych terminów. Później można się było zapisywać przez cały miesiąc, lecz rzecz oczywista tylko na te terminy, które nie zostały obsadzone w tę ostatnią środę. Spotkałem się z takim dziwnym określeniem tej lecznicy: nazywano ją „złotą trumną”. Z tych słów tylko drugie jest prawdziwe. Zejścia niemłodych przecież, emerytowanych profesorów zdarzały się bardzo często. Wówczas pielęgniarka ogłaszała:

- Proszę nie wychodzić na korytarz. Proszę zamknąć drzwi od pokoiów. Wtedy było już wiadomym, że pod prześcieradłem, na szpitalnym łóżku na kółkach były przewożone szczątki kogoś, którego wybitny nieraz mózg przestał już tworzyć i emanować na otoczenie. Wtedy nasuwała się refleksja. Ile ten człowiek się w swoim życiu uczył (niektórzy do końca), ile idei i pomysłów wygenerował jego mózg. A teraz wszystko jest już skończone. Z tego opisu niektórych niedogodności „Lecznicy Rządowej” jest widoczne, że nie była to trumna złota ani nawet srebrna, lecz tylko zwyczajna, sosnowa a co najwyżej dębowa.

Zwróćmy teraz uwagę na niektóre zalety tej lecznicy. Jedną z nich było grzeczne podejście personelu (szczególnie pielęgniarskiego) do pacjentów. Mili też byli lekarze (z bardzo nielicznymi wyjątkami). Są lekarze „kontaktowi”, umiejący cierpliwie wysłuchiwać pacjentów, odpowiadających na ich pytania i udzielających im szeregu wyjaśnień. Innymi słowy, edukujących pacjenta. Ma to bardzo korzystny wpływ na uzyskany efekt terapeutyczny. I są lekarze „małomówni”. Unikają odpowiedzi na pytania pacjenta. Nie udzielają mu niezbędnych wskazówek. „Nie mają czasu go wysłuchać”. Innymi słowy – nie współpracując z pacjentem, traktują go nie podmiotowo lecz przedmiotowo. Pacjent musi wypytywać pielęgniarkę co to za leki mu przyniosła i na co który lek działa. Tego rodzaju lekarzy w tej lecznicy prawie że nie było, choć nie mogę napisać, że nie było ich wcale.

Inną zaletą było bardzo sprawnie działające laboratorium. Miało ono aż 4 stanowiska do pobierania krwi. Po przyjściu do poczekalni pacjent zanosił swoje skierowanie do mniejszego z dwu pomieszczeń punktu pobierania krwi i powracał do poczekalni by spocząć na jednym z pokrytych białymi nakryciami fotelu. Po krótkiej chwili był wywoływany przez laborantkę po nazwisku. W ten sposób nigdy nie było tam klótni z wypowiedziami typu „ja tu byłem pierwszy”.

Jeszcze inną zaletą było bardzo sprawnie działające pogotowie szpitalne. Po telefonicznym zgłoszeniu na izbę przyjęć, rozmowa była krótka i treściwa. Nikt nie żądał od pacjenta by sam postawił diagnozę, czy jego dolegliwość stanowi zagrożenie życia, bo jeżeli nie to zapłaci karę za nieuzasadnione wezwanie pogotowia, tak jak to się dzieje dzisiaj, po wprowadzeniu reformy służby zdrowia, kiedy to na jej ciele pojawił się nowotwór złośliwy w postaci „Kas Chorych”. Karetka przyjeżdżała bardzo szybko. Jeżeli z wywiadu telefonicznego wynikała taka potrzeba, zjawiała się karetka reanimacyjna. Szpital miał własne pogotowie.

Dobrze funkcjonowała stomatologia. Miała ona oddzielną rejestrację. Na wizytę nie czekało się zbyt długo. Chociaż czas wyczekiwania na wykonanie protezy był bardzo długi, to naprawy uszkodzonych protez wykonywano w ciągu jednego dnia.

To może już czas napisać też o niektórych „towarzyszach niedoli” i o stosunkach z nimi, które za licznymi wyjątkami układały się dobrze. Najpierw napiszę o ludziach, z którymi się zetknąłem w czasie moich czterech pobytów w tym szpitalu a także licznych wizyt w przychodni. W szpitalu były izby cztero – trzy – dwu i jednołóżkowe. O ile dobrze zaobserwowałem najwięcej było trzyłóżkowych. Do takich pomieszczeń zawsze trafiałem. Moimi sąsiadami byli prawie zawsze profesorowie, raz tylko był to emerytowany sędzia Sądu Najwyższego i raz osoba nie należąca do żadnej z tych grup i nie będąca byłem prominentem. Temu pacjentowi poświęcę trochę więcej uwagi, gdyż jego historia była bardzo ciekawa.

Ten stosunkowo młody człowiek był przedstawicielem handlowym, zajmującym się sprzedażą polskiego mięsa na Bliskim Wschodzie. Przebywał wraz z żoną w Bejrucie, gdzie wykonywał swoje obowiązki służbowe. Było to według jego opowieści w czasie gdy premierem był Tadeusz Mazowiecki. Wtedy odbywała się masowa migracja Żydów ze Związku Radzieckiego do Izraela. Transport odbywał się drogą lotniczą. Według słów mego rozmówcy Polska zgodziła się wystąpić w roli przewoźnika, do czego nie kwapiły się inne kraje. Przetransportowano znaczną liczbę Żydów Radzieckich, których osiedlano w Palestynie. Pamiętam, że podana mi przez opowiadającego ich liczba zrobiła na mnie duże wrażenie. Nie podam jej, gdyż mogłaby być błędna z uwagi na

niedoskonałość mojej pamięci lub też niedoinformowanie relacjonującego. Fakt osiedlenia tak znacznej liczby Żydów na tamtych terytoriach wywołał gwałtowny sprzeciw Palestyńczyków, w tym ugrupowań terrorystycznych. Polska stała się ich wrogiem.

Mój sąsiad z izby szpitalnej miał kiedyś do załatwienia jakąś sprawę służbową w Bejrucie a ponieważ dobrze żył z pracownikami polskiej placówki dyplomatycznej, wypożyczył sobie od jednego z dyplomatów na tę jazdę samochód służbowy ambasady. Samochód ten był zaopatrzony w biało – czerwoną chorągiewkę. I ta chorągiewka właśnie doprowadziła mego współlokatora izby szpitalnej do nieszczęścia. Bojówka terrorystów palestyńskich, widząc polską chorągiewkę ostrzelała samochód z broni maszynowej. Nie mieli zamiaru zabić, lecz zranić w nogi i dlatego strzelali nisko, tuż nad podłogą samochodu, zarówno do niego jak też i do jego żony. Sądząc, że będą strzelali w głowy lub w korpus, pochylił się bardzo nisko. I wtedy przestrelono mu czaszkę i oko. Żonie tylko nogi. Zawieziono go szybko do amerykańskiego szpitala wojskowego, gdzie utrzymano go przy życiu. Następnie jego firma skierowała go na operację do Monachium, gdzie wstawiono mu protezę oka i zniszczony fragment czaszki zastąpiono metalowym. Ponieważ utracił zdrowie w czasie pełnienia obowiązków służbowych za granicą, w nagrodę przyznano mu prawo do stałego leczenia się w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

W 1998 roku aż czterokrotnie przebywałem (dłużej lub krócej) w tej lecznicy. Za każdym razem spotykałem tam dobrego znajomego, profesora Ryszarda Sochockiego. Był poważnie chory i jak to często bywa, nie było klarownej diagnozy. Ucieszyliśmy się, bo dobrze jest spotkać w obcym otoczeniu kogoś znajomego, z kim można porozmawiać. Kilka zdań o prof. Sochockim napisałem już na początku tej książki, opisując jak był recenzentem mojej ostatniej monografii „Silniki skokowe”. W czasie pierwszego mego pobytu w tym szpitalu zapoznał mnie z jego realiami. Co wolno a czego nie wolno, co jest dobrze a co źle widziane, kto jest dobrym a kto jeszcze lepszym lekarzem. To mi bardzo ułatwiło zaaklimatyzowanie się. Był on przygotowywany do operacji ale wciąż nie był do niej gotowy.

W ciągu długich rozmów w korytarzu interny, gdzie stał przy schodach okrągły stolik i krzeselka zaprzyjaźniliśmy się. Kiedy w jakiś tam sposób dowiedziałem się, że jest on o 6 lat młodszy ode mnie, zaproponowałem przejście na „ty”, gdyż zwracanie się do siebie w tych warunkach przez „panie profesorze”, stawało się nieznośne. Oczywiście nie było żadnego „brudzia” z odpowiednim ceremoniałem. I mnie i jemu wystarczyło uściśnięcie dłoni.

Jeszcze jedną wadę miał ten szpital: wizyty mogły się odbywać każdego dnia i o każdej godzinie. Często przychodziło po kilka osób



jednocześnie. Wtedy najlepiej było wyjść z pokoju i posiedzieć przy wspomnianym, okrągłym stoliku a jeżeli był zajęty – pospacerować, lub gdy kondycja nie pozwalała, pójść posiedzieć przed gabinetami do badań specjalistycznych. Prof. Sochocki był umieszczony w dużym pokoju czterolóżkowym i kiedy przychodzono do niego w odwiedziny, przyjmował gości przy stoliku w korytarzu. W ten sposób mogłem zaobserwować, że poza rodziną odwiedzał go (i to bardzo często) jeden tylko człowiek: doc. dr inż. Jerzy Zadrożny, kierownik Zakładu Małych Maszyn Elektrycznych w Instytucie Elektrotechniki. Podobno byli kolegami ze studiów i z wojska. Wtedy stwierdziłem jak w ocenie ludzi można się pomylić. Dotychczas uważałem doc. Zadrożnego za człowieka zimnego i niewrażliwego. Nie zauważyłem serca. Oczywiście mogli być jeszcze inni odwiedzający, których ja nie spotkałem akurat.

Jeszcze przed zachorowaniem prof. Sochockiego zgodził się on podjąć napisania recenzji pracy doktorskiej mojego doktoranta mjr. mgr. inż. Zbigniewa Watrala pt. „Analiza i badanie wpływu transformatora położenia kąтового na błędy przetwarzania w układach cyfrowego pomiaru kąta”. Była podjęta odpowiednia uchwała przez Radę Wydziału Elektroniki. Kiedy zachorował, nie wypadło wieść mu do szpitala pracy i trochę się denerwowaliśmy z majorem Watralem, gdyż przełożeni oczekiwali obronienia pracy przed końcem roku 1998. Lecz operacja się powiodła, prof. Sochocki poczuł się znacznie lepiej i został przewieziony na rehabilitację do obiektu rządowego w Konstancinie. Wydawało się, że nastąpił już koniec jego kłopotów i wtedy zatelefonowałem do Konstancina, zapytaniem czy doktorant nie mógłby mu „podrzucić” tam pracy. Zgodził się, ale zaproponował, żebym ja też go odwiedził wraz z doktorantem w Konstancinie. Wsiedliśmy do *nexii* majora Watrala i pojechaliśmy. W ten sposób miałem okazję poznać Rządowy Ośrodek Rehabilitacyjny.

W dużym, mocno zadrzewionym parku stał okazały budynek. Był wewnątrz bardzo starannie urządzonej. Rehabilitant (czy to właściwe słowo?) miał do dyspozycji samodzielny pokój z pełnym węzłem sanitarnym i telefonem. Panowała absolutna cisza i jakaś pustka na korytarzach. Przy telewizorze w holu na pierwszym piętrze oglądała jakiś program para starszoków. Prof. Sochocki zdawał się być w dobrej formie. Przy nas przejrzał pracę, stawiając dociekliwe pytania. Wydawało się, że wkrótce powróci do normalnej pracy „na pełnych obrotach” i tak się też początkowo stało. Po zakończeniu rehabilitacji był nawet na sympozjum „Mikromaszyny i Serwonapędy” w Malborku, gdzie przewodniczył którejś z sesji. Nasi koledzy, którzy powrócili z Malborka mówili, że sprawiał wrażenie człowieka całkiem już zdrowego i w pełni sił. Dopiero później, po jego śmierci dowiedziałem się od docenta Zadrożnego, że wcale tak nie było. W Malborku cierpiał bardzo, lecz starał się tego nie okazywać. Zmarł

13 listopada 1998 roku, podczas gdy ja wyszedłem ze szpitala 23 października tegoż roku.

A oto kilka zdań zaczerpniętych z obszernego biogramu zmarłego, pióra prof. dr hab. inż. Eugeniusza Kozieja, który został zamieszczony w „Biuletynie Sekcji Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Komitetu Elektrotechniki PAN” [16]. W lutym 1954 r. uzyskał stopień inżyniera, zaś w maju 1956 r. stopień magistra inżyniera elektryka. W dniu 8.10.1964 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych. Kierownikiem jego pracy doktorskiej pt. „Silniki synchroniczne małej mocy z trwałymi magnesami i rozruchem indukcyjnym” był prof. dr inż. Tadeusz Śliwiński. Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego uzyskał we wrześniu 1984 r. Jego droga pracownika naukowego wiodła poprzez stanowiska asystenta (1955 r.) i starszego asystenta (1957 r.) w Pracowni Małych Maszyn Elektrycznych Zakładu Elektrotechniki PAN, adiunkta (1964 r.), samodzielnego pracownika naukowo-badawczego w Instytucie Cybernetyki Stosowanej (1972 r.) W Instytucie Maszyn Elektrycznych Politechniki Warszawskiej pracował od 1 października 1975 r. aż do ostatnich chwil życia. Przez dwie kadencje 1981-84 i 1984-87 był z wyboru prodziekanem Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej ds. nauki. Przez dwie kadencje był dyrektorem Instytutu Maszyn Elektrycznych (od 1987 r.). W 1993 r. objął stanowisko kierownika Zakładu Elektrycznych Maszynowych Elementów Automatyki, zaś w 1997 r. został powołany na stanowisko profesora zwyczajnego Politechniki Warszawskiej. Kilkanaście razy wyjeżdżał na różnego rodzaju staże zagraniczne. Był autorem lub współautorem 53 publikacji w tym 6-ciu książkowych i jednej skryptowej, 47 opracowań nie publikowanych oraz 7-miu patentów. Wypromował 4-ech doktorów nauk technicznych oraz opracował 11 recenzji prac doktorskich i habilitacyjnych.

Widząc jego talent i duże możliwości a także znajomość języków obcych, kilkanaście razy wysyłano go na staże zagraniczne. Przez cały czas trwania pracy zawodowej zajmował się dydaktyką. Za działalność naukowo-dydaktyczną był wielokrotnie nagradzany, w tym: dwoma zespołowymi nagrodami w konkursach „Mistrz Techniki”, pięcioma nagrodami Ministra NSzWiT, 10-ma nagrodami Rektora Politechniki Warszawskiej a także Złotym Krzyżem Zasługi i Medalem Edukacji Narodowej. Od 1996 r. był członkiem Komitetu Elektrotechniki PAN. W latach 1984 – 1988 był zastępcą redaktora naczelnego czasopisma Rozprawy Elektrotechniczne, zaś od 1988 r. czasopisma Archiwum Elektrotechniki. Nie sposób tu wymienić wszystkich znaczących funkcji prof. Ryszarda Sochockiego.

Grono specjalistów z dziedziny maszyn elektrycznych przybyłych nie tylko z Warszawy, lecz i z całego kraju pożegnało Zmarłego w czasie uroczystej mszy św. w kościele Zbawiciela, przy placu o tej samej nazwie.

Następnie trumna z jego zwłokami została przewieziona do Płocka, gdzie spoczęła w grobie rodzinnym.

Wśród pacjentów szpitala panowały dobre stosunki międzyludzkie. Ludzie byli względem siebie przyjaźni i tolerancyjni. Czasem spotykało się tam znajomych. Pewnego dnia spotkałem tam na korytarzu Macieja Wirowskiego, młodszego kolegę z Politechniki Śląskiej w Gliwicach, tego samego, który przed laty tak dobrze sobie radził z nocną podróżą pociągiem na Kongres Studentów Polskich, co opisałem w książce [17], a który później został Ministrem Przemysłu Chemicznego a następnie ambasadorem Polski w Berlinie. Wstawiano mu stymulator serca. Mówił, że czuje się z nim bardzo dobrze. To też ze zdziwieniem przeczytałem wkrótce w prasie jego nekrolog.

Czasem życie w izbie szpitalnej było trudne, kiedy znajdował się w niej jakiś ciężki przypadek. Tak było w czasie ostatniego mojego tam pobytu. Obok mnie leżał pewien profesor z PAN, którego stan w stosunkowo krótkim czasie bardzo się pogarszał. Stale gorączkował i coraz częściej przeprowadzano mu transfuzje krwi. Pomimo że nie było obchodu, przychodził do niego ordynator. Mówiono, że są trudności z wykryciem przyczyny jego złego i wciąż pogarszającego się stanu. Początkowo był jeszcze tak sprawny, że podpisywał różne dokumenty, które przynosiła mu sekretarka z pracy. Nocą wychodził do toalety sam. Później było coraz gorzej. Poważnym sygnałem było to, że pewnej nocy w czasie takiej wędrówki przewrócił się i mocno potłukł. Wciąż przebywała przy nim żona i często córka. Gdy było jeszcze gorzej wynajmowano na noc pielęgniarkę, która czuwała przy jego łóżku. Kosztowało to 100 złotych za noc. W pomieszczeniu znajdował się sporych rozmiarów fotel uchylny, na którym lokowała się pielęgniarka. Mogłem zaobserwować, że troskliwie i fachowo się nim opiekowała. Ponieważ fotel zapełnił przestrzeń pomiędzy jego i moim łóżkiem, musiałem uzgodnić z nią „trasę ewakuacyjną” dla mnie, gdybym był zmuszony wyjść w nocy.

W kilka dni po opuszczeniu szpitala byłem zmuszony przybyć na oddział by odebrać jeszcze wynik badania, którego nie zdążono wykonać gdyż szpital opuściłem w trybie przyspieszonym „na własne żądanie”, ponieważ Olenka zachorowała ciężko na grypę a była zupełnie sama. Wezwany do domu lekarz dyżurny z lecznicy WAT przepisał jej antybiotyki, który trzeba było wykupić w aptece. Zdołała przez okno poprosić milego sąsiada, pana Bieniewskiego, by przyniósł jej z apteki to lekarstwo.

Po odebraniu wyniku badania ze szpitala, wstąpiłem do „swojego” pomieszczenia, by odwiedzić tylko co opuszczonych współtowarzyszy. Chorego profesora już tam nie zastałem. Ze względu na bardzo zły jego stan, został przeniesiony do „pojedynki”. Wkrótce znalazłem w prasie jego

nekrologi. Przyczyny jego śmierci nie poznałem i prawdopodobnie nigdy nie poznam.

W przychodni zdarzało się obserwować różne postawy. Opiszę dwa przypadki – jeden pozytywny, drugi – nie. Pewnego razu przed gabinetem kardiologicznym oczekiwał obok mnie Kazimierz Barcikowski, współtwórca porozumień szczecińskich 1980 roku. Czekał on cierpliwie na wyznaczoną dla siebie godzinę wizyty, nie zamęczając otoczenia demonstrowaniem objawów zniecierpliwienia ani też nie zwierzając się nikomu ze swoich dolegliwości. Ponieważ wiem, że znani ludzie są zmęczeni tym, że inni się im wciąż przyglądają a nawet zagadują udawałem że go nie rozpoznałem.

Innym razem na krzeselku obok mnie znalazł się b. minister prof. Władysław Baka, znany animator polskiej ekonomiki w jednym z minionych okresów. Byłem zdziwiony, że przyszło nas dwóch na tę samą godzinę. Powiedziałem więc do niego, że ja jestem zapisany na godzinę 9-tą. Wtedy oświadczył, że on również jest zapisany na 9-tą. Zanim zdołałem mu powiedzieć, że sprawę będzie łatwo wyjaśnić, gdyż pani doktor ma doręczone z rejestracji nasze teczki, drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszedł pacjent. Wtedy Baka poderwał się, szybko wszedł i zamknął za sobą drzwi. Zrezygnowałem z prowadzenia sporu i czekałem dalej cierpliwie. Człowiek nie przychodzi do kardiologa żeby się denerwować. Po dłuższym czasie prof. Baka wyszedł z gabinetu i przeprosił mnie, że właściwie to on się pomylił, bo był zapisany na godzinę 10-tą.

Na początku 1999 r., w związku z wprowadzaniem w życie reformy służby zdrowia, zmuszony byłem podjąć decyzję: czy mam się zapisać do Mazowieckiej Kasy Chorych i móc korzystać w dalszym ciągu z „Lecznicy Rządowej”, tracąc dostęp do wojskowej opieki lekarskiej, czy też zapisać się do Kasy Chorych Służb Mundurowych (branżowej), tracąc prawo do tamtej lecznicy. W prasie pojawiły się wtedy sprzeczne ze sobą, częściowo prawdziwe a częściowo nie informacje o likwidacji „Lecznicy Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej”. Prasa podawała, że lecznica ta zostaje zlikwidowana a w jej pomieszczeniach znajdzie się „Instytut Geriatrii i Gerontologii”. „Prominenci” będą się leczyć w innych lecznicach, jak zwykli ludzie. Było to populistycznie bardzo chwytliwe, lecz nie było to prawdą. Lecznica dla prominentów została przeniesiona na ul. Wołoską, na teren kompleksu szpitalnego MSW, dokąd zabrano tylko pacjentów z „Oddziału Wydzielonego” i zapewniono im jeszcze wyższy standard niż mieli dotychczas. Profesorowie pozostali przy ul. Emilii Plater. Lecz pomimo, że było ich tak wielu do lecznicy pod mylącą nazwą „Instytut Geriatrii i Gerontologii” przyjmowano również nowych pacjentów podlegających „Mazowieckiej Kasie Chorych”.

Zastanawiając się nad tym jaką podjąć decyzję, postanowiłem poradzić się pani dr nauk medycznych Jolanty Pocztarskiej, która prowadziła mnie kardiologicznie. Nie jest bowiem korzystna zamiana kardiologa, który dobrze już zna pacjenta na kogoś nowego a ponadto w wojskowej przychodni przy ul. Koszykowej uzyskanie numerka do kardiologa było nie lada sztuką. Znam przypadek, kiedy mój były słuchacz a później pracownik naukowy WAT chory na serce, przybył na Koszykową na długo przed otwarciem budynku i numerki taki zdobył. Lecz pod wpływem stresu związanego ze zdobywaniem numerka, zmarł on w poczekalni na zawał. Lecz na wszelkie pytania co do przyszłości tej lecznicy, a także przesłanek podjęcia prawidłowej decyzji, pani doktor odpowiedziała krótko:

- W tym gabinecie nie jest miejsce na prowadzenie takich rozmów. Byłem więc pełen wahań, aż do dnia kiedy pewna laborantka rozwiła moje wątpliwości. Powiedziała:

- Ależ proszę pana, sprawa jest już całkowicie jasna. Wczoraj mieliśmy odprawę z dyrektorem lecznicy, który zawiadomił nas oficjalnie o przeniesieniu jej części na ulicę Wołoską. Przy czym większa część budżetu przechodzi wraz z tą niewielką grupą pacjentów, zaś dla tej przytłaczającej masy pozostaje mała jego część. Czy wie pan, że nie mamy już ani jednej karetki. Wszystkie zostały przemieszczone na Wołoską. Wtedy podjąłem ostateczną decyzję i zarejestrowałem swoją „Książkę Zdrowia Żołnierza Zawodowego” w „Przychodni Lekarskiej Wojskowej Akademii Technicznej”, stając się tym samym pacjentem „Kasy Chorych Służb Mundurowych”.

Udałem się więc do .....”Instytutu Geriatrii.....”(?) , żeby się wypisać i odebrać swoją teczkę pacjenta. Teczki te były starannie prowadzone przez lekarzy opiekujących się pacjentem. Mój plan był taki, żeby po odebraniu teczki zakupić kwiaty, pójść się pożegnać z panią doktor i podziękować jej za trud włożony w leczenie mojej osoby. Teczki poza nielicznymi wyjątkami nie były udostępniane pacjentom. Zanoszono je tam przed wizytami a po ich zakończeniu odnoszono do rejestracji. Tak więc po raz pierwszy miałem w ręku swoją teczkę. Przebiegłem ją szybko wzrokiem i natrafiłem na wpis, który mówił, że „pacjent obczytał się literaturą medyczną i nie chce zażywać *Rytmonormu*”. Dalej następował wpis, że na prośbę pacjenta przechodzi się na lek *Gilucor*. Zrozumiałem: za ewentualne następstwa zmiany leku odpowiada pacjent. Jest to nawet stwierdzone na piśmie. Słowa „obczytał się” zabolowały mnie. Nigdy nie zdarzyło mi się by ktoś określił czytanie w tak prześmiewczej formie. Kwiatów nie było.

Po pewnym czasie prasa znów zainteresowała się lecznicą. Okazało się bowiem, że jej część szpitalna należała przed wojną do Sióstr

Franciszkanek, które wystąpiły o zwrot swojej własności i szybko go uzyskały. Funkcjonujący jeszcze szpital wydzierżawiły grupie lekarzy, którzy postanowili założyć tam po gruntownym remoncie luksusową klinikę prywatną. Dla starców z „Instytutu Geriatrii” pozostała tylko przychodnia, pozbawiona własnego zaplecza szpitalnego, karetek itp. Pacjentami przychodni pozostali rzeczywiście starzy ludzie, gdyż emerytowani profesorowie wyższych uczelni są ludźmi, którzy ukończyli 70 lat życia. A nie emerytowani też nie są młodzi, gdyż droga do profesury jest w Polsce bardzo uciążliwa i długo trwa.

Lecznica otrzymała od Sióstr wymówienie z określonym terminem opuszczenia budynków. Ponieważ termin nie został dotrzymany, to, jak podawała prasa trzeba było płacić bardzo wysokie kary umowne, gdyż domagali się tego inwestorzy, którzy pozawierali umowy z firmami budowlanymi. Nastąpiła pośpieszna ewakuacja szpitala. Ciężko chorych pacjentów porozwożono po innych szpitalach warszawskich. Wkrótce posesja została otoczona wysokim płotem i rozpoczęły się roboty. Na tablicy inwestora napisano, że będzie to lecznica im. św. Józefa. Jest to podobno przedwojenna nazwa szpitala, który się tam znajdował. Po geriatrii tymczasem nie pozostało śladu. Świeżo umieszczona tablica na budynku po przeciwległej stronie ul. Emilii Plater głosi, że znajduje się tam zwyczajnie „Przychodnia lekarska”.

### 13. Sztuka rezygnacji

*Motto:*

*Życie jest sztuką rezygnacji*

Życie składa się z dwu, niejednakowo długich okresów. Pierwszy, ten znacznie dłuższy to zdobywanie ciągle czegoś nowego, lepszego, planowanie na odległą przyszłość, dążenie do coraz to ambitniejszych celów, do posiadania tak, jakby się miało żyć wiecznie. Tak postępuje się nie tylko z myślą o dzieciach i wnukach, gdyż tak postępują również ludzie bezdzietni. Bo taka jest natura ludzka. Pewnego razu, gdy znalazłem się w szpitalu mocno „podcięty”, bardzo się denerwowałem, że pozostawiłem tyle rozpoczętych prac i wtedy lekarz, wobec którego wyrażałem swoje zniecierpliwienie tą sytuacją powiedział:

- A co, myślał pan, że jest pan niezniszczalny?

Byłem jeszcze wtedy nie tak stary i wkrótce wszystko powróciło do normy. Ale lata pobięły szybko, zbyt szybko. I przyszedł taki czas, że musiałem się zastanowić nad słowami lekarza.

Zaczęło się od samochodu. Pojawiły się sygnały, że warto się zastanowić czy powinienem w dalszym ciągu prowadzić samochód. Było to w maju 1998 roku. Nasz Piotruś sprzedał swoje warszawskie mieszkanie

przy ul. Klemensiewicza, by zdobyć środki na zaliczkę na zakup domu w Toronto. Mieszkanie trzeba było opróżnić. Meble zostały podarowane niektórym krewnym Ani i przyjaciółom, wiele sprzętów zostało wyrzuconych na śmietnik, lecz jego ukochane książki i niektóre wartościowe przedmioty trzeba było przewieźć do nas na Bemowo. Nasz *fiat* – *combi* świetnie nadawał się do tego celu. Zaczęliśmy więc kursować pomiędzy ulicą Radiową i Klemensiewicza. Ja za kierowcę, Piotruś za tragarza a Ola pomagała przy przenoszeniu lżejszych przedmiotów.

W czasie jednego z kursów, jadąc ulicą Klemensiewicza, zbliżyłem się do Górczewskiej. Jest to prawie dokładnie w miejscu, gdzie samochody opuszczające supermarket „*Hit*”, skręcają w ulicę Górczewską. Spojrzałem w lewo w głąb Górczewskiej, później w prawo. Jak okiem sięgnąć – żadnego samochodu. Lecz od strony „*Hitu*” zaczął się wtaczać na Górczewską sznur samochodów skręcających w lewo. Zastłony mi one widok na Górczewską od strony Powstańców Śląskich. Miałem w świadomości poprzednio utrwalony obraz – z prawej Górczewska pusta. Po ostatnim samochodzie z „*Hitu*” wjechałem śmiało na Górczewską. Jednak wjeżdżając spojrzałem rutynowo w prawo. I wtedy, tuż przed maską swego samochodu ujrzałem pędzący z zawrotną szybkością wóz. Za kierownicą nonszalancka twarz nie posiadającego wyobraźni młodego człowieka. Gwałtownie nacisnąłem na hamulec. Przemknął przede mną jak strzała. To była kwestia jednej lub dwu sekund. Gdybym się nie zatrzymał nastąpiłaby masakra. Pojawiła się u mnie refleksja. To był jednak mój błąd. Źle obliczyłem czas potrzebny na przebycie odcinka od Powstańców Śląskich do „*Hitu*”. Nie wziąłem pod uwagę, że ktoś może tak znacznie przekroczyć dozwoloną w tym miejscu szybkość.

Później nastąpiło kilka moich pobytów w szpitalu, o których już pisałem. Doszło nawet do moich uszu, iż jakiś dowcipniś w instytucie powiedział, że „Wróblowi tak spodobały się te pobyty w szpitalu, że udaje się tam dla przyjemności”. Po tych „przyjemnościach” jednak miałem silne zawroty głowy i objawy utraty równowagi. Doszło do tego, że mając przeterminowaną rejestrację pojazdu nie czułem się na siłach doprowadzić samochód na przegląd do stacji w Morach. Pomógł mi w tym mój były doktorant a obecnie kolega z pracy dr inż. Krzysztof Serafin, który usiadł za kierownicą *fiata*. Ja przejechałem tylko odcinek z parkingu do hamowni i z powrotem. Postanowiłem więc pozbyć się samochodu na zawsze. Stało się to w grudniu 1998 r.

Nabywcą został były szef Katedry Samochodów i Ciągników WAT. Kupił go dla swojej córki, która prowadziła firmę i potrzebowała takiego wozu do celów transportowych firmy. Moje zaburzenia równowagi przybrały już taką formę, że w czasie podpisywania umowy kupna – sprzedaży w lokalu firmy miałem trudność z ulokowaniem się w fotelu. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że moja decyzja była słuszna.

Jest takie potoczne powiedzenie, że jak się powiedziało „A” to trzeba koniecznie powiedzieć „B”. Właściwie to nie rozumiem dlaczego. Przecież można powiedzieć „A” i na tym zakończyć. Lecz ja powiedziałem „B”. Jeszcze w grudniu tego samego roku sprzedałem garaż. To może zabawny zbieg okoliczności, ale nabywcą był aktualny kierownik Zakładu Pojazdów Mechanicznych WAT. Tak więc i samochód i garaż przeszły w dobre ręce.

W czerwcu 1999 roku postanowiliśmy definitywnie zrezygnować z działki pracowniczej. Powód był oczywisty. Nie byliśmy w stanie utrzymać jej w należytym stanie a nie chcieliśmy wstydzić się zaniedbanej działki. Zasadniczą trudność stanowiło kopanie. Ze względu na dyskopatię, ja nie byłem w stanie kopać działki. Nie mogłem patrzeć jak Ola sama się męczy. Mieliśmy początkowo ideę, by zrezygnować z uprawy warzyw i pokryć przeważającą część działki trawnikiem. Ale i to nie było takie proste. Koszenie trawy też wymaga wysiłku. Zakupiona przez nas kosiarka produkcji amerykańskiej z silnikiem spalinowym o pojemności skokowej cylindra 50 cm<sup>3</sup> okazała się bardzo ciężka i wymagała też dużego wysiłku. Trzeba ją było za każdym razem transportować z domu, bo pozostawiona na działce zostałaby natychmiast ukradzioną. Znalazł się nabywca : młody major z żoną i dwojgiem dzieci, który zamienił działkę w wielki trawnik, miejsce zabaw dla dzieci. Z żalem pozbyliśmy się tego miejsca, w którym spędziliśmy tyle przyjemnych chwil. Ale czymże jest utrata dóbr materialnych, kiedy tyłu ludzi traci swoich bliskich i muszą dalej żyć.

#### **14. Czwarty doktorant**

Czwartym wypromowanym przeze mnie doktorantem był mjr. dr inż. Zbigniew Watral. To właśnie o nim wspominałem, pisząc o ostatnich miesiącach życia prof. dr inż. Ryszarda Sochockiego. Praca jego nosiła tytuł „Analiza i badanie wpływu transformatora położenia kąтового na błędy przetwarzania w układach cyfrowego pomiaru kąta.” Tematyką tą zajmował się już w ramach prac naukowo – badawczych służbowych, zaś przez ostatni rok realizował pod moim kierownictwem „Grant promotorski”, którego zaletą było to, że zapewniał mu niewielkie fundusze na zakup potrzebnych przyrządów i materiałów.

Biorąc pod uwagę fakt, że w czasie realizacji pracy nie tylko nie korzystał ze zwolnień, lecz równocześnie pracował na stanowisku kierownika Laboratorium Maszyn Elektrycznych i Elektrotechniki, zdecydowanie największego laboratorium w instytucie, trzeba odnotować ogrom pracy, jakiej dokonał. Stosując umiejętnie nowoczesne metody, uzyskał nowe, oryginalne wyniki. Zawdzięcza to również swojej



skrupulatności, umiejętności organizowania sobie pracy, dużej inicjatywie osobistej a także posiadanej wiedzy.

O kłopotach z recenzjami już wiemy. Czekanie na recenzję chorego prof. Sochockiego zabrało sporo czasu. Po jego śmierci trzeba było, by Rada Wydziału wyznaczyła nowego recenzenta no i musiał on mieć czas na zapoznanie się z pracą i wykonanie recenzji. Dr hab. inż. Zbigniew Goryca, profesor nadzwyczajny Politechniki Radomskiej uratował sytuację. Sprzyjał temu fakt, że jako bliski współpracownik prof. Sochockiego i współautor licznych, wspólnych z nim publikacji był znakomicie oznajmiony z tematem.

Lecz mjr. Watrał nie miał szczęścia do recenzentów. Drugim recenzentem była pani prof. dr hab. inż. Mieczysława Prażewska z naszej Rady Wydziału, która również przez pewien czas przebywała w szpitalu. Lecz również okazała dużo życzliwości i obie recenzje dotarły na czas, a chodziło głównie o to by praca była obroniona przed końcem roku kalendarzowego, gdyż tak było w planie, zaś nie dotrzymanie terminu zawartego w planie skutkowało punktami ujemnymi dla instytutu w rocznym podsumowaniu działalności.

Obie recenzje były pozytywne można było przystąpić do publicznej dyskusji nad rozprawą (zwanej potocznie obroną pracy), w wyniku czego Rada Wydziału Elektroniki nadała w dniu 17 grudnia 1998 r. majorowi Z. Watrałowi stopień naukowy doktora nauk technicznych. W głosowaniu uznano pracę za obronioną z wyróżnieniem. Stało się to na wniosek recenzentów.

Dzięki godnym podkreślenia zdolnościom organizacyjnym nowego doktora, również uroczysty obiad po obronie zasługiwał na wyróżnienie. W tej sprawie nie było jednak głosowania. Lecz wkrótce, po przejściu do rezerwy płk. dr inż. Jana Sienkiewicza mjr Watrał został kierownikiem Zakładu Elektrotechniki w Instytucie Podstaw Elektroniki.

## 15. Sympozjum w Kamieniu Śląskim

W dniach 10 – 14 września 2000 r. odbyło się w Kamieniu Śląskim na Opolszczyźnie dwunaste Międzynarodowe Sympozjum „Mikromaszyny i Serwonapędy MIS 2000” [18]. Dlaczegoż to temu właśnie sympozjum poświęcam aż cały rozdział w tych wspomnieniach? Brałem wszak udział w niezliczonej liczbie sympozjów. Opisałem jedynie moje pierwsze sympozja [1] a teraz to, na razie ostatnie. Warto je opisać, gdyż ma ono całkiem odmienny koloryt niż tamte, w dawnych latach. Wtedy to było bardzo nieskomplikowane. Koszt udziału w sympozjum był niewielki. Był pokrywany z pieniędzy służbowych z budżetu akademii, przeznaczonych na ten cel. Komu przełożeni wyrazili pisemną zgodę, ten jechał. Od czasów rektorstwa generała Kaliskiego starano się stosować zasadę, że wysyła się

wyłącznie ludzi z referatami. Nie zawsze było to stosowane. Może i słusnie. Bo przecież znanemu profesorowi nie wypada zgłosić byle jakiego referatu (choć niektórzy tak czynią). Trzeba wystąpić z referatem zawierającym wyniki własnych, oryginalnych prac, a takie „nie rodzą się na kamieniu”. Wymagają długotrwałych rozważań teoretycznych lub uciążliwych eksperymentów. Czy więc wobec takiej zasady sympozja i konferencje mają się odbywać bez udziału profesorów? Na pewno nie. Czy festiwal piosenki w Sopocie lub Opolu może się odbyć bez udziału jurorów? Nie może. A czy jurorzy muszą sami wykonywać piosenki w konkursie? No nie, przecież to byłoby śmieszne. Podobnie, choć nie dokładnie tak samo jest z profesorami na sympozjach.

Ale powróćmy do sprawy kosztów. Obecnie są one bardzo wysokie. Koszt uczestnictwa w tym sympozjum, które opisuję, obejmujący materiały konferencyjne, udział w sesjach i spotkaniach, uczestnictwo w wycieczce technicznej i programie towarzyszącym oraz zakwaterowanie i pełne wyżywienie wyniosło 1000 złotych od osoby. Takiej sumy nikt (może prawie nikt) nie otrzyma dzisiaj z budżetu Wojskowej Akademii Technicznej. Trzeba je sobie zarobić w ramach prac naukowo – badawczych.

Innym zagadnieniem jest sposób przygotowania referatu. Kiedyś wystarczyło przesłać referat napisany na maszynie do pisania, nie przekraczający określonej liczby znormalizowanych stron. Resztę już brał na siebie organizator sympozjum: recenzje, adiustacje, korekty, skład – to już nie interesowało autora. Dzisiaj jest odmiennie. Autor otrzymuje szczegółowe wytyczne, w myśl których musi przygotować materiał gotowy do druku. Jego objętość jest oczywiście ograniczona, musi być wykonany wymaganym rodzajem czcionki w sposób tak przygotowany, by mógł być wydrukowany bez żadnych zmian. Musi być wykonany techniką komputerową w wymaganym systemie *Windows* z zastosowaniem określonego edytora tekstów *Word*. Jest drukowany albo w materiałach sympozjum albo też w Zeszytach Naukowych uczelni współorganizującej. O honorarium autorskim nikt się nawet nie zajknie.

Ponadto bardzo zmieniła się oprawa sympozjum. Mam przed sobą dla przykładu materiały organizowanego przez WAT „I Sympozjum Eksploatacji Maszyn i Urządzeń Mechanicznych” z 1965 r. Podano tylko nazwisko Honorowego Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego w osobie rektora Akademii, skład Komitetu Organizacyjnego, złożonego z przewodniczącego i czterech członków oraz nazwę katedry, która sympozjum zorganizowała. A jak jest obecnie? Teraz jest bardzo rozbudowana celebrowanie. Dla przykładu: już w zawiadomieniu napisano, że organizatorami sympozjum MIS 2000 są: Instytut Elektrotechniki – Zakład Małych Maszyn Elektrycznych; Politechnika Opolska; Polskie Towarzystwo Zastosowań Elektromagnetyzmu i Krajowa Agencja Poszanowania Energii.

Następnie podano, że patronat nad symposium objęły: Komitet Elektrotechniki Polskiej Akademii Nauk oraz IEEE – Region 8 – Sekcja Polska. Dalej zaś wymienieni są dotychczasowi sponsorzy: Komitet Badań Naukowych; Komitet Elektrotechniki Polskiej Akademii Nauk (wymieniony już po raz drugi); Instytut Elektrotechniki i Politechnika Opolska. Dalej wymieniono; Przewodniczącego Symposium doc. Jerzego Zadroźnego z Instytutu Elektrotechniki w W-wie; Komitet Organizacyjny z dwoma przewodniczącymi: prof. dr. hab. Piotrem Wachem – rektorem Politechniki Opolskiej i wyżej wymienionym Jerzym Zadroźnym. Następnie podano nazwiska czworga członków Komitetu Organizacyjnego i wreszcie Komitet Programowy. Ten ostatni składał się z prof. Mirosława Dąbrowskiego, reprezentującego Polską Akademię Nauk jako przewodniczącego i 29 (!) członków. To wyliczenie kilkudziesięciu nazwisk znanych profesorów jest obecnie powszechnie stosowane i ma na celu podniesienie rangi symposium. Oczywiście ci ludzie nigdy się nie zbijają i żadnego programu nie ustalają.

Na symposium pojechaliśmy w czterech: płk dr inż. Jan Sienkiewicz, kierownik Zakładu Elektrotechniki, w którym pracujemy; mjr dr inż. Zbigniew Watral, kpt. mgr inż. Krzysztof Kiczyński i ja. Mieliśmy do wygłoszenia dwa referaty, po dwóch na referat. Płk Sienkiewicz i mjr Watral prezentowali wyniki swoich prac na temat transformatorów położenia kąтового, kpt. Kiczyński i ja mieliśmy referat z silników bezszczotkowych prądu stałego. Podróż mieliśmy bardzo wygodną i przyjemną. Jechaliśmy *toyotą* płk Sienkiewicza, sprawnie prowadzoną przez właściciela. Z tych trzech oficerów, dwóch doktoryzowało się pod moim promotorstwem, trzeci zaś kończy właśnie swoją pracę doktorską. Czulem się więc w tym towarzystwie bardzo dobrze.

Jechaliśmy drogą szybkiego ruchu w stronę Częstochowy, gdzie skręciliśmy na prawo. Dawno już nie jechałem tą trasą, wyglądałem więc z zainteresowaniem przez okno samochodu. Przypomniałem sobie liczne reportaże w prasie o „*tirówkach*”, młodych kobietach przeważnie z Bułgarii lub Ukrainy, które prezentowały swoje wdzięki przy bardziej uczęszczanych drogach, by zarobić na życie za pomocą jednego z najstarszych zawodów świata. Ich nazwa pochodzi stąd, że ich klientami bywają najczęściej kierowcy „*tirów*”, dużych ciężarówek. Jak to zwykle bywa, prasa podawała obraz przerysowany. Nie było przy drodze żadnych kobiet unoszących zalotnie spódniczki. Owszem kręciło się ich po kilka przy zajazdach i stacjach benzynowych.

Chciałem również zobaczyć owe dwujęzyczne tablice drogowe na Opolszczyźnie, o których tak wiele pisano, lecz nie udało mi się. Jeden z kolegów siedzących z prawej strony wnętrza samochodu zobaczył jakiś tam pojedynczy przypadek.

Z niewielkimi tylko trudnościami znaleźliśmy Kamień Śląski a w nim pałac – miejsce obrad sympozjum. Pałac, którego fragmenty widzimy na załączonych zdjęciach jest znany z tego, że w nim urodził się św. Jacek (1200 – 1257) – misjonarz i kaznodzieja. W 1701 roku, pokój, w którym według tradycji miał się urodzić św. Jacek przebudowano na kaplicę, która nosi obecnie nazwę sanktuarium św. Jacka. W XII wieku pałac należał do rodu Odrowążów. Przez wieki przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie stał się własnością rodu *Strachwitzów*, którzy w 1945 r. wobec zbliżających się wojsk radzieckich, uciekli prywatnym samolotem z prywatnego lotniska, znajdującego się obok pałacu. Wtedy pałac upaństwowiono i zamieniono na dom dziecka. Jednak w latach 50 – tych lotnisko rozbudowano a pałac zamieniono na obiekt wojskowy. W 1973 roku pałac uległ częściowemu zniszczeniu przez pożar. Odbudowany tylko w niektórych fragmentach został w 1990 r. sprzedany wraz z parkiem, kurii Diecezjalnej w Opolu, za symboliczną sumę 240 milionów ówczesnych złotych. Dla oceny wysokości tej sumy podam, że w 1991 r., przy ówczesnej wartości złotego moja emerytura wynosiła 4 miliony osiemset dwa tysiące dziewięćset złotych miesięcznie. Tak więc pałac wraz z zabudowaniami dodatkowymi, terenem i rozległym parkiem został sprzedany za około 50 moich emerytur, czyli za 4 – letnią emeryturę jednego przeciętnego człowieka. Więc niech Czytelnik już sam wyciągnie wnioski: może w Polsce są wysokie emerytury? Pałac został odbudowany w ciągu czterech lat, dzięki znacznemu wsparciu sponsorów zagranicznych, głównie Fundacji Współpracy Polsko – Niemieckiej a także ofiarności wiernych. W istocie dobrze się stało, bo dzięki hojności władz, pałac nie popadł w ruinę, lecz został kompletnie odrestaurowany i służy ludziom.

Obecnie kaplica zamkowa (Sanktuarium) jest miejscem pielgrzymek, zaś pomieszczenia pałacowe i zabudowania towarzyszące służą Centrum Kultury i Nauki Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, które organizuje tutaj konferencje i sympozja naukowe a także podnajmuje odpłatnie na organizowanie takich sympozjów jak nasze. Udział Fundacji Polsko – Niemieckiej w sponsorowaniu jest zaznaczony odpowiednim napisem. Przed wjazdem na tereny pałacowe znajduje się potężnym rozmiarów głaz, na którym jest wyżłobiony *Eiserne Kreuz* i są podane nazwiska blisko dwustu żołnierzy *Wehrmachtu*, poległych w czasie II wojny światowej. Nie miałem możliwości stwierdzić, czy są to wyłącznie nazwiska żołnierzy – mieszkańców Kamienia Śląskiego, czy też z okolicznych wsi. Bardzo wymowny dla oceny stosunków etnicznych na Opolszczyźnie jest fakt, że większość z tych nazwisk ma czysto polskie brzmienie.

W sympozjum uczestniczyły 83 osoby, przeważnie przedstawiciele wyższych uczelni i instytutów naukowych a także krajowych zakładów

produkujących mikromaszyny elektryczne. Otwarcia sympozjum dokonali prof. Mirosław Dąbrowski, jako przewodniczący Komitetu Programowego, prof. Piotr Wach, jako współprzewodniczący Komitetu Organizacyjnego i rektor Politechniki Opolskiej, która sprawowała pieczę nad przebiegiem sympozjum a także doc. Jerzy Zadrozny – współprzewodniczący Komitetu Organizacyjnego i przewodniczący sympozjum.

Odbyło się 10 sesji tematycznych, które objęły następującą tematykę: zagadnienia ogólne; optymalizację w projektowaniu; materiały i obwody magnetyczne (2 sesje); rozwiązania i zagadnienia specjalne, badania symulacyjne; mikrosilniki specjalne; modelowanie; napędy; badania. Wygłoszono 64 referaty (w tym 14 przez gości zagranicznych). Zaobserwowałem gości z Grecji, Japonii, Rosji i Turcji. Prezentowali oni przeważnie referaty o bardzo zawężonej tematyce i zadając pytania zauważyłem, że ktoś, kto był głęboko wprowadzony w zagadnienia obwodu magnetycznego mikromaszyny elektrycznej, nie znał samej maszyny i jej właściwości. Ogólny poziom sympozjum był, moim zdaniem, dość wysoki. Referaty opublikowano w dwutomowym wydawnictwie (bez honorariów autorskich).

Natomiast duże środki przeznaczono na bardzo dobre wyżywienie i na zorganizowanie szeregu imprez towarzyszących. Zwiedzono Opole wraz z Politechniką Opolską. Uczelnia ta rozwija się dynamicznie i składa się z następujących jednostek organizacyjnych: Wydział Budownictwa; Wydział Mechaniczny; Wydział Elektrotechniki i Automatyki; Wydział Wychowania Fizycznego i Fizjoterapii; Wydział Zarządzania i Inżynierii Produkcji; Instytut Matematyki, Fizyki i Chemii; Biblioteka Główna i Studium Języków Obcych. Było też zwiedzanie Fabryki Silników Elektrycznych BESEL S. A. w Brzegu oraz zabytków tego miasta z Zamkiem i Muzeum Piastów Śląskich. Obejrzano turniej rycerski na dziedzińcu zamku. Było też zwiedzanie Góry Świętej Anny.

Na zdjęciu przedstawiającym uczestników sympozjum na tle pałacu, w pierwszym rzędzie stoją od lewej: John A. Tegopoulos (Grecja), Krystyn Pawluk, Zdzisław Życki, Mirosław Dąbrowski, Tadeusz Missala, Jerzy Zadrozny, Andrzej Pochanke, Piotr Wach, Tadeusz Wróbel i cztery niezidentyfikowane osoby.

## 16. Jubileusze

### 16.1. 70 – lecie moich urodzin

70 – lecie moich urodzin przypadło na dzień 14 listopada 1996 r. Dzień wcześniej opuściłem szpital i byłem w domu, na poszpitalnym zwolnieniu lekarskim. Ola powiedziała mi, że był telefon z instytutu, mający na celu ustalenie miejsca mojego pobytu w dniu 14 listopada. Wiedziałem więc, że szykowano się do złożenia mi życzeń urodzinowych. Istotnie, po uzgodnieniu telefonicznym zjawiała się u nas w domu delegacja. Domyślając się zapewne, że stan mój jest jeszcze nienajlepszy przybyła nieliczna, ale za to doborowa grupa.

Na jej czele stał dyrektor Instytutu Podstaw Elektroniki prof. dr hab. inż. Augustyn Chwaleba. Wraz z nim przyjechali: kierownik Zakładu Elektrotechniki płk dr inż. Jan Sienkiewicz i kierownik laboratorium zakładu mgr inż. Zbigniew Watral. Byli to nie tylko oficjalnie, lecz również nieoficjalnie, najbliżsi mi ludzie (poza rodziną oczywiście). Bardzo trafnie wybrali prezent urodzinowy. Przywieźli mi w darze duże szachy, ręczne roboty, artystycznie wykonane. Jak duże to są szachy niech świadczą wymiary szachownicy: 59 X 59 cm. Jeszcze nigdy przed tym, przy żadnej okazji nie otrzymałem tak milego prezentu. Szachy są wykorzystywane przy szczególnych okazjach. Kiedy przyleci z za oceanu nasz syn Piotr, zwykle proponuje mi grę w szachy. Wtedy wyjmuję te właśnie szachy. Kiedyś przyjechał do nas z Katowic mistrz krajowy Jerzy Sowiński i „ochrzcił” je, dotykając ręką mistrza.

Zacząło się oficjalnie. Staliśmy naprzeciw siebie, ja obok drzwi – delegacja wewnątrz pokoju. Prof. Chwaleba złożył mi życzenia w imieniu całego instytutu, w ten specyficzny dla niego sposób, który polega na wydobyciu najistotniejszych elementów, przyobleczonech w zgrabnie skonstruowane zdania doświadczonego mówcy. Później usiedliśmy przy stole, dołączyła do nas Ola, która przygotowała skromny poczęstunek. Odbyła się przyjemna rozmowa ludzi, którzy się doskonale rozumieją.

Później już były tylko telefony i tak minął ten dzień.

### 16.2. 40 – lecie istnienia Wydziału Elektroniki WAT

Uroczystość 40 – lecia powstania Wydziału Elektroniki WAT obchodzono w dniu 17 grudnia 1991 r. Wydział Elektroniki, który jest jednym z pięciu wydziałów Wojskowej Akademii Technicznej jest kontynuatorem utworzonego w 1951 r. Fakultetu Wojsk Łączności. W skład tego wydziału wchodziła początkowo Katedra Radiotechniki Specjalnej, przekształcona w 1955 r. w Fakultet Radiolokacji. Z połączenia obu fakultetów, po wcześniejszym przyłączeniu do Fakultetu Łączności Katedry

Elektrotechniki i przeniesieniu z Fakultetu Lotnictwa Katedry Osprzętu Lotniczego, powstał w 1959 roku Wydział Elektroradiotechniczny. Komendantem wydziału był do roku 1969 płk prof. dr hab. inż. Włodzimirz Dulewicz, który w tamtym roku przekazał swe obowiązki płk. prof. dr. inż. Kazimierzowi Dzieciolowskiemu. Wymieniając komendantów wydziału podaję ich ostatnie stopnie i tytuły naukowe.

W 1971 r. nastąpiła reorganizacja wydziału. Po odłączeniu od niego specjalności elektromechanicznych, które przeszły do Wydziału Mechanicznego, powstał Wydział Elektroniki, którego komendantem był do roku 1985 płk Dzieciolowski, który przeszedł później na stanowisko zastępcy komendanta WAT ds. naukowych. Komendantem wydziału został późniejszy gen. bryg. prof. dr hab. inż. Bogusław Smólski. Po jego odejściu na wyższe stanowisko poza WAT w 1993 r. obowiązki komendanta wydziału objął późniejszy płk dr hab. inż. Marek Amanowicz – prof. nadzw. WAT. On z kolei w grudniu 1996 r. przeszedł na stanowisko zastępcy Komendanta WAT ds. naukowych, przekazując funkcję komendanta – dziekana Wydziału Elektroniki WAT płk. dr hab. inż. Grzegorzowi Różańskiemu – prof. nadzw. WAT, który obowiązki te pełni do chwili obecnej. W skład Komendy Wydziału wchodzi: płk dr inż. Wojciech Kocańda, Zastępca Komendanta Wydziału ds. dydaktyczno – naukowych (bratanek członka rzecz. PAN prof. zw. dr hab. inż. Stanisława Kocańdy z Wydziału Mechanicznego); płk mgr inż. Grzegorz Sundman, Zastępca Komendanta Wydziału ds. ogólnych i płk dr inż. Mieczysław Żurawski, Zastępca Komendanta Wydziału ds. logistyki (wszyscy na zdjęciu).

Wydział ma 3 instytuty i jedną katedrę. Są to: Instytut Podstaw Elektroniki (już opisany wcześniej w rozdziale 7); Instytut Radiolokacji; Instytut Systemów Łączności oraz Katedra Eksploatacji Systemów Radiotechnicznych.

Na czele Instytutu Radiolokacji stoi jego szef: płk dr inż. Tomasz Rapacki. Instytut ma 5 zakładów i Park Stacji Radiolokacyjnych. Potencjał instytutu stanowią: 1 profesor, 2 doktorów habilitowanych, 22 doktorów, 27 magistrów, 5 inżynierów oraz 14 pracowników technicznych i administracyjnych. Głównymi kierunkami rozwoju prac naukowych i badawczo – rozwojowych instytutu są: przetwarzanie sygnałów w odbiornikach radarowych; radionawigacja; technika mikrofal; rozpoznanie radioelektroniczne; termografia mikrofalowa a także akustoelektronika mikrofalowa.

Szefem Instytutu Systemów Łączności jest płk dr inż. Piotr Gajewski. Instytut ma 5 zakładów. Potencjał instytutu stanowią: 6 profesorów, 4 doktorów habilitowanych, 19 doktorów, 39 magistrów inżynierów, 13 pracowników technicznych i administracyjnych. Głównymi kierunkami prac naukowych i badawczo – rozwojowych instytutu są: anteny i propagacja fal

radiowych; technika cyfrowa i mikroprocesorowa; zintegrowane systemy informacyjne; systemy radiokomunikacyjne i eksploatacja systemów łączności.

Szefem Katedry Eksploatacji Systemów Radiotechnicznych jest płk dr hab. inż. Franciszek Mrocza. Katedra ta powstała w 1996 r. w celu kształcenia studentów studiów I stopnia specjalności radiolokacyjnych w zakresie budowy i eksploatacji sprzętu oraz taktyki, logistyki i pracy bojowej. Katedra składa się z dwu zakładów. Jej potencjał stanowią: 1 doktor habilitowany; 8 doktorów; 7 magistrów inżynierów oraz 3 pracowników technicznych i administracyjnych.

Uroczystość dla uczczenia 40 – lecia Wydziału Elektroniki WAT odbyła się w dniu 17 grudnia 1999 r. W auli im. Tadeusza Kałckiego (w budynku głównym WAT) odbyło się uroczyste posiedzenia Rady Wydziału poświęcone rocznicy. Oprócz członków Rady przybyli na tę uroczystość liczni zaproszeni goście. Na liście zaproszonych gości i członków Rady Wydziału znalazło się ogółem 110 nazwisk, w tym 24 z tytułami profesorów i 12 generałów, między którymi znajdowały się nazwiska absolwentów Wydziału Elektroniki. Licznie byli reprezentowani przedstawiciele Komendy Akademii a także oficerowie w stanie spoczynku, którzy w czasie swej długoletniej służby zajmowali stanowiska kierownicze w Komendzie Wydziału i niektórzy byli dyrektorzy instytutów.

Uroczyste posiedzenie zapoczątkowało wystąpienie okolicznościowe Komendanta Wydziału Elektroniki płk dr hab. inż. Grzegorza Różańskiego, po czym odbyła się dyskusja, w czasie której wygłaszano lub odczytywano wyrazy uznania dla Wydziału i życzenia dalszych sukcesów. Na zakończenie odbyło się spotkanie towarzyskie w Hotelu Asystenckim, które upłynęło w bardzo milej atmosferze.

Należy jeszcze wspomnieć, że każdy z przybyłych na uroczystość otrzymał przy wejściu upominki, umieszczone w dużej torbie „reklamówce” z wydrukowanym pięknie godłem Akademii i napisem „Wydział Elektroniki”. W torbie znajdował się starannie wydany, ilustrowany zarys historii i opis dnia dzisiejszego Wydziału Elektroniki, metalowy długopis pamiątkowy z wygrawerowanym napisem „Wydział Elektroniki” i zgrabne puzderko do przechowywania biżuterii, w którego wnętrzu była przymocowana metalowa tabliczka z okolicznościowym napisem. Biżuterii jednak w środku nie było (przynajmniej w moim puzderku). W torbach 60 – ciu wybranych (ze względu na niski nakład) gości znajdował się egzemplarz I części mojej książki wspomnieniowej „40 lat 8 miesięcy i 10 dni”, wydanej właśnie z okazji tego jubileuszu. Na egzemplarzach osób znanych mi osobiście umieściłem stosowne dedykacje. Część z pośród nich podziękowała mi osobiście, część telefonicznie, a niektórzy w ogóle nie zareagowali.



W tej beczce miodu była też łyżka dziegciu. Uroczystość miała charakter elitarny. Pracownicy naukowo – dydaktyczni i inni spośród kadry wojskowej i cywilnej nie będący członkami Rady Wydziału lub nie piastujący kierowniczych stanowisk nawet nie wiedzieli, że obchodzi się takie święto. Niektórzy z nich reagowali zdumieniem kiedy się o tym później dowiedzieli. Dlaczego nie zorganizowano spotkania całej kadry wojskowej i cywilnej w sali kinowej? Pierwszy komendant WAT, generał Eugeniusz Leoszenja mawiał był, że wykładowca jest „centralną figurą” Akademii. Nie podziękowano „centralnym figurom” za ich wkład w osiągnięcia Wydziału.

### 16.3. 75 – lecie urodzin prof. Władysława Paszka

W dniu 27 czerwca 2000 r. odbyła się w auli Wydziału Elektrycznego Politechniki Śląskiej przy ul. Akademickiej w Gliwicach, podniosła uroczystość dla uczczenia 75 rocznicy urodzin jednego z najwybitniejszych naukowców w historii tej uczelni prof. zw. dr hab. inż. Władysława Paszka, połączona z sesją naukową, prezentującą głównie prace Katedry Maszyn i Urządzeń Elektrycznych. Na uroczystości przybyło 115 zaproszonych gości spoza uczelni i 49 z Politechniki Śląskiej, w tym łącznie 2 rektorów, 2 prorektorów, 53 profesorów, 11 dyrektorów, wielu przedstawicieli nauki i przemysłu. Wśród nich 43 osoby reprezentowały politechniki, zaś 12 elektrownie, których Jubilat jest konsultantem. Udział w uroczystości wzięli również goście zagraniczni. Nie sposób wyliczyć tutaj liczb przedstawicieli różnych instytutów naukowych i branż przemysłowych. A i te liczby też na pewno nie są precyzyjne, lecz podane z pewnym niedomiarem.

Już o godzinie 10:00 aula 102 była wypełniona po brzegi (na zdjęciu). Ludzie mieli na pulpitach przed sobą bukiety kwiatów, przygotowane do wręczania. Rozpoczęła się sesja naukowa, którą poprowadził sam prof. Paszek. Składało się na nią 21 referatów – krajowych i zagranicznych. Ponieważ czasu było stosunkowo mało, więc wystąpienia były dość krótkie. Moje szczególne uznanie wzbudziła skonstruowana i wygłoszona perfekcyjnie przez dr inż. Jerzego Kudłę, synteza referatów pracowników Katedry Maszyn i Urządzeń Elektrycznych.

Następnie odbyła się sesja jubileuszowa, której przewodniczył dr hab. inż. Władysław Mizia, prof. Politechniki Śląskiej (niestety już nie żyjący). Miał on szczególne predyspozycje do przewodniczenia takim sesjom: wysokiego wzrostu, z rzekłbym dostojną powagą na twarzy, mówił wyraźnie i treściwie z pewną dozą subtelnej dowcipu. Szkoda, że nie ma Go już wśród nas. Były wystąpienia: rektora Politechniki Śląskiej; dziekana Wydziału Elektrycznego; przewodniczącego Sekcji Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Komitetu Elektrotechniki PAN; referat okolicznościowy Jubilata i wystąpienia zaproszonych gości. Przewodniczący delegacji po zabraniu głosu wręczali Jubilatowi narecza kwiatów. Nigdy w życiu nie

widziałem takich gór kwiatów zgromadzonych w jednym miejscu. Profesor kładł je na długim stole, po czym dwie pracownice administracyjne odnosiły je, by zrobić miejsce dla następnych.

Zapamiętałem ciekawe zestawienie, dokonane przez prof. dr hab. inż. Michała Jabłońskiego z Łodzi, w jego wystąpieniu. Powiedział on, że w dziedzinie maszyn elektrycznych, nauka polska oparła się na trzech Władysławach. Byli to profesorowie: Władysław Kołek, Władysław Latek i jest Władysław Paszek. Miałem wielką ochotę dopowiedzieć, że jest jeszcze prof. Władysław Mizia, który właśnie przewodniczy, lecz powstrzymałem się. Mój ogromny szacunek dla profesora Michała Jabłońskiego powstrzymał mnie, gdyż obawiałem się, że mogłoby to być potraktowane jako jego poprawianie.

Po opuszczeniu auli 102 wykonano wiele zbiorowych zdjęć pamiątkowych. Jedno z nich po wykadrowaniu znajduje się na końcu książki. Obiad w stołówce przy ul. Pszczyńskiej i spotkanie koleżeńskie zakończyły tę przemiłą uroczystość. Była ponoć jeszcze nieoficjalna część imprezy, która odbyła się w godzinach wieczornych, lecz ja nie mam już na ten temat autopsji.

Kimże więc jest ten człowiek, któremu urządzono tak wspaniały jubileusz? Czy był prezydentem państwa? Czy może premierem? Może ministrem? A może wielokrotnym zdobywcą złotego medalu na Igrzyskach Olimpijskich? Może uwielbianym aktorem? Nic z tych rzeczy. Jest tytanem pracy, mózgowcem, obdarzonym niebywałym talentem. Przyjrzyjmy się więc jego bardzo skróconemu biogramowi.

Urodził się 27 czerwca 1925 roku w Bielsku Białej, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Po wojnie ukończył w 1946 r. Wstępny Rok Studiów przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach i zdał maturę eksterna w Państwowym Liceum Ogólnokształcącym w Gliwicach. Studiował jednocześnie dwie specjalności: maszyny elektryczne i elektronikę. W 1951 r. uzyskał stopień mgr inż. elektryka. W 1949 r., jeszcze jako student rozpoczął pracę jako asystent w Katedrze Maszyn Elektrycznych, kierowanej przez prof. Władysława Kołka a później prof. Zygmunta Gogolewskiego. W 1958 r. doktoryzował się pod promotorstwem prof. W. Kołka, zaś w 1961 r. – habilitował się. Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego uzyskał w 1972 r. a prof. zwyczajnego w 1987 r. W 1966 r., po przejściu na emeryturę prof. Z. Gogolewskiego prof. Paszek objął kierownictwo Katedry Maszyn Elektrycznych Politechniki Śląskiej, która przekształciła się w duży Instytut Maszyn i Urządzeń Elektrycznych. Instytutem tym kierował do 1994 roku.

Osiągnięcia naukowe prof. Władysława Paszka dotyczą głównie nowych konstrukcji i sposobów regulacji maszyn elektrycznych, układów elektromaszynowych i niezbędnego wyposażenia regulacyjnego. Odbiorcami tych prac były: elektroenergetyka, przemysł elektromaszynowy,

hutnictwo i górnictwo. W zakresie maszyn synchronicznych podkreślić należy głównie : opracowanie nowoczesnych regulatorów wzbudzenia turbogeneratorów, badanie anormalnych przypadków pracy generatorów synchronicznych i ich samosynchronizacji [19].

Spośród licznych publikacji książkowych Profesora Paszka, jako najważniejsze wymienia się: 5 książek a wśród nich najnowszą pt. „Dynamika maszyn elektrycznych” Wyd. Helion, Gliwice 1997 r., która liczy 684 str. i świadczy o jego nieustającej żywotności naukowej. Ma w swoim dorobku ponad 200 publikacji naukowych, którymi są artykuły w takich czasopismach jak: *Archiv für Elektrotechnik, Elektrotechnik und Maschinenbau, Elektrische, Электротехника, Elektrotechnika* i wielu innych. Ma na swoim koncie znaczną liczbę referatów wygłoszonych na konferencjach krajowych i zagranicznych.

Na specjalne podkreślenie zasługuje imponująca liczba 40 wypromowanych doktorów nauk technicznych. Wielu spośród nich legitymuje się już tytułami naukowymi.

Prof. Paszek cieszy się olbrzymim autorytetem międzynarodowym. Świadczą o tym chociażby wyjazdy na zaproszenie jako „*visiting professor*” do Uniwersytetów Technicznych w: *Dreźnie, Ilmenau, Berlinie, Akwizgranie, Darmstadtzie, Duisburgu, Wuppertalu, Hannoverze, Siegen* (w Niemczech), *Leuven* (w Belgii), *Budapeszcie* (na Węgrzech) i *Brnie* (w Czechach). Prof. W. Paszek był i jest członkiem lub przewodniczącym wielu stowarzyszeń, instytucji i organizacji naukowych, a wśród nich znajdują się: Komitet Elektrotechniki Polskiej Akademii Nauk i Sekcja Maszyn Elektrycznych i Transformatorów tego komitetu (od 1969); Polski Komitet Wielkich Sieci Elektrycznych (od 1967); Komitet Nauk Technicznych przy oddziale PAN w Krakowie; Rada Naukowa Instytutu Automatyki i Systemów Energetycznych we Wrocławiu (1967 – 1980); Rada Naukowo – Techniczna OBR KOMEL w Katowicach (zastępca przewodniczącego a następnie przewodniczący, 1975 – 1980); Rada Naukowo – Techniczna OBR APENA w Bielsku – Białej (przewodniczący 1975 – 1980); Rada Naukowo – Techniczna OBR ZUT ZGODA w Świętochłowicach (1975 – 1980); Rada Naukowa WRN w Katowicach (1965 – 1970); Rada Naukowa Ośrodka Badawczo – Rozwojowego Maszyn Elektrycznych dużej mocy DOLMEL we Wrocławiu (1978 – 1982).

Nie piszę książki o prof. Paszku (a byłoby dość materiału na taką), więc ograniczę się jeszcze tylko do podania jego osiągnięć w dziedzinie dydaktyki. Jego dar przedstawiania w sposób zrozumiały bardzo niekiedy trudnych problemów uwidocznił się w trakcie prowadzenia następujących wykładów:

- z „Teorii maszyn elektrycznych” dla wszystkich specjalności na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej;

- z przedmiotów: „Wybrane zagadnienia z teorii maszyn elektrycznych”;
- „Wzmacniacze oraz układy transduktorowe” (dwa ostatnie jako wykłady specjalistyczne w ramach budowy maszyn elektrycznych);
- „Układy regulacji Maszyn Elektrycznych”;
- „Wzmacniacze elektromaszynowe” (dwa ostatnie w ramach specjalności automatyka);
- „Stany nieustalone w maszynach elektrycznych”;
- „Regulacja wzbudzenia generatorów synchronicznych” (dwa ostatnie w ramach studiów podyplomowych w Politechnice Warszawskiej i Śląskiej).

To tylko niektóre z nich. Opracował również kilka skryptów uczelnianych.

Jubilat został odznaczony: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1979), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1994), Złotą Odznaką Zasłużonego w Rozwoju Województwa Katowickiego (1964), Złotą Odznaką Zasłużonego dla Energetyki (1988) a także Złotą Odznaką SEP. Dlaczego tak nieproporcjonalnie mało w stosunku do zasług, potwierdzonych tak masowym udziałem przedstawicieli nauki i przemysłu w opisanej uroczystości? Ci, którzy znają prof. Paszka, wiedzą to. Nigdy nie był koniunkturalistą. Ma własne zdanie, którego nie lęka się wypowiadać w każdym gremium. „Możni tego świata” nie lubią takich ludzi.

#### 16.4. 50 szczęśliwych lat

10 stycznia 2001 roku minęło 50 lat od zawarcia naszego związku małżeńskiego z Oleńką. Powiedziano nam, że trzeba to zgłosić w urzędzie swojej gminy, co też uczyniliśmy. Na początku marca tegoż roku nadeszło zaproszenie od wojewody mazowieckiego na uroczystość wręczenia „Medali za Długoletnie Pożycie Małżeńskie”, zaplanowaną na dzień 7 marca w Mazowieckim Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie, przy Placu Bankowym 3/5. Równoległe, innym listem dotarły do nas gratulacje z okazji tego wydarzenia, od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Pana Aleksandra Kwaśniewskiego. Kserokopię tego listu gratulacyjnego załączam przy końcu tej książki, w tym miejscu pragnę dla podkreślenia umieścić te fragmenty listu, które sprawiły mi największą przyjemność. Pan Prezydent napisał między innymi:

*....."Medal ten jest podziękowaniem za wszystko co przez tak długi czas tworzyliście i budowaliście jako małżeństwo i rodzina. Jest potwierdzeniem, że wybrana przed laty przez Państwa droga była drogą słuszną.*

*Wasz trwały związek dwojga, wspierających się wiernie ludzi, wytrwałość, wzajemne zrozumienie, zgodna praca dla wspólnego dobra*

pomogły pokonać trudności, jakich nikomu nie szczeni życie. Wasze wspólne życie i praca złożyły się na półwieczne dzieje naszej Ojczyzny....”  
(Podkreślenie moje).

7 marca 2001 roku był (jakby specjalnie dla nas) wyjątkowo pięknym, słonecznym dniem. Ponieważ przybyliśmy nieco wcześniej, więc przespacerowaliśmy się jeszcze wzdłuż Placu Bankowego. W miejscu gdzie stał pomnik Feliksa Dzierżyńskiego wybudowano cokół, na którym ma stać pomnik Juliusza Słowackiego, który przez pewien czas pracował jako urzędnik magistracki w tym właśnie budynku, w którym mieści się Urząd Wojewódzki. Wysłany w 1831 roku jako emisariusz do Europy Zachodniej, był w drodze, kiedy powstanie listopadowe upadło. Musiał pozostać na zachodzie i nigdy już więcej Polski nie zobaczył. A teraz, jak pięknie powiedział w swoim wystąpieniu wice wojewoda warszawski – Polska go zobaczy.

W sporych rozmiarów sali im. Stefana Starzyńskiego, krzesła były ustawione w podkowę a na nich spoczywały kartki z nazwiskami jubilatów, ułożone w porządku alfabetycznym. Przed otworem podkowy były ustawione dwa mikrofony i pianino. Ponieważ jesteśmy na literę „W” siedzieliśmy tuż przy tych rekwizytach. W zaproszeniu napisano, że na uroczystość mogą przybyć również nasi krewni lub znajomi. Jedynymi przedstawicielami naszej rodziny w Warszawie są: teść Piotrka Andrzeja Zalewski i jego żona Bożenka. Oni też przybyli na naszą prośbę do Urzędu Wojewódzkiego, niosąc piękny bukiet kwiatów. Bożenkę obarczyliśmy rolą fotoreporterki. Działała bardzo sprawnie, wybierając najciekawsze ujęcia. Pozostałych jubilatów fotografowały ich córki i synowie. Jednego z takich (średnio) młodych ludzi poprosiliśmy o wykonanie nam wspólnego zdjęcia we czworo. My zrewanżowaliśmy się tym samym, robiąc mu zdjęcie z jego rodzicami. I jeszcze jedno spostrzeżenie. My byliśmy stosunkowo młodymi jubilatami. Było tam sporo ludzi podpierających się laskami szwedzkimi (jedną albo dwiema), byli tacy, którzy opuścili salę przed zakończeniem koncertu, zaś dwóch par brakowało.

Wice - wojewoda warszawski okazał się młodym człowiekiem, wyraźnie młodszym niż nasze dzieci. Zapewne dla dodania powagi urzędowi, który piastował nosił starannie przystrzyżone – bródkę i wąsy. Tak niewyraźnie wymieniono jego nazwisko, że nie potrafię go odtworzyć. Mówił krótko, lecz zgrabnie. Nie wprowadził do swojego wystąpienia elementów politycznych. Następnie odbyło się wręczenie medali. Młody wice-wojewoda robił to zwracanie i uśmiechał się grzecznie do ludzi w wieku jego rodziców a może nawet dziadków. Umocowany na jasno różowej wstążce medal ma na awersie dwie srebrzyste róże, umieszczone w czerwonym kole. Na rewersie jest okrężny napis: „Za długoletnie pożycie małżeńskie” a w środku duże litery „RP”.

Po tej ceremonii odbył się krótki koncert. Wystąpili: Ryszard Baciarelli – recytacje, Ryszard Wróblewski – tenor i Małgorzata Piszek – fortepian. Na recytacje składały się wiersze: Konstantego Ildefonsa Galczyńskiego, Juliusza Słowackiego i Jana Brzechwy. Ryszard Wróblewski pięknie odśpiewał pieśni Mieczysława Karłowicza, Johanna Straussa, Imre Kalmana a także z repertuaru Jana Kiepury: „Ninon” oraz „Brunetki, blondynki”. Kiedy po koncercie chciano zakończyć oficjalną uroczystość o głos poprosił jeden z odznaczonych. Był to wysoki mężczyzna, który najwyraźniej był emerytowanym wojskowym, gdyż miał po lewej stronie marynarki przymocowane baretki odznaczeń wojskowych. A po prawej stronie przyśrubowane również jakieś odznaczenia, czym wyraźnie wyróżniał się od otoczenia. Wyraził podziękowanie panu wice - wojewodzie za wręczenie nam tych medali i tak miłe uświetnienie uroczystości bardzo ładnym koncertem. Na zakończenie tego krótkiego wystąpienia poprosił o przekazanie panu wojewodzie mazowieckiemu naszej prośby (zastrzegł, że tylko domniemywa, że jego głos jest głosem nas wszystkich) o zapewnienie nam opieki lekarskiej, której ostatnio jesteśmy praktycznie pozbawieni.

Po zakończeniu oficjalnej uroczystości poproszono gości na poczęstunek, który stanowiły ustawione na połączonych stołach za filarami słodczy i napoje. Choć mniej więcej połowa obecnych skierowała się do wyjścia, przy stołach tych zrobiło się bardzo ciasno. My również oddaliliśmy się. Zaprosiliśmy Bożenkę i Andrzeja do kawiarni, mieszczącej się w „srebrzystym wieżowcu”, na kawę (herbatę). Człowiek ciągle poznaje coś nowego. To prawda, mam małe doświadczenie kawiarniane, to też zdziwiłem się trochę, kiedy szarlotkę podano nam „na gorąco” i do tego o takich rozmiarach, że zmuszeni byliśmy tego dnia przesunąć godzinę spożycia obiadu.

Byliśmy bardzo wdzięczni Bożence i Andrzejowi, że pomimo swoich codziennych obowiązków postarali się być z nami w tej tak uroczystej dla nas chwili.

## **17. Odeszli na zawsze**

### **17.1. Śmierć pułkownika Denysa**

Plk dr inż. Zbigniew Denys zmarł w styczniu 1999 r. W nekrologach używa się zwrotu: „ . . . po długich i ciężkich cierpieniach” Ten zwrot się tak często powtarza, że nie zawsze do końca wiemy co się pod nim kryje. W przypadku Zbyszka Denysa to jest jeszcze za słabe określenie. Choroba jego trwała 14 lat, cierpienia jego potęgowały się i pod koniec życia były już nie do zniesienia.

Przybył do Wojskowej Akademii Technicznej w 1951 r. i rozpoczął studia w Fakultecie Łączności. Po ich ukończeniu otrzymał stopień oficera, został wytypowany do pozostania w uczelni i w 1955 roku zatrudniony w charakterze pracownika naukowo-dydaktycznego. Pracował w Zakładzie Zasilania Elektrycznego, którego był przez wiele lat kierownikiem. W 1970 r. obronił pracę doktorską pod promotorstwem prof. Arkadiusza Górala. W 1982 r., po przejściu płk. W. Dulewicza w stan spoczynku (po 30 latach pracy w WAT) kiedy stanowisko dyrektora Instytutu Systemów Pomiarowych i Automatyki objął doc. J. Barzykowski – płk Denys został zastępcą dyrektora.

Znałem go bardzo dobrze. Najpierw byłem jego nauczycielem, później, jako zastępca szefa katedry – przełożonym a wreszcie on, jako zastępca dyrektora instytutu został moim przełożonym. Był to człowiek wyjątkowo prawy o dużej wrażliwości na sprawy ludzkie. Niech o tym świadczy przykładowo chociaż taki epizod z moim udziałem.

Pewnego dnia pracowałem przy biurku w moim pokoju służbowym. Naprzeciwko mnie, przy swoim - trudził się nad czymś płk Ryznar. Wtedy zacząłem odczuwać, że robi mi się słabo. Świat zawirował mi przed oczami i rozumiałem, że tracę przytomność. Powiedziałem do Józia Ryznara, że słabnę, lecz do niego jakoś nie dotarło jak bardzo i dalej robił swoje. Miałem wtedy taki duży, miękki fotel, więc starałem się przyjąć na nim postawę najbardziej zbliżoną do leżącej. I wtedy straciłem przytomność i upadłem na podłogę. Józio widząc co się ze mną dzieje skoczył szybko w moim kierunku, lecz nie zdążył i padając rozbił sobie głowę o kant biurka. Rzucił się do telefonu, lecz numer rejestracji w służbie zdrowia był zajęty. Sprowadził do naszego pokoju Zbyszka Denysa i pobiegł do ambulatorium, które znajdowało się wtedy jeszcze w tym samym budynku co nasz instytut.

Kiedy znalazłem się na podłodze w pozycji poziomej, krew napłynęła mi z powrotem do głowy i zacząłem odzyskiwać przytomność. Wtedy usłyszałem spokojny głos:

- Nie denerwuj się Tadeusz. Zaraz Józio sprowadzi lekarza. Na razie leż i nie ruszaj się. Ja tu jestem cały czas i nie odejdę. Rozpoznałem głos Zbyszka Denysa, który stał przy drzwiach i czuwał nade mną. Odzyskałem spokój i poczułem się pewnie. Teraz, po latach, kiedy po nocach śnią mi się żywi a jeszcze częściej umarli, powraca do mnie ta scena i takim właśnie pamiętam Zbyszka. Wkrótce pojawił się doktor Teichert, internista, lekarz u którego się leczyłem. Towarzyszyła mu pielęgniarka z walizką leków i dwaj żołnierze z noszami. Po zmierzeniu tętna i ciśnienia, które prawdopodobnie powróciły do normy i zapytaniu się mnie o samopoczucie doktor Teichert przystąpił do „pionowania” mnie i osadzenia na krześle. Kiedy to mu się powiodło orzekł, że konieczne jest wykonanie elektrokardiogramu i pozostawił mojemu wyborowi: czy spróbuję przejść

pieszo czy też mają mnie zanieść na noszach. Wybrałem spacer, gdyż przykro byłoby wędrować przez rojne korytarze akademii niesionym na noszach. Kiedyś po latach, kiedy przebywałem w szpitalu przy ul. Emilii Plater, widziałem jedną panią profesor z WAT-u, wiezioną na łóżku szpitalnym na kółkach. Kazała sobie przykryć twarz chustą i to był jakiś sposób. Po niedługim czasie jednak zmarła. U mnie był *happy end* i elektrokardiogram okazał się dobry. Odwieziono mnie karetką do domu.

Płk Denys zachorował w 1985 r. Pamiętam to tak dobrze, gdyż w tym roku przebywałem przez miesiąc w szpitalu. Kiedy powróciłem do pracy, dowiedziałem się ze zdziwieniem, że Zbyszek też jest chory i są trudności z postawieniem diagnozy. Był w szpitalu wojskowym w Bydgoszczy, później jeździł do kliniki do Łodzi, gdzie jego kuzyn był (o ile dobrze pamiętam) ordynatorem na neurologii. I wciąż ten brak diagnozy, choć czasem słyszało się wypowiedziane po cichu złowrogie słowa: *stwardnienie rozsiane*. Ale podobno nie było to pewne. A jednak działo się coś bardzo niedobrego, gdyż stan jego zdrowia wciąż się pogarszał. W lutym 1991 r. nie był już w stanie wykonywać swoich obowiązków służbowych. Stan jego był już tak zły, że nie był w stanie przybyć do instytutu na spotkanie pożegnalne. W dniu 28 lutego 1991 odbyło się u niego w domu pożegnanie, na które przybyło kierownictwo instytutu, kierownicy zakładów i przyjaciele z Zakładu Zasilania a także współ wykonawcy wielkiej pracy na temat hamowania przeciwpółizgowego samochodów, w której uczestniczył i do której sukcesu bardzo się przyczynił. Przez kilka następnych lat przychodziliśmy jeszcze do niego, już w mniejszym składzie składać mu życzenia imieninowe. Jego stan z roku na rok coraz bardziej się pogarszał, później pozostało tylko telefoniczne składanie życzeń imieninowych. Życzyło mu się zdrowia, chociaż on doskonale wiedział, że są to życzenia bez pokrycia, bo on już nigdy wyzdrowieć nie może. Ludzie coraz rzadziej go odwiedzali, gdyż trzeba było nie lada hartu ducha by taką wizytę zrealizować. Na koniec pozostał już tylko Jerzy Barzykowski, który odwiedzał go do końca.

Pogrzeb płk Zbigniewa Denysa odbył się w dniu 20 stycznia 1999 r. o godzinie 11-tej na Cmentarzu Wolskim. Był to ten sam cmentarz, z którego w czasie pogrzebu naszego kolegi Lubomskiego w 1981 r. ksiądz wypędził delegację naszej katedry za to, że nie śpiewaliśmy pieśni nabożnych, co opisałem szczegółowo w książce [ 17 ]. Pogrzeb był dobrze przygotowany przez rodzinę i zespół instytutu. Kierowniczą rolę wzięła na siebie prof. Barzykowski. Zdecydował on o wystawieniu warty honorowej przy trumnie zmarłego. Zgłoszeni do tej posługi, zebrałiśmy się w pobliżu siebie, by czynności nasze przebiegały sprawnie organizacyjnie. Kościół był pełen ludzi, gdyż na pogrzeb, oprócz nas z instytutu, przybyło bardzo



wiele osób z wojskowego osiedla domków jednorodzinnych, którzy mają taki solidarny zwyczaj, że chodzą gromadnie na pogrzeby swoich sąsiadów. W związku z brakiem miejsca w małym, cmentarnym kościółku, część ludzi stała na zewnątrz. By uczeszczyć w mszy żałobnej pozostawili uchylone drzwi. I wtedy usłyszałem nie głos, lecz może krzyk a może lepiej wołanie od strony ołtarza. Ksiądz grzmiał doniosłym głosem:

- A ci tam, co stoją na zewnątrz – niech wejdą do środka i zamkną drzwi! Stania za drzwiami Pan Bóg nie zalicza jako udział w nabożeństwie. A poza tym jest zimno i ksiądz nie musi przez cały dzień marznąć przy pracy. Drzwi zostały zamknięte, lecz część ludzi pozostała na zewnątrz, gdyż nie było już dla nich miejsca. Głos księdza wydał mi się znajomy. I ten ton i ten zwrot: „ci co tam stoją”. Podniosłem na niego oczy i rozpoznałem go od razu. Tak, to był „nasz” ksiądz z pogrzebu kolegi Lubomskiego.

Była pewna trudność z ustaleniem sposobu wystawienia wart. W przypadku pogrzebów świeckich sprawa jest prosta. Po obu stronach trumny, przodem do zebranych stoją cztery osoby. Zmieniają się sprawnie: z tyłu stojących podchodzą następni i ustawiają się na ich miejsce. W kościele nie można było tak postąpić. Przy takim sposobie ustawienia, stojący na warcie musieliby być odwróceny tyłem do ołtarza, przy którym odbywało się nabożeństwo. Wymyślono więc, że będziemy stali po dwóch, po obu stronach trumny, bokiem do ołtarza. Postanowiono, że będzie na zmianę stać dwóch cywilnych a po nich dwóch oficerów w mundurach. Byli to w kolejności:

profesorowie J. Barzykowski i L. Będkowski;  
kierownicy zakładów, pułkownicy T. Dąbrowski i J. Sienkiewicz;  
dyrektor instytutu prof. A. Chwaleba i autor tej relacji  
majorzy Kwiatos i Kocoń.

Jak już pisałem, kościółek cmentarny był bardzo mały. By dotrzeć do prawego boku trumny, na której leżała nowiutka rogatywka z dystynkcjami pułkownika, podobno zakupiona przez synów dla ojca na ostatnią drogę. trzeba było przejść przed ołtarzem, gdyż z prawej strony przejście było zatarasowane wieńcami i kwiatami. Prof. Chwaleba wybrał dla siebie miejsce z lewej strony i mnie przypadło w udziale przejść przed ołtarzem, by stanąć na swoim miejscu. Jakkolwiek od lat już nie byłem praktykujący, wiedziałem jak się zachować, gdyż jak wie to czytelnik mojej książki [12], w dzieciństwie służyłem do mszy św., przykłęknąłem przechodząc przed ołtarzem tam i z powrotem. Czulem na plecach wzrok dziesiątek par oczu, zaś przed sobą widziałem twarz „mojego” księdza.

Zbyszek miał salwę kompanii honorowej WP. Przypomniałem sobie pogrzeb naszego kolegi ppłk dr inż. Henryka Sobierajskiego, kierownika Zakładu Teorii Obwodów i Sygnałów, który odbył się w Pyrach pod Warszawą w lipcu 1989 r. Ponieważ był to pogrzeb kościelny, nie chciano

przydzielić mu kompanii honorowej. Zadanie załatwienia tej sprawy powierzono pułkownikowi Ryznarowi, znając jego charyzmę i zdolności mediatorskie. I powiodło się. Nad grobem Henryka Sobierajskiego rozległa się salwa honorowa. Po transformacji ustrojowej 1989 roku sytuacja odwróciła się. Dla tych, którzy mieli pogrzeby świeckie – brak było ślepaków. Z upływem lat fala nienawiści nieco opadła i widziałem już pogrzeby świeckie z salwą honorową.

Ale to są sprawy mniej ważne. Najważniejsze było to, że opuszczając Cmentarz Wolski pozostawiliśmy tam na zawsze pod warstwą ziemi naszego druha, człowieka wielkiego serca i charakteru – Zbyszka Denysa.

## 17.2. Śmierć Przyjaciela

W dniu 21 grudnia 1999 r. zmarł prof. zw. dr inż. Edward Ludwik Świrkowski, który od drugiej połowy lat pięćdziesiątych i prawie przez całą dekadę lat sześćdziesiątych był związany z Wojskową Akademią Techniczną, piastując równocześnie odpowiedzialne stanowiska państwowe. Wówczas zawiązała się przyjaźń pomiędzy Nim, Jurkiem Walkiewiczem i mną, co opisałem w [1]. Tam też napisałem o osiągnięciach naukowych Edwarda w WAT. Prześledźmy drogę życiową tej nieprzeciętnej postaci, w oparciu o dane z kilku informatorów biograficznych [ 20 – 22] i o to, co słyszałem od niego samego.

Urodził się w Warszawie, 15 lutego 1915 r. w czasie I wojny światowej. W 1942 r., w środku II wojny światowej, jego żona Wanda urodziła córeczkę Marysię (obecnie radną Gminy Mokotów już drugą kadencję). Trzeba było wielkiej energii i przedsiębiorczości by w warunkach panującego niedostatku zapewnić maleństwu prawidłowy rozwój. Tych cech Edwardowi nie brakowało. To też, zaraz po wycofaniu się Niemców ze zniszczonego Gdańska został powołany do grupy delegowanej na wybrzeże celem uruchomienia komunikacji miejskiej w Gdańsku. Lecz jego pasją była nauka i zajął się studiami na Wydziale Elektrycznym Politechniki Gdańskiej, którą ukończył w 1948 r. Na politechnice piastował stanowisko asystenta.

Wtedy wzięto pod uwagę jego nieprzeciętne zdolności organizacyjne ujawnione przy przywracaniu Gdańska do życia i został mianowany dyrektorem Przedsiębiorstwa Robót Elektrycznych Gdańsk. Na stanowisku tym był zatrudniony do 1951 r. W latach 1955 – 1956 był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Budowy Miast i Osiedli. W ministerstwie tym pracował jeszcze w 1957 r.

Następnym miejscem Jego pracy było Zjednoczenie (uprzednio był to Zarząd) Przedsiębiorstw Robót Elektrycznych „Elektromontaż” w Warszawie, gdzie pracował jako naczelny inżynier w latach 1958 – 1960 oraz dyrektor w latach 1960 – 1963. W latach 1963 – 1969 był

podsekretarzem stanu (odpowiedzialnym między innymi za kontakty ze środowiskami naukowymi) w Ministerstwie Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych.

Lecz jak już pisałem ciągnęło go do nauki i przeszedł do Instytutu Ekonomiki Organizacji i Zarządzania Przemysłu Budowlanego „Orgbud” (uprzednio Instytut Organizacji i Mechanizacji Budownictwa), gdzie od roku 1969 był kierownikiem zakładu naukowego, w latach 1975 – 1980 – zastępcą dyrektora, zaś w latach 1980 – 1986 – dyrektorem. W tym okresie doktoryzował się w Politechnice Warszawskiej w 1972 r., uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego w 1978 r. i tytuł profesora zwyczajnego w 1985 r. Następnie pracował jako profesor w Instytucie Technologii i Organizacji Produkcji Budowlanej na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej. Miał w swoim dorobku 110 prac, głównie z dziedziny gospodarki elektroenergetycznej, która była podstawowym kierunkiem jego działalności naukowej.

Działał w „Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Przemysłu Materiałów Budowlanych”, gdzie był przez szereg lat wiceprezesem Zarządu Głównego a następnie prezesem honorowym.

Za jego wybitne zasługi był odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I i II klasy, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i wieloma innymi odznaczeniami. Dwukrotnie otrzymał nagrody resortowe: w 1979 r. oraz w 1985 r.

Pożegnaliśmy Go w pochmurny, zimowy dzień. Został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu w Otwocku. Nabożeństwo żałobne odbyło się w Warszawie, w kościele parafialnym, do którego uczęszcza rodzina państwa Świrkowski. Po nabożeństwie trzeba było przerzucić się do Otwocka i odszukać cmentarz. Zdziwiło mnie, że żadna z tak poważnych instytucji, w których Zmarły pracował na najwyższych stanowiskach kierowniczych nie podstawiała autokaru, celem przewiezienia żałobników do Otwocka. U nas w WAT autokar przysługuje każdemu zmarłemu, bez względu na zajmowane za życia stanowisko. Złapaliśmy więc taksówkę i pojechaliśmy we czworo: moja żona Ola, Jerzy Walkiewicz, Zdzisław Życki i ja. Tyle czasu zajęło nam szukanie cmentarza, gdyż nie znamy Otwocka, że dołączyliśmy do konduktu w ostatniej chwili. W rozmowie w samochodzie przypomnieliśmy jeszcze raz, o czym już przedtem rozmawialiśmy, o jednej charakterystycznej cesze Edwarda. On nigdy nie odkładał żadnej sprawy na później. Gdy było coś do załatwienia, załatwiał natychmiast. Było to niejednokrotnie podstawą jego sukcesów w pracy. Nauczyłem się tego od niego i do dzisiaj z powodzeniem stosuję. Tak samo Jurek Walkiewicz. On był naszym starszym kolegą a zarazem nauczycielem. Ale nigdy nikogo nie pouczał. Oddziaływał przykładem. To było skuteczne.

Grudy zmarzniętej ziemi padły na wieko trumny. Grabarze śpiesznie wykonywali swoje czynności. Wkrótce rozjechaliśmy się do domów a tam, w trumnie pozostawiliśmy ciało bliskiego nam Człowieka. Był to Człowiek wielkiego serca i umysłu. I już go nie ma wśród żywych. I nie będzie. Jakże trudno się z tym pogodzić.

## 18. Przeszli na emerytury

W latach 2000 – 2001 obserwujemy masowe przechodzenie na emeryturę najwartościowszych pracowników Instytutu Podstaw Elektroniki. Jest to stosunkowo łagodny sposób reorganizacji („odchudzania”) wojska. Osiągnęli oni wiek emerytalny, który dla pułkownika wynosi 58 lat a dla niższych stopni jeszcze mniej. Przepisy te są bardzo rygorystycznie przestrzegane. Również w odniesieniu do pracowników cywilnych, którzy mają swoje terminy odejścia. W ten, na pozór naturalny sposób zmniejsza się liczba oficerów starszych wyższych stopni, co postawiono sobie za cel. Przyjęto takie proporcje, że podoficerów i chorążych ma być znacznie więcej niż oficerów. Tylko jak to zrobić w wyższej uczelni wojskowej, żeby profesor chciał się zadowolić stopniem sierżanta lub chorążego? Powstaje luka, wypełniana częściowo przez przyjmowanie emerytowanej kadry do pracy na umowy, przeważnie na pół etatu. Zmniejszenie liczebności kadry nauczającej jest mniej dokuczliwe dlatego, że maleje nabór studentów. Pragnę podać tutaj, krótkie z konieczności biogramy tych moich przyjaciół z Instytutu Podstaw Elektroniki, którzy ostatnio przeszli na emerytury. Jak ujrzymy w owych biogramach osoby te nie miały w dzieciństwie nianiek i guwernantek. Są to przeważnie „dzieci wojny”, ciężko doświadczone w dzieciństwie lub wieku młodzieńczym.

### 18.1. Mgr inż. Irena Persakowa

Pani mgr inż. Irena Persakowa urodziła się w Stojanowie, miejscowości leżącej w województwie tarnopolskim, na pograniczu Wołynia. Była dzieckiem, kiedy 10 lutego w mroźną noc ostrej zimy 1940 roku do mieszkania państwa Witasów (rodziców Pani Ireny) – zapukali enkawudyści. 20 minut na spakowanie. Wóz konny na stację kolejową. Bydlęce wagony. Mordercza, długotrwała podróż i głębia tajgi w obwodzie archangielskim. Tam, przy wyrębie pracowali rodzice. W październiku 1941 r. rodzinę przewieziono na południe ZSRR – do *Uzbekistanu* a następnie do *Kazachstanu*, do sowchozu znajdującego się pomiędzy *Czimkientem* a *Taszkientem*. W maju 1946 r. pani Irena wraz z matką powróciły do Polski. Ojciec i jego bracia poszli na front i powrócili wcześniej do kraju.

Szkolę średnią ogólnokształcącą ukończyła w Płocku w 1954 r. Studia wyższe ukończyła w 1961 r. na Wydziale Łączności Politechniki

Warszawskiej uzyskując stopień mgr inż. W 1962 r. podjęła pracę w Wojskowej Akademii Technicznej, na Wydziale Elektroradiotechnicznym w Zakładzie Radiotechniki, Katedry Podstaw Radiotechniki, która w 1968 r. nosiła nazwę Katedry Teorii Obwodów Radiotechnicznych i Elektroniki Kwantowej.

W latach 1966 – 1967 pani Irena przebywała w Indonezji wraz z mężem, płk dr inż. Tadeuszem Persakiem, który został oddelegowany z WAT jako wykładowca w Centrum Szkolenia Radarowego w Bandungu.

Po powrocie do kraju wróciła do pracy w WAT do tego samego zakładu, na to samo stanowisko wykładowcy a od 1977 r. starszego wykładowcy. Prowadziła najpierw zajęcia dydaktyczne z przedmiotu Radiotechnika Liniowa. W ramach reorganizacji wydziału jej przedmiot Radiotechnika Liniowa, został przeniesiony do Zakładu Teorii Obwodów i Sygnałów, Katedry Elektrotechniki, której kierownikiem był wówczas płk dr inż. Bolesław Lenart. Po kolejnej reorganizacji ów zakład znalazł się w Instytucie Systemów Pomiarowych i Automatyki, przeorganizowanym później w Instytut Podstaw Elektroniki. Pani Irena, niezależnie od tych zmian prowadziła zajęcia z Teorii Obwodów i Sygnałów Elektrycznych. W ciągu długich 36 lat pracy wykonywała średnio 147 % rocznej normy dydaktycznej.

Jej pasją była dydaktyka. Wiązała z nią również liczne prace służbowe, a wśród nich: opracowanie, stosowanie i badania skuteczności środków audiowizualnych w procesie dydaktycznym. Spośród innych prac można przykładowo wymienić: opracowywanie norm, organizowanie konferencji (1978), udział w konferencjach, publikacje, projektowanie stanowiska próżniowego do lamp laserowych (1964/65) a także badania ankietowe i analiza badań kierowców w zakresie pokładowych urządzeń elektroniki motoryzacyjnej.

Za swoje osiągnięcia została odznaczona: Złotym Krzyżem Zasługi, medalem Siły Zbrojne w służbie Ojczyzny (złotym i srebrnym) oraz medalem Za Zasługi dla Obronności Kraju (złotym, srebrnym i brązowym). Na emeryturę przeszła z dniem 31 maja 2000 r., pożegnana uroczystie. Pani mgr inż. Irena Persakowa pozostawiła w instytucie bezcenną pamiątkę, w postaci kroniki instytutu, opracowanej wraz z mgr inż. Heleną Morozową i mgr inż. Cezarym Kępskim.

## **18.2. Prof. dr hab. inż. Jerzy Barzykowski**

Rozdział ten celowo zatytułowałem „Przejścia na emeryturę” a nie „Odejścia” lub „Pożegnania”, gdyż niektóre osoby po przejściu na emeryturę pozostały nadal w WAT, służąc uczelni swoją wiedzą i umiejętnościami. Do nich należy prof. dr hab. inż. Jerzy Barzykowski, były dyrektor Instytutu Systemów Pomiarowych i Automatyki, który w czerwcu

2000 r. przeszedł na emeryturę, jednocześnie zajmując stanowisko profesora zwyczajnego personelu naukowo – badawczego.

Urodził się 11 lutego 1930 r. na Kielecczyźnie w rodzinie o głęboko patriotycznych tradycjach. Miał przeszło 9 lat kiedy wybuchła II Wojna Światowa. Chłopiec zafascynował się występującą na tamtych terenach walką przeciwko okupantowi hitlerowskiemu i w 1943 roku, mając 13 lat wstąpił do organizacji Szare Szeregi. Występował pod pseudonimem „Czarny”. To był niezły pomysł dla zmylenia Niemców, którzy wiedzieli, że człowiek wysoki przybierał pseudonim „Mały” zaś człowiek niski miał pseudonim „Długi”. Czarnowłosy Jurek działał jako „Czarny” właśnie. Za tę działalność okupacyjną otrzymał: Odznakę Pamiątkową Akcji „Burza” (1994); Krzyż Armii Krajowej (1995); Krzyż Partyzancki (1995) i Odznakę Weterana Walk o Niepodległość (1996).

W latach 1948 – 1954 studiował – początkowo na Wydziale Komunikacji Wydziałów Politechnicznych przy AGH w Krakowie zaś od r. 1949 na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, gdzie uzyskał dyplom magistra inżyniera. Jeszcze w czasie studiów pracował w Katedrze Podstaw Elektrotechniki w charakterze asystenta (1950 – 1952).

1 marca 1952 r. podjął pracę w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, gdzie pracował na stanowiskach: inżyniera laboratorium, asystenta, adiunkta, st. wykładowcy, docenta etatowego (od 1970 r.), profesora nadzwyczajnego (od 1990 r), profesora zwyczajnego (od 1993 r.) W WAT pełnił kolejno funkcje: kierownika zakładu (1965 – 1972), kierownika katedry (1972 – 1975), zastępcy dyrektora Instytutu Systemów Pomiarowych i Automatyki (1975 – 1981), dyrektora tegoż instytutu (1981 – 1995). Równoległe z pracą w WAT pracował w średnim szkolnictwie technicznym (1955 – 1963) oraz w biurach projektowych.

Prof. J. Barzykowski jest autorem lub współautorem około 150 prac, w tym monografii, współautorem trzech książek, 15 skryptów uczelnianych a także ponad 20 patentów i wzorów użytkowych. Wypromował 12 doktorantów. O jego aktywności społeczno – naukowej niechaj świadczą przegląd niektórych jego poważnych funkcji w świecie naukowym:

- wiceprzewodniczący Komitetu Metrologii i Aparatury Naukowej PAN (trzecia kadencja);
- zastępca redaktora naczelnego kwartalnika PAN „Metrologia i Systemy Pomiarowe”;
- przewodniczący Rady Programowej czasopisma naukowo – technicznego „Pomiary Automatyka Kontrola”;
- przewodniczący Rady Naukowej w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji (trzecia kadencja);
- członek z wyboru – III kadencji w Komitecie Badań Naukowych (Zespoły T-10 i T-00);

- członek Komitetu Badań Naukowych IV kadencji, przewodniczący Zespołu T-10, członek Zespołu 0 – 13, członek zespołu do spraw stypendiów NATO.

Spis posiadanych przez prof. Jerzego Barzykowskiego odznaczeń, medali, nagród i dyplomów udostępniony mi uprzejmie przez niego musiałby zająć conajmniej 1½ strony tej książki. Ograniczę się więc jedynie do syntetycznego ich przedstawienia. Są to między innymi: „Krzyż Kawalerski Orderu odrodzenia Polski” (1978); „Złoty Krzyż Zasługi” (1971); „Srebrny Krzyż Zasługi” (1967); medal i tytuł „Zasłużony Nauczyciel PRL” (1981); „Medal Komisji Edukacji Narodowej” (1975); „Medal 30 – lecia Polski Ludowej” (1974); „Medal 40 – lecia Polski Ludowej” (1984); Medal 25 – lecia SEP (1977); srebrna odznaka honorowa „Za Zasługi dla Warszawy” (1975); brązowy i srebrny medal „Za Zasługi dla WAT” (1986, 1993) a także 7 medali resortowych („Za zasługi dla Obronności Kraju”, „Sily Zbrojne w Służbie Ojczyzny”, „Zasłużony Racionalizator Wojskowy”).

Prof. Barzykowski otrzymał 20 nagród Komendanta WAT, zarówno naukowych jak i dydaktycznych. Może się poszczycić również nagrodami na wyższym szczeblu, a wśród nich: „Nagrodą Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki” (1979); „Nagrodą Zespołową II-go stopnia Ministra Górnictwa i Energetyki” (1985); „Nagrodą Prezesa Polskiej Akademii Nauk” (1990 r.); „Złotym Medalem z Wyróżnieniem” oraz dyplomem za „Instrumentarium do Leczenia Skolioz” na 44 – tym Salonie Wynałazczości w Brukseli (1995); „Dyplomem Uznania Przewodniczącego KBN” (1995); dyplomem i brązowym medalem na 24 - tym Salonie wynalazczości w Genewie (1996); oraz dyplomem uznania Ministra Przemysłu i Handlu (1996). Prof. J. Barzykowski jest niewątpliwie najbardziej uhonorowanym (zasłużenie) pracownikiem Wydziału Elektroniki WAT.

### **18.3. Mgr inż. Wiera Karbowska**

Mgr inż. Wiera Karbowska w 1959 r. ukończyła Instytut Mechaniki Precyzyjnej i Optyki w Leningradzie (obecnie Skt. Petersburg). Był to ten sam instytut, w którym odbyłem czterodniowy staż naukowy w 1970 r., opisany w poprzednim tomiku moich wspomnień [6]. W latach 1959 – 1961 pracowała w Państwowych Zakładach Optyczno – Mechanicznych w Leningradzie. Poślubiła będącego na studiach w ZSRR oficera Tadeusza Karbowskiego i przybyła do Polski.

Od 1962 r. nieprzerwanie pracowała w WAT, aż do przejścia na emeryturę w listopadzie 2000 r. Zajmowała kolejno stanowiska: starszego asystenta (1962 – 69) w Zakładzie Elementów Automatyki, wykładowcy (1969 – 75) w Zakładzie Urządzeń Elektrycznych Samolotów i starszego wykładowcy ( 1975 – 2000) w Zakładzie Elektrotechniki. Przeprowadziła

około 12 tysięcy godzin zajęć dydaktycznych, głównie z przedmiotów: Automatyka, Urządzenia elektryczne samolotów, Elektrotechnika i maszyny elektryczne. Kierowała wieloma projektami przejściowymi i pracami dyplomowymi. Uczestniczyła w tworzeniu i unowocześnianiu oraz modernizacji laboratoriów. Jest autorką lub współautorką trzech skryptów.

Uczestniczyła w pracach naukowo – badawczych, dotyczących w głównej mierze urządzeń elektrycznych samolotów oraz układów antypoślizgowych samochodów. Dzięki dużemu zaangażowaniu w pracę dydaktyczną i wychowawczą, pozytywnie oddziaływała na młodą kadrę dydaktyczną i cieszyła się dużym uznaniem wśród studentów. Za wzorową działalność dydaktyczną, wychowawczą i naukową była wielokrotnie wyróżniana nagrodami i odznaczeniami: Złotym Krzyżem Zasługi; złotym, srebrnym i brązowym medalem Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny a także srebrnym medalem Za Zasługi dla Obronności Kraju.

Pożegnanie Pani mgr inż. Wiery Karbowskiej miało bardzo uroczysty charakter. Na spotkaniu pożegnalnym w sali konferencyjnej instytutu dziękowali Jej za długoletnią, owocną pracę: Komendant – Dziekan Wydziału Elektroniki dr hab. inż. Grzegorz Różański, profesor WAT wraz z zastępcami, kierownictwo Instytutu Podstaw Elektroniki z dyrektorem prof. dr hab. inż. Augustynem Chwalebą i grono współpracowników. Z wystąpienia dyrektora instytutu zapamiętałem sobie mniej więcej takie słowa: „Mam szczególne uznanie dla Pani Wiery Karbowskiej za jej zawsze lojalną postawę wobec swojej nowej ojczyzny – Polski i szacunek za nigdy nie ukrywaną lojalność wobec ojczyzny swego pochodzenia”

Po wystąpieniach oficjalnych goście raczyli się znakomitym poczęstunkiem, przygotowanym przez panią Wierę, przeważnie własnej, domowej roboty. Później robiono zdjęcia. Jedno z nich, które przedstawia odchodzącą w otoczeniu pracowników zakładu znajduje się w materiale ilustracyjnym tej książki. Z tymi zdjęciami wiąże się ciekawe spostrzeżenie, które poczyniłem. Fotografował głównie małżonek pani Wiery płk w st. spoczynku dr inż. Tadeusz Karbowski, wieloletni pracownik naukowo – dydaktyczny na Wydziale Cybernetyki a pod koniec służby kierownik Zakładu Nowych Technik Nauczania. Robił on to w sposób niesamowity. W jednej ręce trzymał talerzyk z kawałkiem tortu i łyżeczką a w drugiej aparat, którym fotografował. Byłem przekonany, że zdjęcia wyjdą krzywo i z poobcinanymi głowami lub kończynami. Nic takiego nie nastąpiło. Zdjęcia są idealnie wykadrowane.



#### 18.4. Płk dr inż. Jan Sienkiewicz

Już w grudniu 2000 r. żegnaliśmy odchodzącego do rezerwy kierownika naszego zakładu płk dr inż. Jana Sienkiewicza. Staram się sięgnąć myślą wstecz. 35 lat temu, we wrześniu 1965 r. rozpocząłem wykłady z Maszyn Elektrycznych w grupie szkoleniowej E – 37, w której przygotowywano specjalistów osprzętu elektrycznego samolotów. Ten dwu semestralny przedmiot liczył 110 godzin wykładów, 16 godzin ćwiczeń audytoryjnych i nie zapamiętaną, bardzo dużą liczbę godzin ćwiczeń laboratoryjnych. Jedną z form szkolenia było wykonywanie sprawdzianów pisemnych. W czasie ich sprawdzania zwróciłem uwagę na jedno z wypracowań, zawierające właściwie ujęte konkretne treści, opisane w sposób przejrzysty i świadczący o znajomości problematyki. Praca różniła się na korzyść od innych. Ponieważ nie znałem jeszcze słuchaczy tej grupy z imienia i nazwiska, prowadząc wykład, przebiegałem wzrokiem po ich twarzach, starając się odgadnąć, która z nich należy do autora tej najlepszej z prac. Nie zgadłem. Autorem był szczupły, średniego wzrostu chłopiec, siedzący w pierwszym rzędzie, który gdy mnie słuchał nie miał skupionej twarzy, nie było u niego widać jakiejś takiej pilności przy sporządzaniu notatki. Twarz jego była rozluźniona a notował lekko, jak gdyby od niechcenia. Zdziwiło mnie nawet, że to jest właśnie ten słuchacz. Przy egzaminie potwierdziła się moja ocena ze sprawdzianów i ćwiczeń. Tak „rodził się” pracownik naukowo – dydaktyczny WAT płk dr inż. Jan Sienkiewicz, który w 1991 roku przejął ode mnie kierownictwo Zakładu Elektrotechniki. Ale prześledźmy po kolei jego drogę życiową i działalność naukową oraz szkoleniową.

Urodził się w Nowy Rok 1 stycznia 1943 r. w czasie zawieruchy wojennej w dużej wsi Woźnawieś w powiecie Grajewo. W 1962 r. po zrobieniu matury zdał pomyślnie egzamin wstępny do WAT. Wtedy został skierowany do TSWL w Zamościu, którą ukończył z wyróżnieniem jako mechanik osprzętu lotniczego. Następnie odbył praktykę w 36 Specjalnym Pułku na Okęciu w Warszawie i po takim zapoznaniu się z realiami służby wojskowej, rozpoczął w roku akademickim 1963/64 studia w Wojskowej Akademii Technicznej, które ukończył w 1968 r. Już od sierpnia tegoż roku został jako wyróżniający się absolwent zatrudniony w charakterze starszego asystenta w Katedrze Elementów Magnetycznych i Urządzeń Elektrycznych. W grudniu 1980 r. - jak już pisałem w [6], obronił pracę doktorską pod moim promotorstwem, w wyniku czego został wyznaczony na stanowisko adiunkta.

W swojej służbie i pracy zaprezentował duże możliwości: naukowe, dydaktyczne i organizacyjne. Był przez wiele lat cenionym wspólnym wykonawcą prac naukowo badawczych, zaś po objęciu stanowiska kierownika Zakładu Elektrotechniki stał się kierownikiem i organizatorem

tych prac, które dotyczą głównie teorii i konstrukcji elementów elektromaszynowych oraz ich układów sterowania. Za osiągnięte w pracach naukowo – badawczych wyniki otrzymał 3 Zespołowe Nagrody Rektora WAT oraz 3 nagrody Dziekana Wydziału Elektroniki. Ma w swoim dorobku naukowym kilkanaście artykułów w czasopismach oraz kilkanaście referatów konferencyjnych, również o zasięgu międzynarodowym.

W dziedzinie dydaktyki legitymuje się ponad siedmioma tysiącami godzin przeprowadzonych zajęć dydaktycznych. Kierował również ponad dwudziestoma pracami dyplomowymi. Jest współautorem czterech skryptów z przedmiotów prowadzonych w zakładzie. W ramach restrukturyzacji WAT opracował i wdrożył programy szczegółowe z przedmiotu „Maszyny elektryczne”, dla studentów Wydziału Uzbrojenia i Lotnictwa oraz „Maszyny elektryczne i zasilanie” dla studentów Wydziału Elektroniki, wszystkich rodzajów studiów (dziennych, zaocznych i niestacjonarnych).

Płk Sienkiewicz okazał się dobrym organizatorem funkcjonowania zakładu i przełożonym z tytułu służby kadry wojskowej. Jest on bardzo wysoko oceniany przez przełożonych. Cieszy się dużym autorytetem i uznaniem zarówno wśród studentów jak i nauczycieli akademickich Wydziału Elektroniki, czego dowodem jest jego wybór przez to środowisko na członka Senatu WAT trzeciej z rzędu kadencji. Za wzorową postawę w czasie wieloletniej służby otrzymał tytuł „Zasłużonego Nauczyciela Akademickiego WAT”. Został również odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i sześcioma medalami resortowymi.

Z dniem 1 stycznia (Nowy Rok !) 2001 r. został zwolniony z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy wskutek osiągnięcia ustawowej granicy wieku, na podstawie decyzji Nr 351 Ministra Obrony Narodowej z dnia 17. 10. 2000 r. Jednak nie zrezygnowano z tak cennego pracownika i zatrudniono go na cywilnym etacie adiunkta i nadal kieruje pracą naukowo – badawczą statutową.

Przeniesienie do rezerwy płk Sienkiewicza odbyło się bardzo uroczysto w dniu 21 grudnia 2000 r. Było ono połączone z tradycyjnym spotkaniem opłatkowym związanym z Wigilią Świąt Bożego Narodzenia. W dużym Laboratorium Maszyn Elektrycznych zgromadził się prawie cały stan osobowy Instytutu Podstaw Elektroniki. Przybył Komendant – Dziekan wydziału wraz z zastępcami. W szerokim przejściu wzdłuż sali ustawiono stoły zastawione poczęstunkiem. Przemówienia wygłosili: dziekan płk Różański i dyrektor instytutu prof. Chwaleba. Padło wiele ciepłych słów i zasłużonych pochwał pod adresem żegnającego się z mundurem. Nastąpiły podziękowania i wręczenie upominków.

Wtedy właśnie nastąpiła piękna scena wręczenia płk Sienkiewiczowi przez dziekana – tradycyjnej szabli. Była to wzruszająca ceremonia. Stali naprzeciwko siebie i komendant trzymał szablę poziomo, na wysokości piersi. Po wypowiedzeniu kilku uroczystych zdań wręczył ją pułkownikowi. Ten odebrał szablę, wyjął ostrze z pochwy do połowy, przyklęknął na jedno kolano i ucałował ten symbol żołnierskiej służby. Coś ścisnęło mnie za gardło.

Później nastąpiło łamanie się opłatkiem i poczęstunek. Wykonano pamiątkowe zdjęcie pracowników instytutu. Na załączonym zdjęciu widoczni są od lewej do prawej:

**Rząd górny:** ppłk Janusz Wawer; płk Kazimierz Pluciński; ; mjr Wiktor Olchowik; mjr Krzysztof Kocoń; kpt. Wiesław Piotrowski; st. techn. Jacek Mucha; ppłk Zdzisław Napiontek; dr Krzysztof Serafin; Grażyna Rogowska; kpt. Piotr Trzaskawka; dr Zbigniew Sokołowski; chor. Krzysztof Cackowski; kpt. Tomasz Woźniak; dr Robert Ćwirko; st. techn. Krzysztof Budny; ppłk Bogdan Kiźlik; Stanisław Kierłańczyk; mjr Krzysztof Kwiatos; mjr Grzegorz Nitecki; płk Roman Wrona; mł. chor. Leszek Rudnik; płk Czesław Przybysz; płk Tadeusz Dąbrowski; st. techn. Wiktor Borkowski; kpt. Jakub Kaźmierczak; mjr Jacek Paś; płk Józef Stęgowski; ppłk Leszek Iwanek; ppłk Jan Pietrzak; mjr Zdzisław Bedynek.

**Rząd dolny:** st. techn. Ryszard Kobus; dr inż. Piotr Baszun; prof. Stanisław Osowski; płk Grzegorz Sundman; płk Mieczysław Żurawski; prof. Tadeusz Wróbel; Jolanta Jakubowska; mgr inż. Irena Persak; mgr inż. Helena Moroz ; płk Wojciech Kocańda; prof. Augustyn Chwaleba; płk Jan Sienkiewicz; ppłk Zbigniew Milewski; mgr inż. Hanna Sosnowska; płk Grzegorz Różański; mgr inż. Joanna Ćwirko; Katarzyna Kamińska; Jarosław Słowik; Ryszard Kowalski; inż. Ryszard Kłujśzo; mjr Piotr Preibisch; dr Mirosław Rusek; mjr Eugeniusz Zachwieja; prof. Lesław Będkowski; inż. Antoni Roszkowski.

W dniu 5 stycznia 2001 płk Sienkiewicz zaprosił szerokie grono przełożonych, współpracowników i przyjaciół na uroczysty bankiet, który odbył się w sali recepcyjnej hotelu asystenckiego WAT, zwanego potocznie (choć nieoficjalnie) „Hilton”. Spotkanie upłynęło w bardzo przyjemnej atmosferze. Wykonano również wiele zdjęć, które zapelniły nasze albumy, lecz brakło już na nie miejsca na kartach tej książki.

### 18.5. Płk mgr inż. Józef Stęgowski

Józef Stęgowski urodził się 28 lutego 1943 r. we wsi Kowalowy, pow. Jasło. A więc znów „dziecko wojny”. Już od poczęcia jego losy były dramatyczne. Mama Józefa, będąc w ciąży została w wyniku łapanki w Jaśle włączona do transportu do Oświęcimia. Została jednak wyłączona z transportu w wyniku interwencji sołtysa, który powołał się na to, że jej mąż pracuje przy budowie dróg. A drogi były potrzebne Niemcom.

W październiku 1944 r. część wsi Kowalowy została spalona przez Niemców w związku z podejrzeniem o sprzyjanie partyzantom z AK. Rodzina Stęgowskich wraz z 1½ rocznym Józkiem „zamieszkała” w lesie, gdzie przebywała aż do wyzwolenia. Do szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego uczęszczał w Jaśle, gdzie zdał maturę w 1961 r. Lecz jeszcze jako licealista zaczął pasjonować się lotnictwem. W dziewiątej klasie liceum wstąpił do modelarni lotniczej w Jaśle, Aeroklubu Podkarpackiego w Krośnie. W 1959 roku, w czasie ogólnopolskich zawodów modeli latających w Białymstoku zdobył tytuł wicemistrza Polski juniorów w kategorii modeli latających. W 1960 roku ukończył podstawowy kurs szybowcowy w Krośnie. Trzykrotnie starał się o przyjęcie do oficerskich szkół lotniczych, lecz dwukrotnie nie został przyjęty z powodu złego stanu zdrowia. Ale jego upór i konsekwencja zostały nagrodzone i w 1963 r. został przyjęty do Technicznej Oficerskiej Szkoły Wojsk Lotniczych, którą ukończył w 1966 r. Po trzech latach służby w Wojskach Lotniczych rozpoczął studia w WAT, gdzie w 1973 r. uzyskał dyplom inżynierski. Został skierowany do pułku lotnictwa myśliwsko – szturmowego w Mirosławcu, w którym pełnił obowiązki inżyniera osprzętu pułku.

W 1978 r. została uwzględniona jego prośba o przeniesienie do WAT, gdzie został zatrudniony na stanowisku inżyniera, odbywając jednocześnie studia magisterskie, które ukończył w 1980 r. Następnie był w WAT kolejno na stanowiskach: starszego inżyniera (1978 – 1981); starszego asystenta (1981 – 1984); wykładowcy (1984 – 1991); starszego wykładowcy (1991 aż do przejścia do rezerwy). Od 1984 roku sprawował funkcję kierownika laboratorium zakładowego. W 1997 roku ukończył Podyplomowy Kurs w Zakresie Metrologii z oceną bardzo dobrze z wyróżnieniem.

Prowadził zajęcia dydaktyczne w Laboratorium Lotniczych Urządzeń elektrycznych. Kierował około 30 pracami dyplomowymi w wyniku których powstawały (w większości) stanowiska laboratoryjne. 2 prace dyplomowe zostały wyróżnione przez Dowódcę Wojsk Lotniczych, 5 prac przez Komendanta WAT, około 15 przez Komendanta Wydziału, zaś jedna w konkursie na Międzynarodowej Konferencji Pomiaru Automatyka Robotyka.

Opracował jeden skrypt i 14 pojedynczych instrukcji laboratoryjnych o łącznej objętości 185 stron.

Za swoje osiągnięcia otrzymał 4 nagrody Rektora WAT (dwie indywidualne i dwie zespołowe). Został odznaczony złotym i srebrnym Krzyżem Zasługi oraz złotymi, srebrnymi i brązowymi medalami: Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny i Za Zasługi dla Obronności Kraju a także medalem i tytułem Zasłużony Nauczyciel Akademicki.

Jest żarliwym i bez reszty oddanym pracownikiem WAT. Napisałem „jest” w czasie teraźniejszym, gdyż jego przełożeni zadbali by po przejściu do rezerwy został nadal zatrudniony w WAT jako pracownik cywilny.

Pożegnanie płk. Józefa Stęgowskiego z mundurem odbyło się w takiej samej scenerii jak uprzednio płk Jana Sienkiewicza. W dużym laboratorium maszyn elektrycznych rząd zastawionych stołów. Na sali prawie cały skład osobowy instytutu. Komendant wydziału wraz z zastępcami uświetniają tę uroczystość. Przemówienia, wręczanie upominków. Komendant wydziału wręcza odchodzącemu z wojska tradycyjną szablę. Patrzę z ogromnym zainteresowaniem jak się to odbędzie. Pamiętam wzruszającą scenę z ucałowaniem szabli przez płk. Sienkiewicza. Z myślą o tej książce poprosiłem fotografującego oficera o uchwycenie tej sceny. Ale płk Stęgowski nie chce naśladować. Ma swój sposób odebrania zaszczytnej pamiątki. Staje w postawie na baczność, wyjmuje szablę z pochwy i salutuje nią po wojskowemu. Być może ostatni raz w mundurze, choć przepisy zezwalają oficerom rezerwy i oficerom w stanie spoczynku na występowanie w mundurach wojskowych w czasie ważnych uroczystości i świąt państwowych.

### **18.6. Mgr inż. Helena Morozowa**

Pani mgr inż. Helena Morozowa przeszła na emeryturę w marcu 2001 r., pozostawiając głęboką lukę w zespole Zakładu Teorii Obwodów i Sygnałów. Ileż to razy wpisując przeprowadzony wykład do dziennika zajęć, znajdowałem na sąsiednich stronach jej, tak już znany mi podpis.

Ale prześledźmy po kolei drogę życiową tej niestrudzonej pracownicy dydaktycznej. Urodziła się w 1935 r. w Lubaczowie w Województwie Lwowskim. W 1946 r. zmuszona opuścić swoje rodzinne strony, znalazła się wraz z rodziną we Wrocławiu, gdzie zamieszkiwała do 1960 roku. Tam ukończyła szkołę podstawową, średnią i studia na Wydziale Łączności (obecnie Elektroniki). W latach 1959 – 1960 pracowała w „Zakładach Elektronicznych ELWRO”, na stanowisku konstruktora.

Od grudnia 1960 r. rozpoczęła pracę w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, w Katedrze Podstaw Elektrotechniki, obecnie jest to Zakład Teorii Obwodów i Sygnałów, w Instytucie Podstaw Elektroniki, na Wydziale Elektroniki. Początkowo pracowała na stanowisku asystenta a następnie wykładowcy i starszego wykładowcy. Ostatnio prowadziła wykłady, ćwiczenia audytoryjne i laboratoryjne z przedmiotu „Obwody i Sygnały Elektryczne”, na wydziałach: Elektroniki, Cybernetyki oraz Chemii i Fizyki Technicznej, na studiach dziennych i zaocznych. Prowadzone przez nią zajęcia dydaktyczne były na wysokim poziomie merytorycznym i metodycznym, o czym świadczą pełne uznania sprawozdania z przeprowadzonych hospitacji.

Mgr inż. Helena Morozowa przeprowadziła w WAT ponad 10 000 godzin zajęć dydaktycznych. Kierowała ona 10 – ma pracami

dyplomowymi i 40 – ma projektami przejściowymi. Jest współautorką 8 – miu skryptów przedmiotowych dla studentów WAT oraz autorką lub współautorką 3 publikacji i wystąpień konferencyjnych. Brała czynny udział w opracowywaniu programów studiów z przedmiotu „Obwody i Sygnały”. Za swoją pracę dydaktyczną była wyróżniana: Nagrodą Rektora WAT i Nagrodą Dziekana Wydziału Elektroniki oraz licznymi nagrodami Dyrektora Instytutu Podstaw Elektroniki.

Pani Helena Morozowa była w latach 1997 – 1999 członkiem z wyboru Rady Naukowej Wydziału Elektroniki WAT, gdzie przejawiała czynną postawę. Jeszcze więcej zaangażowania wykazała jako aktywna działaczka NSZZPW WAT, pełniąc przez dwie kadencje funkcję przewodniczącej Rady Oddziałowej oraz członka Rady Zakładowej, zaś ostatnio męża zaufania w Instytucie Podstaw Elektroniki.

Przechodząc na emeryturę została pożegnana uroczyście przez Komendę Wydziału Elektroniki, Kierownictwo Instytutu oraz koleżanki i kolegów z Zakładu Teorii Obwodów i Sygnałów. Przez nas pracowników została zapamiętana jako uczynna i dla wszystkich życzliwa koleżanka, dzieląca się swym bogatym doświadczeniem i wiedzą z młodszymi pracownikami naukowo – dydaktycznymi.

### **18.7. Płk dr inż. Tadeusz Dąbrowski**

Płk dr inż. Tadeusz Marian Dąbrowski, kierownik Zakładu Systemów Diagnostycznych został w związku z ukończeniem 58 lat życia – zgodnie z ustawą o służbie wojskowej – z dniem 25 marca 2001 r. przeniesiony do rezerwy. Już z dniem 1 kwietnia tegoż roku otrzymał angaż na stanowisko adiunkta n – d w grupie cywilnych nauczycieli akademickich Wydziału Elektroniki WAT.

Urodził się 25 marca 1943 r. w Koreckiej Hucie gm. Ludwipol, pow. Kostopol w województwie wołyńskim. Był więc niemowlęciem w czasie „czerwonych nocy” na Wołyniu. Ocalała od mordów banderowskich rodzina p. Dąbrowskich została przesiedlona na Dolny Śląsk do miejscowości Goszczyna, gm. Domaniów, pow. Olawa w województwie wrocławskim. W Olawie uzyskał maturę liceum ogólnokształcącego, po czym zdał egzamin wstępny do WAT. Po odbyciu rocznej wojskowej służby zasadniczej, od 1962 r. rozpoczął studia w WAT na Wydziale Elektroradiotechnicznym w specjalności Osprzęt Samolotów i Śmigłowców zakończone w 1967 r. dyplomem magisterskim.

Dalsze lata jego służby i pracy przebiegały w Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie zajmował kolejno następujące stanowiska: st. asystenta (1967 – 1978); adiunkta (1994 – 2001). W międzyczasie pełnił następujące funkcje kierownicze: kierownika laboratorium w Zakładzie Lotniczych

Urządzeń Elektrycznych (1968 – 1978) i kierownika Zakładu Automatyki i Diagnostyki (1994 – 2001).

Jego dorobek naukowy i dydaktyczny można skrótkowo przedstawić w sposób następujący:

W 1977 r. uzyskał stopień naukowy doktora nauk technicznych. Obecnie jest recenzowana jego rozprawa habilitacyjna pt. „Diagnozowanie systemów antropotechnicznych w ujęciu potencjalowo – efektywnym”. Opublikował 20 artykułów autorskich lub współautorskich; opublikował w materiałach zwartych 79 referatów konferencyjnych; zostało wydanych jego 8 skryptów uczelnianych; uzyskał 6 patentów; uczestniczył w 26 pracach naukowo – badawczych; był kierownikiem 29 prac dyplomowych (magisterskich lub inżynierskich); zrealizował około 5 600 godzin zajęć dydaktycznych ( w tym około 1 000 godzin wykładów). Szeroki jest zakres jego zainteresowań dydaktycznych. Uczestniczył (lub uczestniczy) w prowadzeniu między innymi takich przedmiotów jak: Pokładowe układy elektroenergetyczne; Układy elektryczne płatowca i silnika; Elektrotechnika i maszyny elektryczne; Podstawy automatyki i Podstawy eksploatacji.

Plk Tadeusz Dąbrowski ma rzadko spotykany dorobek organizacyjny i udział w licznych gremiach naukowych. A oto ważniejsze elementy tego dorobku:

- członek Stowarzyszenia Elektryków Polskich NOT (od 1965 r.);
- sekretarz Zarządu Zespołu Diagnostyki Technicznej Polskiego Komitetu ds. Eksploatacji Majątku Trwałego NOT (1983 – 1991);
- członek Zespołu Diagnostyki Sekcji Podstaw Eksploatacji Komitetu Budowy Maszyn PAN (od 1982 r.);
- członek Sekcji Podstaw Eksploatacji Komitetu Budowy Maszyn PAN (1990 – 1993);
- członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Diagnostyki Technicznej (1990 – 1993);
- członek Polskiego Towarzystwa Diagnostyki Technicznej (od 1990 r.);
- członek Zespołu Diagnostyki Cybernetycznej Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego (1985 – 1990);
- członek Zespołu Bezpieczeństwa Sekcji Podstaw Eksploatacji Komitetu Budowy Maszyn PAN (1993 – 1998);
- członek Zarządu Uczelnianego SEP NOT przy WAT (1978 – 1984);
- członek Polskiego Towarzystwa Bezpieczeństwa i Niezawodności (od 1998 r.).

Ponadto występował jako współorganizator:

- około 20 ogólnokrajowych seminariów naukowo – technicznych pod hasłem „Integracja nauki z praktyką” w zakresie diagnostyki technicznej, jako sekretarz Zespołu DT PKEMT NOT (1983 – 1991);

- jako sekretarz naukowy, v-przewodniczący lub sekretarz Rady Naukowej Komitetu Organizacyjnego czterech Krajowych Konferencji „Diagnostyka Techniczna Urządzeń i Systemów” (1986 – 1998).

Za swoje wybitne osiągnięcia uzyskał: Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi; Medal Komisji Edukacji Narodowej; Złoty, Srebrny i Brązowy Medal Za Zasługi dla Obronności Kraju; Tytuł Zasłużonego Nauczyciela Akademickiego oraz Tytuł i Odznakę Racjonalizatora Wojskowego. Był ośmiokrotnie nagradzany Nagrodą Rektora WAT.

Jego uroczyste pożegnanie z mundurem odbyło się w dniu 27 marca 2001 roku w auli im. Tadeusza Kątkiego w budynku głównym WAT. Panował nastrój podniosły. Nastąpiło wręczenie przez Dziekana szabli oficerskiej. Później spotkanie koleżeńskie i wspólne zdjęcie. W dniu 5 stycznia 2001 pułkownicy Dąbrowski i Stęgowski (z tego samego zakładu) zorganizowali uroczysty obiad w restauracji hotelu asystenckiego (zwanego nieoficjalnie „*Hiltonem*”).

## Zamiast postłowia

Zamiast postłowia pragnę zacytować wiersz Wisławy Szymborskiej, który znakomicie oddaje mój nastrój w chwili gdy kończę ostatni (zapewne) tomik wspomnień.

Wisława Szymborska

Jak ja się czuję ?

Kiedy ktoś zapyta, jak ja się dziś czuję,  
Grzecznie mu odpowiem, że dobrze, dziękuję.  
To, że mam artretyzm, to jeszcze nie wszystko,  
Aстма mi dokucza i mówię z zadyszką,  
Puls słaby, krew w cholesterol bogata ...  
Lecz dobrze się czuję, jak na moje lata.  
Bez laseczki teraz chodzić już nie mogę,  
Choć zawsze wybieram najłatwiejszą drogę.  
W nocy przez bezsenność bardzo się morduję,  
Ale przyjdzie rano i znów dobrze się czuję.  
Mam zawroty głowy, pamięć figle płata,  
Lecz dobrze się czuję, jak na moje lata.  
Z wierszyka mojego ten sens się wywodzi,  
Że kiedy starość i niemoc przychodzi,  
To lepiej się zgodzić ze strzykaniem kości  
I nie opowiadać o swojej starości.



Zaciskając zęby z tym losem się pogódź  
I wszystkich naokoło chorobami nie nudź.  
Powiedają, że „starość okresem jest złotym”,  
Kiedy spać się kładę, zawsze myślę o tym ...  
„Uszy” mam w pudełku, „zęby” w wodzie studzę,  
„Oczy” na stoliku, zanim się obudzę.  
Jeszcze przed zaśnięciem ta myśl mnie nurtuje,  
Czy to wszystkie części, które się wyjmuje ?  
Za czasów młodości (mówię bez przesady),  
Łatwe były biegi, skłony i przysiady.  
W średnim wieku jeszcze tyle mi zostało,  
Żeby bez zmęczenia przetańczyć noc całą.  
A teraz na starość czasy się zmieniły,  
Spacerkiem do sklepiku, z powrotem bez siły.  
Dobre rady dla tych, którzy się starzeją,  
Niech się nie przejmują i z życia się śmieją.  
Kiedy wstaną rano, „części” pozbierają,  
Niech rubrykę zgonów w prasie przeczytają.  
Jeśli ich nazwiska tam nie figurują,  
To znaczy, że zdrowi i dobrze się czują.

## Bibliografia

- [1] Wróbel T.: 40 lat 8 miesięcy i 10 dni. Cz.1. WAT, Warszawa 1999.
- [2] Pomiary Automatyka Diagnostyka. Materiały Seminarium Instytutu Systemów Pomiarowych i Automatyki. Warszawa 1991 ss. 71.
- [3] Wróbel T.: Napędy skanerów termalnych. Wojskowy Przegląd Techniczny. Nr 12, Warszawa 1987.
- [4] Wróbel T. : Napędy wirujące skanerów termalnych. Wojskowy Przegląd Techniczny. Nr 2, Warszawa 1989.
- [5] Wróbel T.: Współczesne silniki skokowe o magnesach trwałych na wirniku. Przegląd Elektrotechniczny. Nr 5, Warszawa 1982.
- [6] Wróbel T.: 40 lat 8 miesięcy i 10 dni. Cz. 2, Warszawa 2001.
- [7] Mała Encyklopedia Wojskowa. Wyd. MON, Warszawa 1967.
- [8] Sprawozdanie z działalności Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego od 1 stycznia 1945 do 31 grudnia 1995. *Printed by Caldera House Ltd.*
- [9] Wysocki W. J.: Edward Śmigły – Rydz malarz i poeta. Wyd. Rytm, Warszawa 1997.
- [10] AZ London Street Atlas. Geographers A - Z Map Co Ltd. Edition 2, London 1992.
- [11] Wiadomości POSK. Nr 46, kwiecień 1998.
- [12] Wróbel T.; Borysławskie retrospekcje. WAT, Warszawa 2000.
- [13] Będkowski L., Krupa A., Krupa B.: Borysław w okrucach wspomnień. Warszawa 1999.
- [14] Pilecki J. M.: Gorące borysławskie okrucy. Ziemia Drohobycka, nr 13, 2000, s. 73-74.
- [15] Wróbel P., Wróbel A.: Kanada. Wyd. TRIO, Warszawa 2000.

- [16] Koziej E.: Prof. dr inż. Ryszard Sochocki (1932 – 1998) (wspomnienie pośmiertne). Biuletyn Sekcji Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Komitetu Elektrotechniki PAN. Nr 15, grudzień 1998.
- [17] Wróbel T.: Na studiach. Ze wspomnień ekspatrianta. Warszawa 2000.
- [18] Zadrozny Jarosław: Międzynarodowe XII Sympozjum Mikromaszyny i Serwonapędy MIS 2000. Biuletyn Sekcji Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Komitetu Elektrotechniki PAN. Nr 23, listopad 2000.
- [19] Zakrzewski K.: Jubileusz 75 – lecia urodzin prof. zw. dr hab. inż. Władysława Paszka. Zeszyty Naukowe Politechniki Śląskiej ELEKTRYKA z. 171, Gliwice 2000, s. 9 – 16.
- [20] Informator Nauki Polskiej 1980/81. Centrum Informacji Naukowej, Technicznej i Ekonomicznej, Warszawa 1981.
- [21] Kto jest kim w Polsce. Informator Biograficzny. Edycja 3, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1993
- [22] Złota Księga Nauki Polskiej 2000. Naukowcy przełomu wieków. Wyd. Helion 2001.





Grudzień 1991 r. Uroczystość w auli E z okazji 40 – tej rocznicy powstania WAT



Autor otrzymuje tytuł profesora z rąk prezydenta RP Lecha Wałęsy – Belweder, kwiecień 1992



Z Lechem Wałęsą w Belwederze



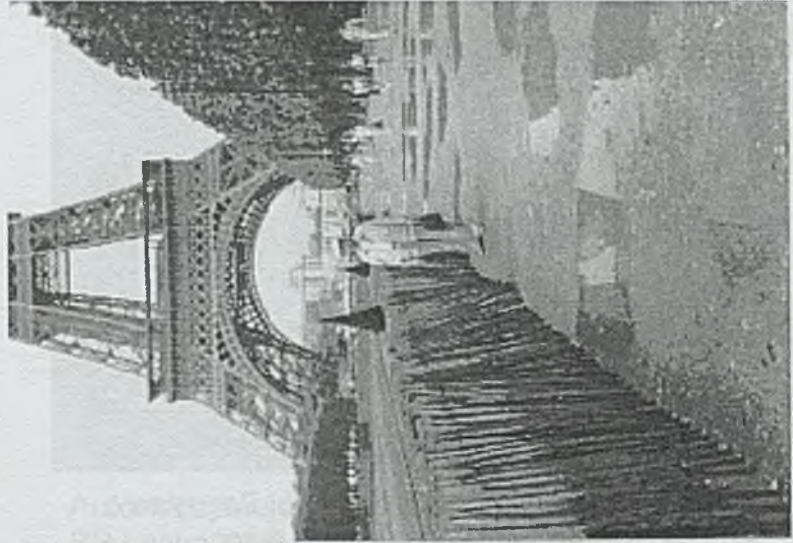
W Belwederze - od lewej: płk prof. dr hab. Bogusław Smólski z małżonką, żona autora i autor



Autor i państwo Smólscy w Belwederze



1992 r. Cannes



Paryż – u stóp wieży Eiffla





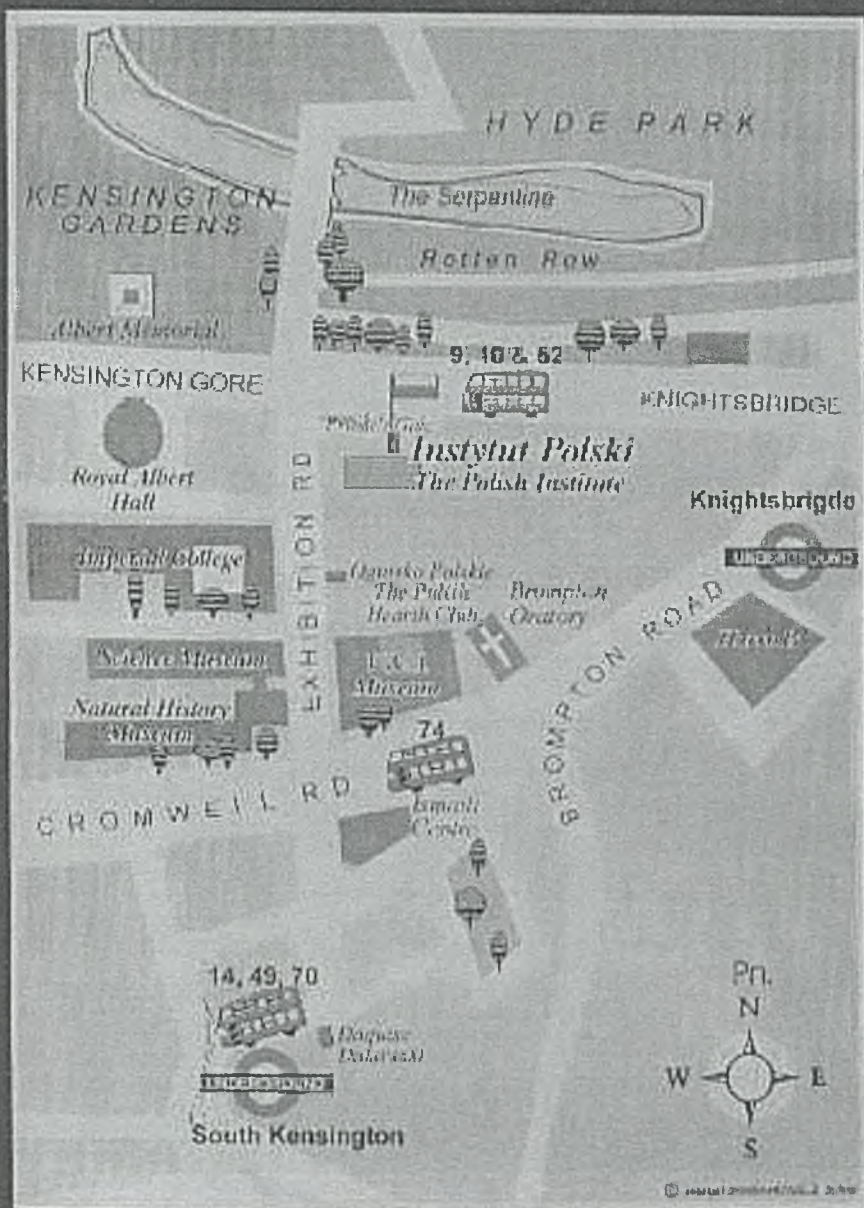
1992 r. Nicea – Bulwar Angielski



Monte Carlo – przed głównym kasynem gry. W tle posąg „Fortuny”



Grono przyjaciół na imieninach 28.X.1993. Na zdjęciu górnym, od lewej: E. Świrkowski, J. Barzykowski, D. Barzykowska, W. Świrkowska, R. Walkiewiczowa i R. Krzyszowska. Na zdjęciu dolnym: R. Walkiewiczowa, R. Krzyszowska, Cz. Krzyszowski, J. Walkiewicz i autor.



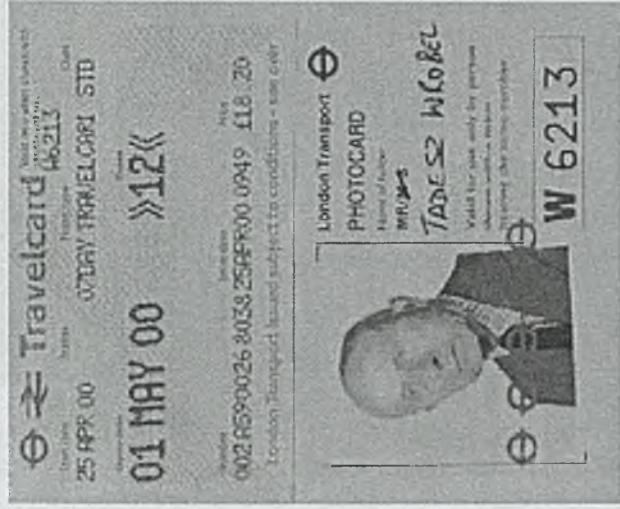
Instytut Polski | Muzeum im. Gen. Sikorskiego  
 20 Princes Gate London SW7 1PT



Londyn, czerwiec 1993 rok. Przy moście Tower Bridge na Tamizie.



Londyn. W Instytucie im. generała W. Sikorskiego przy Prince's Gate. Izba pamięci gen. W. Andersa. Obok autora biurko, przy którym gen. Anders pracował do końca swoich dni.



Na lewo: Bilet tygodniowy komunikacji miejskiej w Londynie. Na prawo: Grób Karola Marksa na cmentarzu Highgate w Londynie.



Londyn, IV.1994. U góry: gabinet figur woskowych Madame Tussaud's przy Baker Street. Żona autora „w rozmowie” z Gerardem Depardieu. U dołu: w drodze powrotnej z Londynu do Warszawy, autokarem firmy „Atas”.



W rodzinnym gronie. U góry: Londyn – Boże Narodzenie 1995. Siedzą od lewej: wnuk Marek, żona autora Ola, Babcia Janka – mama Stefana. Stoją: Stefan – mąż Irenki, córka Irenka, autor i Janusz – brat Stefana. U dołu: Toronto – maj 1996. W pierwszym rzędzie: wnuk Tomek i synowa Ania, w drugim rzędzie autor z żoną i synem Piotrem

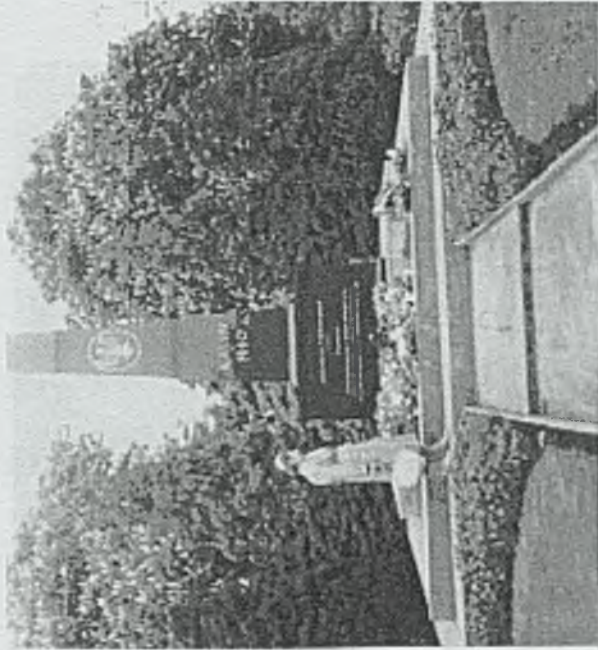


Londyn 1997 r. W zamku Tower  
przewodnik w stroju historycznym  
("Beefeater")

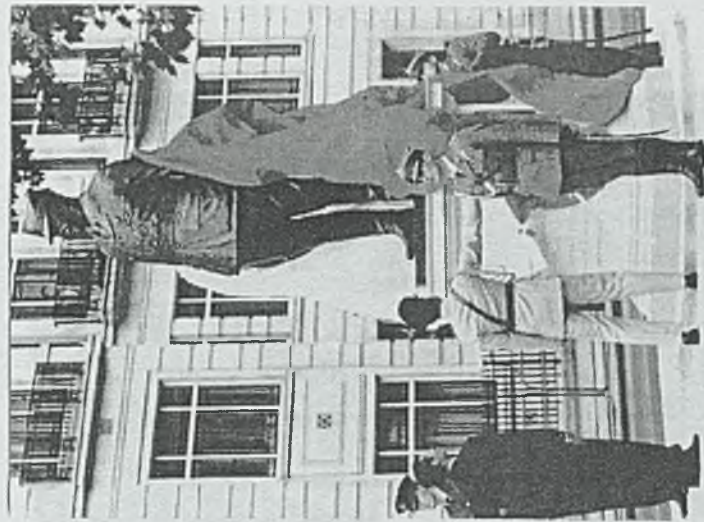


Londyn 1998 r. Wartownik przed  
St James's Palace (siedzibą ks.  
Karola





Londyn. Pomnik Katyński na cmentarzu  
Gunnersbury. Księżę Kentu odsłania pomnik  
generała W. Sikorskiego 24 września 2000





Prof. dr hab. inż. Jerzy Barzykowski    Prof. dr hab. inż. Augustyn Chwaleba



Płk prof. dr hab. inż. Lesław Będkowski    Płk dr inż. Zbigniew Denys



Odlewnia „Etna” w 1993 r. Napis nad bramą brzmi:  
Бориславська ЦБВО „Ливарня Дільниця”



Dom rodzinny autora w 1994 r.  
Obecnie własność Iwana Kuźmaka.



Boryslaw 1995 r. – odnowione groby na cmentarzu na Hukowej Górze: na lewo grób babci Eleonory Stafińskiej, zmarłej w latach dwudziestych; na prawo grób ojca, pochowanego w 1957 r. Krucyfiksy na obu grobach i tabliczka na grobie babci zostały wykonane przed wojną w odlewni „Etna” i zachowały się w całkiem dobrym stanie.



Warszawa 1998 r. – przy grobie matki autora Eugenii Wróbel ze Stafińskich, na Cmentarzu Komunalnym Północnym. Stoją od lewej: brat autora Zdzisław, syn Piotr i autor. Mama zmarła w 1985 roku.



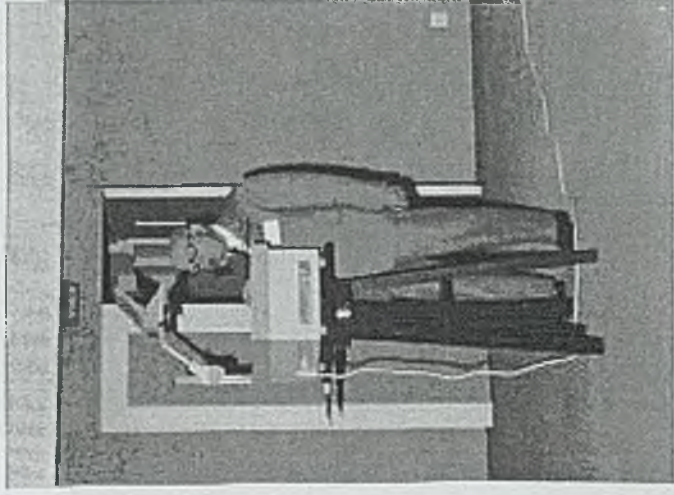
W Hiszpanii – wrzesień 1995 r. Zdjęcie górne : Madryt –  
pomnik na Placu Hiszpańskim. Zdjęcie dolne: w ogrodach  
Gaudiego w Barcelonie.



Portugalia. Na zdjęciu górnym – Lizbona: mamelińskie krużganki w klasztorze Hieronimitów w Belem. Na zdjęciu dolnym: plaża da Rocha nad Atlantykiem w pobliżu Portimao

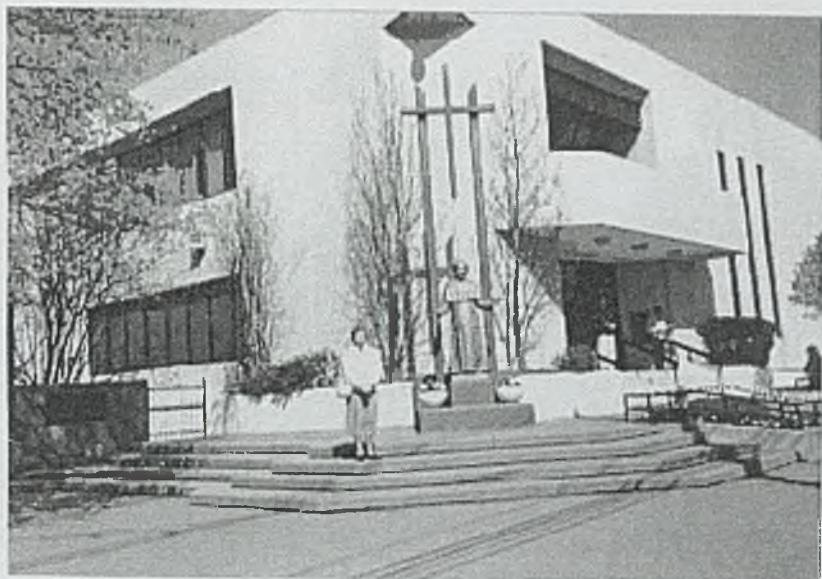


13. 10. 1995. Uroczystość w Wydziale Elektroniki WAT z okazji dnia nauczyciela. Zdjęcie górne – stoją od lewej: Wojciech Oszywa, Piotr Baszun, Tadeusz Wróbel i Bronisław Stec. Zdjęcie dolne – od lewej: Cezary Kępski, Helena Moroz, Anna Sosnowska, Augustyn Chwałeba, Irena Persak, Władysław Kołosowski i Zofia Czerska.



Dwa referaty: na lewo – maj 1996 r. Piotr Wróbel wygłasza w Toronto *The Inaugural Memorial Lecture*; na prawo – czerwiec 1996 r. Tadeusz Wróbel wygłasza referat na uroczystej sesji naukowej w Gliwicach, poświęconej 100 – leciu urodzin profesora Zygmunta Gogolewskiego





Maj 1996 r. Toronto. Roncesvalles – ulica polskich emigrantów. Budynek banku, w którego narożniku widoczny jest pomnik papieża Jana Pawła II.



Wnuczka Oleńka ćwiczy przed występem grę na flecie.



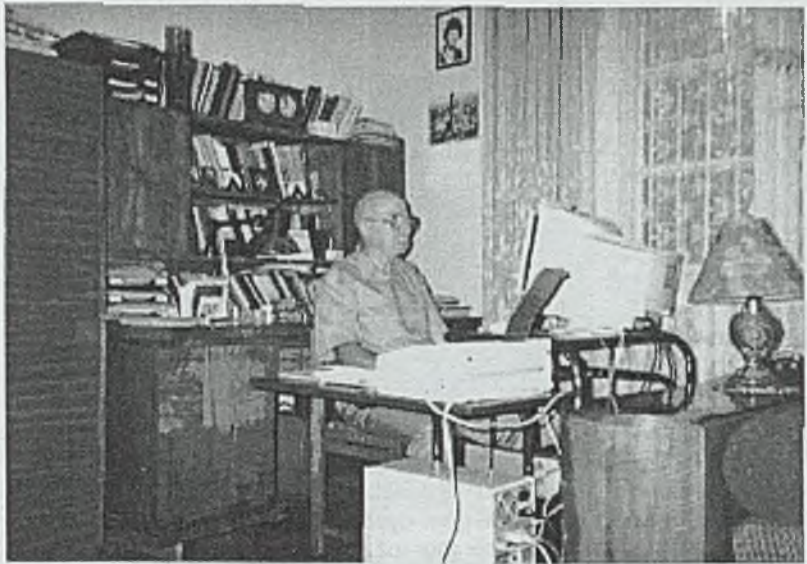
Kanada 1996 r. Zdjęcie górne: Montreal. Zdjęcie dolne Ottawa.  
Na obu zdjęciach : żona autora ze swoją siostrą Marysią.



Dzień nauczyciela w roku 45 – lecia WAT (14.10.1996).  
W rozmowie z rektorem, gen. dyw. prof. Edwardem  
Włodarczykiem. Obok: płk mgr inż. Bronisław Hukalo



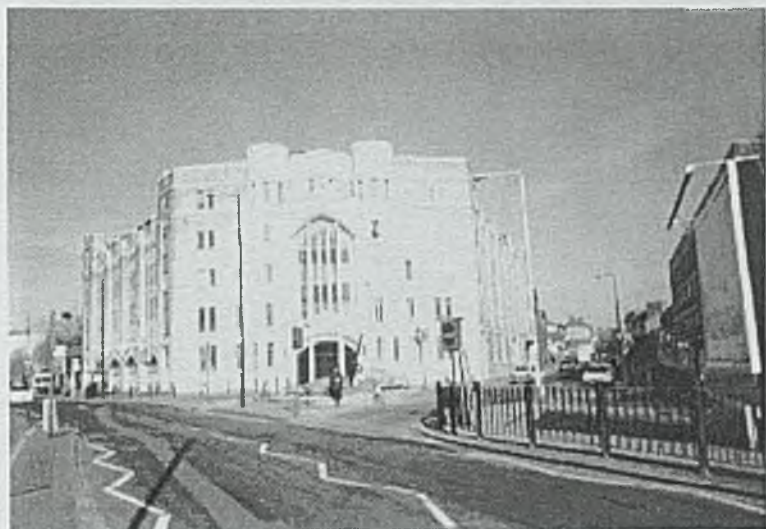
70 – lecie urodzin autora. Życzenia składają (od prawej)  
dyrektor IPE prof. dr hab. inż. Augustyn Chwaleba, kierownik  
Zakładu Elektrotechniki płk dr inż. Jan Sienkiewicz  
i kierownik laboratorium mjr mgr inż. Zbigniew Watral



Zdjęcie górne: autor przy swoim ulubionym komputerze (pisze wspomnienia ?) Zdjęcie dolne: 1.10.1999. Wręczenie dyplomu doktorskiego przez promotora mjr dr inż. Zbigniewowi Watralowi.



Dom Piotrusia i Ani w Toronto (X.1998)



Dom, w którym mieszka Irenka ze Stefanem w Londynie (IV.1999)



Powitanie Mareczka w Warszawie – lipiec 1998 r.



Marek w Toruniu – sierpień 2000 r.

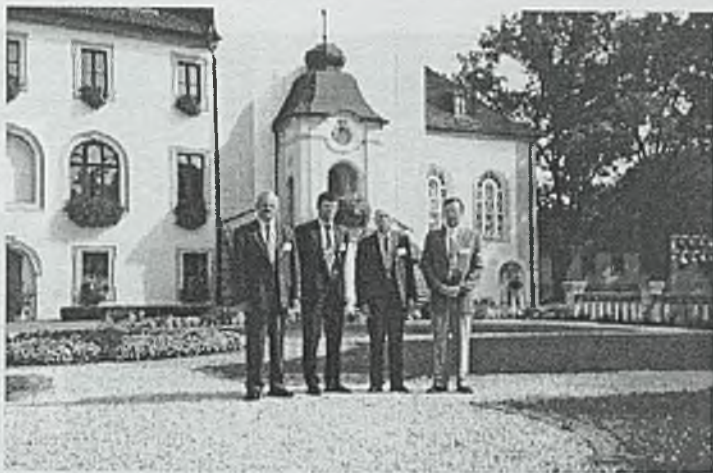


Córka autora Irenka w 2001 r.



Wrzesień 2000 r. Uczestnicy Międzynarodowego XII Sympozjum MIKROMASZYNY  
I SERWONAPĘDY w Kamieniu Śląskim na Opolszczyźnie





Uczestnicy XII Międzynarodowego Sympozjum  
„Mikromaszyny i Serwonapędy” w Kamieniu  
Śląskim w dniach 10 .....14 września 2000 r.



Opłatek w Zakładzie Elektrotechniki w dniu 20.12.00.  
Od lewej: R.Kobus, K.Kiczyński, K.Serafin, J.Sienkiewicz,  
W.Piotrowski, Z.Watraj, Z.Napiontek, T.Wróbel,  
P.Trzaskawka, J.Michalik, K.Kozieł, J.Rutkowski,  
R. Kowalski, K. Osicki, B.Grzegorski



Komendant Dziekan Wydziału Elektroniki WAT  
plk dr hab. inż. Grzegorz Różański, profesor WAT



Zastępca Komendanta Wydziału Elektroniki WAT  
ds. dydaktyki i nauki, plk dr inż. Wojciech Kocańda



Zastępca Komendanta Wydziału ds. ogólnych  
plk mgr inż. Grzegorz Sundman



Zastępca Komendanta Wydziału ds. logistycznych  
plk dr inż. Mieczysław Żurawski



Uczestnicy sesji naukowej z okazji jubileuszu 75 – lecia urodzin prof. Władysława Paszka.  
Gliwice, 27 czerwca 2000 r.



27.06.2000. 75-lecie urodzin prof. W. Paszka. Od lewej: Henryk Tucholski, Władysław Paszek, Małgorzata Dudek, Tadeusz Wróbel



22.11.2000. Przejście na emeryturę mgr inż. Wiery Karbowskiej. Zespół Zakładu Elektrotechniki. Od lewej: st. techn. Ryszard Kobus, kpt. mgr inż. Piotr Trzaskawka, kpt. mgr inż. Wiesław Piotrowski, kpt. mgr inż. Krzysztof Kiczyński, mjr dr inż. Zbigniew Watral, mgr inż. Wiera Karbowska, płk dr inż. Jan Sienkiewicz (kierownik zakładu), prof. dr hab. Tadeusz Wróbel



Personel Instytutu Podstaw Elektroniki wraz z przedstawicielami Komendy Wydziału na uroczystości przejścia w stan spoczynku płk. dr. inż. Jana Sienkiewicza (w środku) w dniu 21 grudnia 2000 roku



W czasie uroczystości „Pożegnania z bronią” płk. dr inż. Jana Sienkiewicza. Od lewej: płk Sienkiewicz, Komendant-Dzielan Wydziału Elektroniki dr hab. inż. G. Różański-profesor WAT, Dyrektor IPE prof. dr hab. inż. A. Chwaleba, Prodziekani: ds.nauki i szkolenia płk dr inż. W. Kocańda, ds. logistyki płk dr inż. M. Żurawski, ds. ogólnych płk mgr inż. G. Sundman



Uroczystość wręczenia medali „Za Długoletnie Pożycie Małżeńskie”. Zdjęcie górne: moment dekoracji. Zdjęcie dolne: po wręczeniu kwiatów przez Andrzeja Zalewskiego (z lewej) – teścia naszego syna Piotra (7 marca 2001)



Dziekan płk dr hab.inż. G. Różański – prof. WAT wręcza  
płk dr inż. Tadeuszowi Dąbrowskiemu pamiątkowy upominek

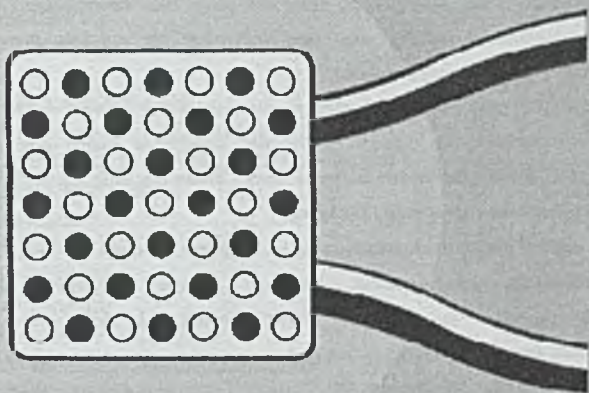


Płk Dąbrowski w otoczeniu Pań: Jolanty Jakubowskiej  
i Katarzyny Kamińskiej z Sekretariatu



Tadeusz Wróbel

# silniki skokowe



Wydawnictwa Naukowo-Techniczne

Moja ostatnia (być może) monografia

PREZYDENT  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Państwo  
Aleksandra i Tadeusz  
WRÓBLOWIE

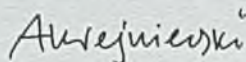
Szanowni Jublati!

Zostaliście Państwo odznaczeni Medalem Za Długoletnie Pożycie Matżeńskie, nadanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Medal ten jest podziękowaniem za wszystko, co przez tak długi czas tworzyliście i budowaliście jako małżeństwo i rodzina. Jest potwierdzeniem, że wybrana przed laty przez Państwa droga była drogą słuszną.

Wasz trwały związek dwojga wspierających się wiernie ludzi, wytrwałość, wzajemne zrozumienie, zgodna praca dla wspólnego dobra pomogły pokonać trudności, jakich nikomu nie szczędzi życie. Wasze wspólne życie i praca złożyły się na półwieczne dzieje naszej Ojczyzny.

Jedną z najważniejszych wartości, która stanowi źródło duchowej siły społeczeństwa, jest rodzina. Państwo polskie przykłada wielką wagę do pielęgnowania tej wartości. Wasze starania, by stale umacniać zawarty przed laty związek zasługują na najwyższy szacunek i uznanie.

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej i swoim własnym składam Państwu serdeczne gratulacje. Proszę przyjąć życzenia wielu sił, dobrego zdrowia, rodzinnej radości i szczęścia.



Aleksander Kwaśniewski

Warszawa, dnia 1 marca 2001 r.

## Spis treści

1. Wstęp . . . . .	3
2. W nowej sytuacji . . . . .	4
3. Rocznicą . . . . .	7
4. W Belwederze . . . . .	12
5. Francja i Monaco . . . . .	16
6. Londyn . . . . .	22
7. Reorganizacja instytutu . . . . .	38
8. Groby . . . . .	41
9. Hiszpania i Portugalia . . . . .	43
10. Dzień nauczyciela . . . . .	52
11. Kanada . . . . .	54
11.1. Toronto . . . . .	56
11.2. Montreal i Ottawa . . . . .	61
12. W „Lecznicy Rządowej” . . . . .	66
13. Sztuka rezygnacji . . . . .	76
14. Czwarty doktorant . . . . .	78
15. Sympozjum w Kamieniu Śląskim . . . . .	79
16. Jubileusze . . . . .	83
16.1. 70-lecie moich urodzin . . . . .	83
16.2. 40-lecie istnienia Wydziału Elektroniki WAT . . . . .	84
16.3. 75-lecie urodzin prof. Władysława Paszka . . . . .	87
16.4. 50 szczęśliwych lat . . . . .	90
17. Odeszli na zawsze . . . . .	92
17.1. Śmierć pułkownika Denysa . . . . .	92
17.2. Śmierć Przyjaciela . . . . .	96
18. Przeszli na emeryturę . . . . .	98
18.1. Mgr inż. Irena Persakowa . . . . .	98
18.2. Prof. dr hab. inż. Jerzy Barzykowski . . . . .	99
18.3. Mgr inż. Wiera Karbowska . . . . .	101
18.4. Płk dr inż. Jan Sienkiewicz . . . . .	103
18.5. Płk mgr inż. Józef Stęgowski . . . . .	105
18.6. Mgr inż. Helena Morozowa . . . . .	107
18.7. Płk dr inż. Tadeusz Dąbrowski . . . . .	108
Zamiast posłowania . . . . .	110
Bibliografia . . . . .	112

Warszawa, 3 lipca 2001 r.



BG Politechniki Śląskiej  
nr inw.: 102 - 123844



Cz.O2 123844



Warszawy, studia wyższe w Politechnice Śląskiej w Gliwicach (1952) i w WAT (1956). Doktoryzował się w 1964, habilitował w 1977, tytuł profesora uzyskał w 1992. Ma w swoim dorobku 165 publikacji naukowych lub

naukowo – technicznych, w tym 5 książek i 14 skryptów uczelnianych. Najbardziej liczącymi się spośród jego książek technicznych są: „Mikromaszyny Elektryczne – Poradnik”

Wyd. MON 1969, „Prądnice zwiększonej częstotliwości” Wyd. MON 1972 i „Silniki skokowe” WNT 1993. Przez przeszło 40 lat przesłużył w Wojsku Polskim, w tym 21 lat w stopniu pułkownika. Pisarstwem wspomnieniowym zaczął się zajmować w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych.

Pierwsza książka z tego cyklu pt. „Boryslawskie retrospekcje” została napisana w latach 1996/97 i wydana najpierw 1998 r. a następnie w 2000 r. Druga książka, pt. „Na studiach” (Ze wspomnień ekspatrianta) napisana w latach 1997/1998, po próbnych egzemplarzach w 1998 r. została wydana w 2000 r. W latach 1998/99 autor napisał pierwszą część książki zawierającej wspomnienia z jego zawodowej służby wojskowej, głównie w WAT, pt. „40 lat 8 miesięcy i 10 dni”, która została wydana w 1999 r. nakładem WAT. Drugą część tej książki, napisaną w 2000 r. wydano w 2001 r. Niniejsza książka obejmuje okres po odejściu z wojska w 1991 r. aż do lata 2001 roku. W tych pięciu tomikach opisane jest całe dotychczasowe życie autora.

ISBN 83-916440-0-6